

CZWARTA CZĘŚĆ BESTSELLEROWEGO CYKLU *WALLFLOWERS*



LISA
KLEYPAS

WIOSNA PEŁNA TAJEMNIC

Prószyński i S-ka

LISA KLEYPAS

WIOSNA PEŁNA TAJEMNIC

Przełożyła
Agnieszka Myśliwy

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
SCANDAL IN SPRING

Copyright © 2006 by Lisa Kleypas
All rights reserved

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Sandra Cunningham/Arcangel Images

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Lucyna Łuczyńska

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-966-6

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

PROLOG

Podjąłem decyzję co do przyszłości Daisy – oświadczył Thomas Bowman żonie i córce. – Choć Bowmanowie nie lubią przyznawać się do porażki, nie możemy dłużej ignorować rzeczywistości.

– A jaka to rzeczywistość, ojcze? – zapytała Daisy.

– Brytyjska arystokracja nie jest dla ciebie. – Zmarszczył brwi, po czym dodał: – Albo ty nie pasujesz do niej. Moja inwestycja w twoje polowanie na męża ma marną stopę zwrotu. Wiesz, co to znaczy, Daisy?

– Że jestem mało rentownym towarem?

Nikt by się w tej chwili nie domyślił, że Daisy to dorosła, dwudziestodwuletnia kobieta. Drobna, szczupła i ciemnowłosa, wciąż miała w sobie energię i żywiołowość dziecka, kiedy jej rówieśnice stawały się już poważnymi młodymi matronami. Gdy siedziała z podkulonymi nogami, wyglądała jak porzucona w rogu sofy chińska laleczka. Zauważywszy, że ojca zirytował widok książki na jej kolanach, Daisy wsunęła palec pomiędzy kartki, żeby zaznaczyć miejsce, w którym przerwała. Nie mogła się już doczekać powrotu do lektury.

– Odłóż to – zażądał.

– Dobrze, ojcze. – Ukradkiem otworzyła książkę, by sprawdzić numer strony, po czym odłożyła ją na bok. Tym drobnym gestem rozeźliła ojca. Książki, książki... Widok jednej z nich stał się dla niego symbolem zawstydzającej porażki córki na małżeńskim targowisku.

Zaciągając się grubym cygarem, Bowman siedział w wyściełanym fotelu w salonie apartamentu hotelowego, który zajmowali już od dwóch lat. Jego małżonka Mercedes przycupnęła na patykowanym wyplatany fotelu tuż obok. Bowman był korpulentnym, okrągłym niczym beczułka mężczyzną, który, by dodać sobie wzrostu, wyciągał szyję na tyle, na ile było to możliwe. Wyłysiał, lecz miał gęste szczeciniaste wąsy, jakby cała energia potrzebna do wyhodowania włosów na głowie skupiła się na jego górnej wardze.

Mercedes wstąpiła w związek małżeński jako niepospolicie szczupła dziewczyna, a z czasem jeszcze wychudła – ścieniała jak kostka mydła, która zamienia się w okrawek. Lśniące, czarne włosy zawsze surowo zaczesywała do tyłu, a rękawy ciasno otaczały jej nadgarstki tak wiotkie, iż można by je połamać jak gałązki brzozy. Nawet teraz, gdy siedziała nieruchomo, emanowała nerwową energią.

Bowman nigdy nie żałował, że to właśnie Mercedes wybrał na żonę – jej żelazna ambicja dorównywała jego aspiracjom. Była niezmordowana w rozpychaniu się łokciami, żeby zapewnić mężowi miejsce w socjecie. To właśnie ona się uparła, by w świetle ich niepowodzeń w dobijaniu się do najwyższych sfer Nowego Jorku zawieźć dziewczęta do Anglii.

– Poradzimy sobie inaczej – oświadczyła z determinacją. I, na Boga, udało im się ze starszą córką Lillian.

Lillian zdołała jakimś cudem zagarnąć dla siebie najwspanialszą nagrodę – lorda Westcliffa, który pochodzenie miał nieskazitelne. Hrabia stanowił bardzo przyzwoity nabytek dla rodziny. Ale teraz

Bowman pragnął wrócić już do Ameryki. Gdyby Daisy potrafiła upolować utytułowanego męża, już by to zrobiła. Nadszedł czas, żeby ograniczyć straty.

Za każdym razem, gdy myślał o pięciorgu dzieciach, zastanawiał się, dlaczego tak mało mają w sobie z rodziców. Jemu i Mercedes nie brakowało determinacji i energii do działania, a powołali na świat trzech synów tak spokojnych, w pełni akceptujących zstąpienie rzeczywistości, tak pewnych, że wszystko, czego pragną, wpadnie im w ręce jak dojrzały owoc. Tylko Lillian odziedziczyła nieco agresywnego ducha Bowmanów... tyle że ona była kobietą, więc wszystko to i tak poszło na marne.

No i jeszcze Daisy. Ze wszystkich swoich dzieci właśnie ją Bowman zawsze rozumiał najmniej. Już jako mała dziewczynka nigdy nie wyciągała właściwych wniosków z historii, jakie jej opowiadał, zadawała natomiast pytania, które nie miały związku z tym, co starał się jej przekazać. Gdy tłumaczył kiedyś, dlaczego inwestorzy preferujący niskie ryzyko i skromną stopę zwrotu powinni lokować kapitał w obligacjach skarbu państwa, przerwała mu pytaniem:

– Ojczy, czyż nie byłoby cudownie, gdyby kolibry urządzały herbatki, a my bylibyśmy na tyle mali, aby nas na nie zapraszały?

Przez lata wysiłki Bowmana, aby ją zmienić, napotykały opór nie do pokonania. Daisy lubiła siebie taką i próby wpłynięcia na nią w jakikolwiek sposób przypominały łapanie w siatkę chmary motyli. Albo przybijanie galaretki gwoździem do drzewa.

Jako że on sam niemal oszalał przez wybryki nieprzewidywalnej córki, nie dziwiło go, że nie znalazł się mężczyzna pragnący związać się z nią na całe życie. Jaką zostałaby matką? Bezustannie plotłaby coś o wrózkach ślizgających się po tęczach, zamiast włączać rozsądne reguły w głowy swoich dzieci.

Mercedes wtrąciła się do rozmowy. Była spięta.

– Drogi panie Bowman, sezon jeszcze się nie skończył. Moim zdaniem Daisy poczyniła wspaniałe postępy. Lord Westcliff przedstawił ją kilku obiecującym dżentelmenom, a wszyscy oni są szalenie zainteresowani perspektywą posiadania hrabiego za szwagra.

– Moim zdaniem to dość symptomatyczne – mruknął Bowman ponuro – że pokusę dla tych „obiecujących dżentelmenów” stanowi Westcliff w roli szwagra, a nie Daisy w roli żony. – Przyspilił córkę twardym spojrzeniem. – Czy któryś z nich ci się oświadczy?

– Ona nie może wiedzieć... – zaproponowała Mercedes.

– Kobiety zawsze wiedzą takie rzeczy. Odpowiedz, Daisy. Istnieje szansa na doprowadzenie któregoś z nich do ołtarza?

Córka zawahała się, a w skośnych ciemnych oczach pojawił się wyraz namysłu.

– Nie, ojczy – wyznała szczerze.

– Tak myślałem. – Splótł grube palce na wydatnym brzuchu i patrzył władczo na milczące kobiety. – Twój brak sukcesów stał się dla mnie niewygodny, córko. Mam na myśli nieuzasadnione wydatki na suknie i ozdóbki. Mam też na myśli znój wożenia cię z jednego bezproduktywnego balu na drugi. Całe to przedsięwzięcie zatrzymuje mnie w Anglii, choć potrzebny jestem w Nowym Jorku. Dlatego też postanowiłem, że sam wybiorę dla ciebie męża.

Daisy zrobiła wielkie oczy.

– Kto to będzie, ojczy?

– Matthew Swift.

Miała taką minę, jakby podejrzewała go o obłąd.

Mercedes gwałtownie wciągnęła powietrze.

– To nie ma żadnego sensu, panie Bowman! Absolutnie żadnego! Taki związek nie przyniesie nam żadnych korzyści. Pan Swift nie jest arystokratą, nie posiada majątku...

– Wywodzi się z bostońskich Swiftów – zripostował Bowman. – Nie można co do takiej rodziny wysuwać żadnych obiekcji. Dobre nazwisko i dobra krew. Co więcej, Swift jest mi oddany i obrotny w interesach, ma zmysł do biznesu. Potrzebuję takiego zięcia. Chcę, żeby odziedziczył moją firmę, gdy nadejdzie pora.

– Masz trzech synów, oni odziedziczą twoją firmę, prawo do tego przysługuje im z urodzenia! – zawołała Mercedes oburzona.

– Nie dbają o firmę. Nie chcą się nią zajmować. – Na myśl o Matthew, który rozkwitał pod jego kuratelą już od prawie dziesięciu lat, Bowman poczuł ukłucie dumy. Ten chłopak był do niego bardziej podobny niż własne potomstwo. – Żaden z nich nie ma w sobie pełnokrwistej ambicji ani bezwzględności Swifta – kontynuował. – Uczynię go ojcem moich spadkobierców.

– Tyś chyba całkiem oszalał! – wrzasnęła Mercedes.

Daisy przemówiła ze spokojem, który dzielnie się przebił przez wybuch ojca.

– Pragnę zauważyć, iż moja współpraca zdaje się w tej kwestii niezbędna. Zwłaszcza jeśli mówimy o płodzeniu spadkobierców. Zapewniam cię więc, że żadna siła nie zmusi mnie do powicia dzieci mężczyźnie, którego nawet nie darzę sympatią.

– Zapewne jednak chciałabyś się komuś na coś przydać – warknął Bowman. Natura nakazywała mu miażdżyć każdy przejaw buntu druzgocącą siłą. – Można by pomyśleć, że zechcesz męża i własnego domu, zamiast wieść tę pasożytniczą egzystencję.

Daisy wzdrygnęła się, jakby ją uderzył.

– Nie jestem pasożytem.

– Czyżby? W takim razie wytłumacz mi, w jaki sposób świat korzysta na twoim istnieniu? Co dla kogoś kiedykolwiek zrobiłaś?

Wobec konieczności usprawiedliwiania swojej egzystencji Daisy wbiła w ojca ponure spojrzenie i nie odezwała się ani słowem.

– Oto moje ultimatum – oświadczył Bowman. – Znajdź sobie odpowiedniego męża przed końcem maja albo oddam cię Swiftowi.

ROZDZIAŁ 1

Niepotrzebnie ci o tym mówiłam – wyrzucała sobie Daisy, spacerując po saloniku Marsdenów tego samego wieczoru. – W twoim stanie nie powinnaś się denerwować. Ale gdybym ci nie powiedziała, mogłabym wybuchnąć, co zapewne byłoby dla ciebie jeszcze bardziej stresujące.

Jej starsza siostra, opierając się o ramię męża, uniosła głowę.

– Przecież wiem – mruknęła, powstrzymując kolejną falę mdłości. – Denerwuję się tylko wtedy, gdy ludzie różne rzeczy przede mną ukrywają. – Spoczywała na długiej sofie otoczona ramieniem Westcliffa, który karmił ją cytrynowym lodem. Zamknęła oczy i przełknęła.

– Lepiej? – Westcliff łagodnie otarł kroplę wody z kącika jej ust.

Lillian pokiwała głową, twarz miała upiornie bladą.

– Tak, to chyba pomaga. Uch. Módl się, żebym urodziła chłopca, Westcliff, bo to twoja jedyna szansa na dziedzica. Nigdy więcej się na to nie zgodzę...

– Otwórz usta – poprosił, po czym wsunął pomiędzy jej wargi jeszcze jedną łyżeczkę aromatyzowanego lodu.

W zwykłych okolicznościach Daisy poczułaby się wzruszona widokiem tych dwojga. Rzadko się zdarzało, by Lillian okazywała taką kruchość, a Marcus wobec niej był nad wyraz czuły i troskliwy. Młodsza panna Bowman pochłoneńy jednak własne problemy, nawet nie zwróciła uwagi na wymianę zdań pomiędzy małżonkami i wypaliła:

– Ojciec postawił mi ultimatum. Dzisiaj...

– Chwileczkę – przerwał jej Westcliff cicho, poprawiając się na sofie. Przytulił żonę, a ona położyła dłoń na wypukłości brzucha. Westcliff mruknął coś niezrozumiale w jej potargane hebanowe włosy, a Lillian pokiwała z westchnieniem głową.

Każdy, kto zobaczyłby, jak czule hrabia opiekuje się młodą żoną, musiałby zauważyć wyraźne zmiany, które w nim zaszły. Dotąd był postrzegany jako człowiek surowy, zimny z natury. Teraz stał się przystępniejszy, częściej się uśmiechał, nawet śmiał, a jego sztywne zasady, w tym przestrzegania *savoir-vivre*'u, nieco złagodniały. Była to dobra zmiana, biorąc pod uwagę, że za żonę wziął sobie Lillian, przez co Daisy została jego szwagierką.

Westcliff zmrużył oczy – o tak głębokim odcieniu brązu, że wydawały się niemal czarne – i skupił wzrok na Daisy. Nie powiedział ani słowa, lecz wyczytała w jego spojrzeniu pragnienie uchronienia Lillian przed wszystkim, co mogłoby jej w jakikolwiek sposób zagrozić, i wszystkimi, którzy mogliby zakłócić jej spokój.

Nagle Daisy uzmysłowiła sobie ze wstydem, że przyszła tutaj, by się poskarżyć na ojca, traktuje ją bowiem niesprawiedliwie. Powinna sama uporać się z problemem, a zamiast tego przybiegła do starszej siostry jak rozkapryszone dziecko. Po chwili jednak Lillian otworzyła oczy, uśmiechnęła się ciepło i nagle pomiędzy siostrami zatańczyły niczym radosne wróżki tysiące wspomnień z dzieciństwa. Intymnej siostrzanej więzi nie zdołałby zerwać nawet najbardziej opiekuńczy mąż.

– Słucham. – Lillian wtuliła się w zagłębienie mężowskiego ramienia. – Co powiedział ten troll?
– Że jeśli nie znajdę sobie męża do końca maja, on go za mnie wybierze. I zgadnij, kto to będzie?

No zgadnij!

– Nie potrafię. – Lillian pokręciła głową. – Ojciec nikogo nie darzy aprobatą.

– Och, właśnie, że darzy – oświadczyła Daisy złowieszczo. – Jest na tym świecie jedna osoba, którą ojciec aprobuje w stu procentach.

Teraz nawet Westcliff się zaciekawił.

– Znam tego kogoś?

– Wkrótce poznasz – zapewniła go Daisy. – Ojciec posłał po niego. Ma się zjawić w przyszłym tygodniu w Hampshire, na polowaniu.

Westcliff przypomniał sobie nazwiska, które dopisał do listy gości na prośbę teścia.

– Amerykanin? – zapytał. – Pan Swift?

– Tak.

Lillian osłupiała. Spojrzała na Daisy, po czym z cichym okrzykiem ukryła twarz na ramieniu męża. Daisy przestraszyła się, że siostra wybuchnie płaczem, ale ta po prostu zanosila się śmiechem.

– Nie... niemożliwe... absurdalne... przecież ty nigdy...

– Nie byłoby ci do śmiechu, gdybyś to ty miała go poślubić – mruknęła Daisy ponuro.

Westcliff chwilę wodził wzrokiem po nich obu.

– A co jest nie tak z panem Swiftem? Wasz ojciec uważa go za godnego szacunku młodego mężczyznę.

– Wszystko jest z nim nie tak. – Lillian parsknęła śmiechem.

– Wasz ojciec wysoko go ceni – nie zgodził się Westcliff.

– Och. – Lillian się skrzywiła. – Próżności ojca pochlebia to, jak pan Swift pragnie go naśladować, i to, z jakim oddaniem go słucha.

Hrabia rozważał chwilę jej słowa, nabierając przy tym na łyżeczkę cytrynowego lodu. Podał żonie do ust, a Lillian jęknęła, gdy zimny płyn spłynął jej do gardła.

– Czyżby ojciec mylił się, utrzymując, że pan Swift jest inteligentny? – zapytał Westcliff.

– On jest inteligentny – przyznała Daisy – ale nie sposób z nim rozmawiać... Zadaje tysiąc pytań, chłonie wszystko, co ktoś mówi, ale sam z niczym się nie zdradza.

– Może jest nieśmiały – podpowiedział Westcliff.

Tym razem Daisy nie zdołała opanować śmiechu.

– Zapewniam cię, milordzie, że pan Swift nie jest nieśmiały. Jest... – Nie potrafiła ubrać swoich myśli w słowa.

Matthew Swift emanował chłodem, na dodatek wytwarzał wokół siebie nieznośną aurę wyższości. Nic nie można było mu powiedzieć... bo wiedział wszystko. Daisy dorastała otoczona ludźmi bezkompromisowymi, nie mogła więc znieść jeszcze jednej nieelastycznej, apodyktycznej osoby w swoim życiu.

Pan Swift doskonale pasował do Bowmanów, i to jej zdaniem źle o nim świadczyło.

Może byłby bardziej znośny, gdyby miał w sobie cokolwiek czarującego lub atrakcyjnego. Los nie obdarował go jednak żadnymi przymiotami charakteru, poskąpił też urody. Zero poczucia humoru, empatii. Wysoki, nieproporcjonalny, żylasty, jego ręce i nogi przypominały strąki fasolki szparagowej. Daisy przypomniała sobie, że surdut zdawał się wisieć na nim, jakby pod spodem zupełnie nic nie było.

– Zamiast mówić o tym, czego w nim nie lubię – oświadczyła – łatwiej będzie mi powiedzieć, że nie ma żadnego powodu, dla którego mogłabym go lubić.

– Nie jest atrakcyjny – przyznała Lillian. – Worek kości. – Poklepała muskularny tors męża, wyrażając cichą pochwałę dla jego tężyzny fizycznej.

Zrobił rozbawioną minę.

– Czy Swift posiada jakąkolwiek zaletę?

Zastanawiała się.

– Ma ładne zęby – mruknęła Daisy.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Lillian. – Przecież on się nigdy nie uśmiecha!

– Bardzo surowo go oceniacie – stwierdził Westcliff. – Ale weźcie pod uwagę, że pan Swift mógł się przecież zmienić od waszego ostatniego spotkania.

– Na pewno nie na tyle, bym zgodziła się go poślubić – oświadczyła Daisy.

– Nie będziesz musiała tego robić, jeśli nie zechcesz – zapewniła ją Lillian zapalczywie, wysuwając się z objęć męża. – Prawda, Westcliff?

– Oczywiście, kochanie. – Hrabia odgarnął włosy z jej twarzy.

– Nie pozwolisz, by ojciec odebrał mi Daisy – domagała się potwierdzenia Lillian.

– Oczywiście, że nie. Zawsze da się coś wynegocjować.

Znów się do niego przytuliła, pokładając całkowitą wiarę w umiejętności męża.

– Proszę, Daisy – wymamrotała. – Nie ma powodów do zmartwień... Widzisz? Westcliff ma wszystko... – ziewnęła szeroko – pod kontrolą...

Widząc, że powieki siostry opadają, Daisy uśmiechnęła się ze współczuciem. Spojrzała ponad głowę Lillian na Westcliffa i pokazała mu gestem, że już wychodzi. Odpowiedział jej uprzejmym skinieniem głowy i skupił całą swoją uwagę na sennej małżonce. Daisy od razu nasunęło się pytanie, czy kiedykolwiek jakiś mężczyzna też tak na nią spojrzy – jak na cenny skarb.

Wierzyła, że Westcliff będzie się starał pomóc, choćby przez wzgląd na Lillian. Ale wiarę w powodzenie studziła jednak znajomość nieustępliwego charakteru ojca.

Była gotowa sprzeciwić się mu na wszelkie możliwe sposoby, miała jednak przeczucie, że los jej w tym nie sprzyja.

Przystanąła jeszcze w progu pokoju i popatrzyła na parę na sofie. Lillian już twardo spała, jej głowa spoczywała na piersi Westcliffa. Gdy hrabia napotkał smutne spojrzenie Daisy, uniósł brew w niemym pytaniu.

– Mój ojciec... – zaczęła Daisy, po czym przygryzła wargę. Ten mężczyzna był partnerem w interesach jej ojca. Nie powinna mu się skarżyć. Ale spokój, jakim emanował, zachęcił ją do zwierzeń. – Nazwał mnie pasożytem – dokończyła cicho, by nie obudzić Lillian. – Zapytał, w jaki sposób świat korzysta na moim istnieniu i co dla kogoś kiedykolwiek zrobiłam.

– A ty odpowiedziałaś, że...?

– Nic nie przyszło mi do głowy.

Oczy Westcliffa koloru kawy miały nieprzenikniony wyraz. Gestem wezwał ją, by podeszła do sofy, a ona posłuchała. Była zdumiona, gdy ujął jej dłoń i uściśnął ciepło. Bardzo powściągliwy zazwyczaj hrabia nie zdobywał się wcześniej na takie okazywanie uczuć.

– Daisy – powiedział cicho – ludzkie życie rzadko obfituje w wielkie osiągnięcia. Jego miarą jest nieskończona liczba małych osiągnięć. Za każdym razem, gdy wyświadczasz komuś uprzejmość lub wywołujesz uśmiech na czyjejs twarzy, nadaje to twemu życiu znaczenie. Nigdy nie wątp w swoją

wartość, moja mała przyjaciółko. Świat bez Daisy Bowman byłby bardzo nieciekawym, ponurym miejscem.

Niewiele osób sprzeciwiłoby się twierdzeniu, że Stony Cross Park to jedna z najpiękniejszych posiadłości w Anglii. Położony w Hampshire majątek cechowała ogromna różnorodność – od niemal nieprzeniknionych lasów po ukwiecone łąki i mokradła z solidnym domem z kamienia w kolorze miodu, usytuowanym na skarpie rzeki Itchen.

Życie rozkwitało tutaj wszędzie – młode pędy strzelały spomiędzy zgniłych liści pod pniami splekanych dębów i cedrów, a kępy dzwonek jaśniały w ciemniejszych częściach lasu.

Czerwone koniki polne przemierzały doliny porośnięte dzikimi pierwiosnkami i rzeżuchą łąkową, a nad misternie uformowanymi białymi płatkami bobrów unosiły się ważki o przejrzystych niebieskich skrzydłach. Pachniało wiosną, w powietrzu unosił się słodki i świeży aromat przyciętych żywopłotów i skoszonych trawników.

Po dwunastogodzinnej podróży powozem, którą Lillian opisała jako drogę przez piekło, Westcliffowie, Bowmanowie i wybrani goście wreszcie dotarli do Stony Cross Park.

Niebo w Hampshire miało inny odcień błękitu – łagodniejszy, a wszędzie wokół panowała błoga cisza. Nie było słychać stukotu kół ani kopyt na brukowanych ulicach, głosów kupców ani żebraków, fabrycznych syren ani żadnych innych hałasów, które bezustannie atakowały uszy w mieście. Tutaj rozlegało się tylko ćwierkanie rudzików w gałęziach krzewów, stukot dzięciołów w koronach drzew i czasami wrzask zimorodków zamieszkujących trzcinowe zarośla nad rzeką.

Lillian, która kiedyś twierdziła, że wieś to „potworna nuda”, teraz była zachwycona powrotem do posiadłości. Rozkwitała w atmosferze Stony Cross Park i już po pierwszej nocy spędzonej tutaj wyglądała i czuła się o wiele lepiej niż zwykle. Cięży nie dało się już ukryć pod sukniami z podwyższoną talią, rozpoczął się więc dla niej etap odosobnienia, nie mogła już udzielać się towarzysko. W swojej własnej posiadłości cieszyła się natomiast względną wolnością, choć musiała ograniczyć relacje z gośćmi do niewielkich grup.

Daisy była zachwycona, że na czas wizyty otrzymała swoją ulubioną sypialnię. Uroczy, staroświecki pokój należał kiedyś do siostry Westcliffa, lady Aline, obecnie mieszkającej w Ameryce z mężem i synem. Sypialni dodawał uroku, będący osobnym pomieszczeniem, mały gabinet, którego wyposażenie sprowadzono z Francji, z siedemnastowiecznego château. W gabinecie ustawiono też szeszlony idealny do drzemki lub lektury.

Na nim zwinęła się Daisy z książką i czuła się tak, jakby zdołała ukryć się przed resztą świata. Och, gdyby tylko mogła zamieszkać z siostrą w Stony Cross Park już na zawsze! Pomyślawszy, od razu jednak zrozumiała, że nie byłaby wtedy naprawdę szczęśliwa. Pragnęła własnego życia... własnego męża i własnych dzieci.

Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, ona i matka w czymś się zgadzały. Zjednoczyło je pragnienie niedopuszczenia do małżeństwa Daisy z wstrętym Matthew Swiftem.

– Och, ten okropny młody człowiek! – zawołała Mercedes. – Bez wątplenia to on podsunął twojemu ojcu ten nedorzeczny pomysł... Zawsze podejrzewałam, że...

– Co podejrzewałaś? – chciała wiedzieć Daisy, lecz matka tylko zacisnęła wargi.

Mercedes przejrzała listę gości, po czym poinformowała Daisy, że w przyjęciu weźmie udział sporo kawalerów do wzięcia.

– Nawet jeśli nie wszyscy stoją w kolejce do tytułu, pochodzą z arystokratycznych rodzin –

podkreśliła. – Kto wie... Czasami dochodzi do tragedii... Śmiertelna choroba lub zbiorowy wypadek. Kilku członków rodziny może nagle zniknąć z powierzchni ziemi, a wtedy twój mąż odziedziczy tytuł! – Z nadzieją, że pasmo nieszczęść przetrzebi przyszlą rodzinę Daisy, Mercedes znów pochyliła się nad listą.

Daisy nie mogła się już doczekać, kiedy do Stony Cross zjadą Evie i St. Vincent. Tęskniła za Evie straszliwie, zwłaszcza odkąd całą uwagę Annabelle pochłaniało dziecko, a Lillian stała się zbyt powolna w ruchach, by towarzyszyć jej w spacerach, które bardzo lubiła.

Trzeciego dnia po przyjeździe do Hampshire Daisy samotnie wybrała się na popołudniową przechadzkę. Uczęszczaną ścieżką, dobrze już poznaną podczas poprzednich wizyt. Włożyła na tę okazję suknię z bladoniebieskiego muślinu w kwiatowy wzór, solidne trzewiki i słomkowy kapelusz, który trzymała teraz za wstążki.

Idąc mokrą drogą przez łąki porośnięte żółtym jaskółczym zieleń i czerwonymi rosiczkami, rozmyślała nad swoim problemem.

Dlaczego tak trudno jej znaleźć męża?

Nie to przecież, iż nie pragnie miłości. Wręcz przeciwnie – była na nią otwarta, chciałyby się zakochać, dlatego wydawało się jej potwornie niesprawiedliwe, że jeszcze nikogo nie znalazła. Przecież próbowała! Zawsze jednak coś przeszkadzało.

Jeśli dżentelmen był w odpowiednim wieku, okazywał się bierny lub pompatyczny. Jeśli miły i interesujący, wiek predestynował go zazwyczaj do roli jej dziadka lub ujawniała się jakaś wyjątkowo odpychająca cecha, na przykład cuchnący oddech lub plucie podczas mówienia.

Wiedziała, że nie jest piękną. Była drobna i szczupła, a choć zwracano uwagę na jej ładne ciemne oczy i ciemnobrązowe włosy czy porcelanową twarz, widziano w niej dziewczynę „chochlikową” i „eteryczną”. Takie kobiety nie przyciągały konkurentów w przeciwieństwie do posągowej piękności i wiotkich bogiń.

Czasami zwracano jej uwagę, że za dużo czasu poświęca książkom, co bez wątplenia było prawdą. Gdyby tylko mogła, całe dni spędzałaby na czytaniu i snuciu marzeń. Każdy rozsądny arystokrata musiał więc dojść do wniosku, że nie sprawdzałaby się jako zapobiegliwa pani domu. I żaden z nich by się nie pomylił.

Daisy wcale nie dbała o zawartość spiżarni ani o to, ile mydła trzeba zamówić na dzień prania. O wiele bardziej interesowały ją powieści, poezja i historia, inspiracje do głębokich przemyśleń i wielogodzinne wpatrywanie się w okno... Wyobraźnia zabierała ją na egzotyczne wyprawy, loty magicznymi dywanami, rejsy przez nieznane oceany w poszukiwaniu skarbów na tropikalnych wyspach.

W marzeniach pojawiali się też zachwycający dżentelmeni o wielkich przymiotach charakteru, którzy dokonywali bohaterских czynów. Oni okazywali się bardziej interesujący niż ci rzeczywisci... Mówili piękną prozą, celowali w walce na miecze i pojedynkach, wymuszali przyprawiające o zawrót głowy pocałunki na damach swego serca.

Rzecz jasna, Daisy nie była na tyle naiwna, by wierzyć, że są na świecie tacy mężczyźni, musiała jednak przyznać, iż na tle romantycznych wizji w jej głowie prawdziwi ludzie wydawali się... cóż, okropnie nudni.

Uniosła głowę, promienie słońca przedzierały się jaskrawymi pasmami przez baldachim liści, muskając jej twarz, i zanuciła zwawą piosenkę ludową *Stara panna na poddaszu*.

*Z milionerów lub nędzarzy,
Z głupców lub krynic mądrości,
Niechaj mi się jaki bądź przydarzy,
I poślubi – chociażby z litości!*

Wkrótce dotarła do celu swej wędrówki – studni, którą odwiedziła już parokrotnie z innymi „paprotkami” – pannami na wydaniu. Stała przed studnią życzeń. Według miejscowej legendy, zamieszkujący ją duch spełniał życzenia w zamian za spinki do włosów. Nie wolno było stawać za blisko, istniało bowiem ryzyko, że duch schwyta pannę i wciągnie do środka, by uczynić ją swoją małżonką na wieczność.

Przy poprzednich wizytach Daisy wypowiadała życzenia w imieniu swoich przyjaciółek... a te zawsze się spełniały. Teraz sama potrzebowała odrobiny magii.

Położyła kapelusz na ziemi, podeszła do szemrzącego zbiornika i zajrzała w jego mętną otchłań. Z kieszeni spacerowej sukni wyjęła całe opakowanie spinek.

– Duchu studni – mówiła lekkim tonem – ponieważ nie mam szczęścia w szukaniu takiego męża, jakiego zawsze chciałam, pozostawiam decyzję tobie. Żadnych wymagań, żadnych warunków. Pragnę... odpowiedniego dla mnie mężczyzny. Mam otwarty umysł.

Powoli wyjmowała spinki z opakowania i wrzucała po dwie lub trzy do studni. Metalowe wsuwki migotały w powietrzu, zanim wpadły do wody i zginęły w odmętach.

– Chciałabym, byś wszystkie spinki zaliczył na poczet jednego życzenia – dodała. Długą chwilę stała nad studnią, zamknąwszy oczy, skoncentrowana na swoim życzeniu. Szum wody zagłuszało tylko poświstywanie polujących na owady oliwkowych pierwiosnków i brzęczenie ważek.

Nagle tuż za nią rozległ się trzask, odgłos łamanej stopami gałązki.

Odwróciła się i zobaczyła wysokiego mężczyznę. Szedł w jej stronę, dzieliło ich już tylko kilka kroków. Myślała, że jest tutaj sama, ogarnął ją strach, serce gwałtownie załomotało.

Mężczyzna był wysmukły i postawny jak mąż przyjaciółki Annabelle, choć wydawał się młodszy, nie miał jeszcze chyba trzydziestu lat.

– Proszę o wybaczenie – powiedział niskim głosem na widok jej miny. – Nie chciałem pani przestraszyć.

– Och, nie przestraszył mnie pan – skłamała radośnie, wciąż nie mogąc opanować łomotania serca. – Tylko trochę... zaskoczył.

Podszedł do niej powoli z dłońmi w kieszeniach.

– Przyjechałem kilka godzin temu – dodał. – Powiedziano mi, że pani spaceruje.

Wyglądał znajomo. Zachowywał się tak, jakby spodziewał się, że Daisy go zna. Poczowała ukłucie skruchy, jak zawsze wtedy, gdy zapomniała kogoś, kto został jej przedstawiony.

– Jest pan gościem lorda Westcliffa? – zapytała, rozpaczliwie próbując skojarzyć jego nazwisko.

Uśmiechnął się lekko.

– Tak, panno Bowman.

Znał jej nazwisko. Wpatrywała się w niego skonsternowana. Niemożliwe, by zapomniała o tak atrakcyjnym mężczyźnie. Miał mocne, wyraziste rysy. Był zbyt męski, by nazwać go pięknym, i zbyt przystojny, by zarzucić mu przeciętność. Błękit jego oczu wydawał się jeszcze intensywniejszy na tle opalonej twarzy. Było w nim coś fascynującego, jakaś niezwykła, ledwie hamowana witalność.

Gdy pochylił głowę, by na nią spojrzeć, w słońcu brązowe włosy mężczyzny nabrały mahoniowego

blasku. Gęste pasma były przycięte krócej, niż preferowali Europejczycy. Bardziej w stylu amerykańskim. Mówił z amerykańskim akcentem. A ten świeży, czysty zapach, który wyczuła... Jeśli węch jej nie mylił, tak pachniało tylko... mydło Bowmanów.

Nagle uświadomiła sobie, kogo ma przed sobą. Kolana się pod nią ugięły.

– To ty – szepnęła, a jej oczy zognomniały ze zdumienia, gdy spojrzała w twarz Matthew Swifta.

ROZDZIAŁ 2

Chyba się zachwiała, bo mężczyzna podtrzymał ją za ramiona.

– Pan Swift – wykrztusiła, cofając się.

– Wpadnie pani do studni. Proszę ze mną.

Jego uścisk był delikatny, lecz nieustępliwy, gdy ujął ją pod ramię. Poirytowana, że prowadzi ją niczym zbłąkaną gęś, Daisy napięła mięśnie. Niektóre rzeczy, pomyślała ponuro, nigdy się nie zmieniają. Matthew Swift okazał się dominujący jak dawniej.

Patrzyła na niego, nie kryjąc zdziwienia. Dobry Boże, nigdy w życiu nie widziała tak zdumiewającej transformacji. „Worek kości”, jak nazwała go Lillian, stał się potężnym, zamożnie wyglądającym mężczyzną, który emanował zdrowiem i wigorem. Miał na sobie eleganckie ubranie o kroju nieco luźniejszym niż modne do niedawna stroje. Mimo to swobodne linie materiałów nie przesłaniały skrywającej się pod nimi muskulatury.

Nie chodziło jednak tylko o stronę fizyczną. Dojrzałość otoczyła go aurą rażącej pewności siebie – ten człowiek znał swoje możliwości. Daisy przypomniła sobie dzień, kiedy rozpoczął pracę dla jej ojca... chudy, zimny oportunistą w kosztownym, lecz źle dopasowanym surducie i zniszczonych butach.

– To właśnie cały stary Boston – oświadczył ojciec z zachwytem, gdy wysłużone obuwie wywołało falę komentarzy w rodzinie. – Chodzą w jednych butach i jednym surducie całą wieczność. Oszczędność to dla nich religia, niezależnie od tego, jaką fortuną dysponują.

Daisy wysunęła się z uścisku Swifta.

– Zmienił się pan. – Na korzyść, dodała w duchu, próbując dojść do siebie.

– A pani nie – odparł. Nie potrafiła określić, czy to komplement, czy może krytyka. – Co pani robiła przy studni?

– Ja... Pomyślałam... – Na próżno szukała rozsądnego wyjaśnienia. Nic nie przychodziło jej do głowy. – Tu mogą spełnić się życzenia.

Minę miał poważną, lecz w wyrazistych niebieskich oczach zapłonął podejrzany ogień, jakby odpowiedź go rozbawiła.

– Rozumiem, że to sprawdzona informacja?

– Wszyscy ludzie z wioski tutaj przychodzą – powiedziała zgryźliwie. – To legendarna studnia życzeń.

Wpatrywał się w nią w sposób, którego nie cierpiała – jakby nic nie mogło ujść jego uwagi. Pod wpływem tego spojrzenia oblała się gorącym rumieńcem.

– Czego sobie pani zażyczyła?

– To sprawa osobista.

– O ile panią znam, to mogło być wszystko.

– Pan mnie wcale nie zna – wypaliła. Pomyśl, że jej ojciec był gotów oddać ją mężczyźnie, który

był dla niej pod tyłoma względami nieodpowiedni... Szaleństwo. Małżeństwo z nim okazałoby się biznesową wymianą pieniędzy i zobowiązań. Rozczarowaniem i wzajemnym pogardzaniem. Była pewna, że nie pociąga go bardziej niż on jej. Nigdy nie poślubiłby takiej dziewczyny jak ona, gdyby nie urok firmy jej ojca.

– Może nie – zgodził się, choć w jego słowach pobrzmiwała fałszywa nuta. Pewnie był przekonany, że dobrze wie, kim i jaka jest. Mierzyli się wzrokiem, jakby oceniali się nawzajem i prowokowali.

– Biorąc pod uwagę legendarny status tej studni – dodał – nie chciałbym przeoczyć takiej okazji. – Sięgnął do kieszeni, grzebał w niej chwilę, po czym wyciągnął dużą srebrną monetę. Daisy od wieków nie widziała amerykańskich pieniędzy.

– Należy wrzucić do środka wsuwkę do włosów – oznajmiła.

– Nie posiadam.

– Pięciodolarowej monety chyba pan nie wyrzuci?

– Nie wyrzucam jej. To inwestycja. Proszę mi powiedzieć, jak dokładnie należy wypowiedzieć życzenie. Na szali leży duża kwota.

– Pan sobie ze mnie żartuje.

– Jestem śmiertelnie poważny. A jako że nigdy jeszcze tego nie robiłem, naprawdę przydałaby mi się rada. – Czekał na jej odpowiedź, a gdy stało się jasne, że żadnej nie będzie, lekko się uśmiechnął.

– Tak czy inaczej wrzucę monetę do studni.

Daisy przekląła się w duchu. Oczywiście, że mężczyzna z niej drwi, ale nie potrafiła się oprzeć. Nie należy marnować życzeń, zwłaszcza takich za pięć dolarów. Do diaska!

Podeszła do studni i powiedziała szorstko:

– Najpierw proszę ogrzać monetę w dłoni.

Swift stanął obok niej.

– A potem?

– Proszę zamknąć oczy i skupić się na tym, czego najbardziej pan pragnie. – W jej głosie dało się słyszeć pogardliwy ton. – I musi to dotyczyć spraw osobistych. Nie może pan myśleć o fuzjach ani funduszach bankowych.

– Czasami zdarza mi się myśleć o sprawach innych niż interesy.

Rzuciła mu sceptyczne spojrzenie, a on zaskoczył ją przelotnym uśmiechem.

Czy widziała kiedykolwiek, by się uśmiechał? Może raz lub dwa. Miała w pamięci chwilę, kiedy w jego wymizerowanej twarzy na krótko błysnęły białe zęby w grymasie, który mógł świadczyć o przypływie dobrego humoru. Teraz ten uśmiech był jednak nieco krzywy, taki rozbrajający i kuszący... Jak przebłysk ciepła, który sprawił, że pomyślała, iż pod tą ponurą fasadą ukrywa się zupełnie inny człowiek.

Odczuła przemożną ulgę, gdy uśmiech zniknął, a na twarz pana Swifta powróciła typowa dla niego grobowa mina.

– Proszę zamknąć oczy – przypomniała mu. – I zapomnieć o wszystkim poza życzeniem.

Zamknął oczy, dzięki czemu mogła bezwstydnie go obserwować. Nie była to twarz, z którą chłopiec mógłby czuć się swobodnie... Rysy wydawały się zbyt ostre, nos za długi, szczęka zbyt kwadratowa.

Swift dorósł jednak do swojej twarzy. Jej surowy wyraz łagodziły ekstrawagancko długie czarne rzęsy i usta znamionujące zmysłowość.

– I co teraz? – mruknął.

Wpatrzona w niego Daisy przeraziła się, gdy nagle wbrew sobie owładnęło ją pragnienie, by podejść bliżej i dotknąć opalonego policzka opuszkami palców.

– Gdy w pańskim umyśle utrwali się obraz – zdołała wykrztusić – proszę otworzyć oczy i wrzucić monetę do studni.

Uniósł powieki, a jego oczy płonęły ogniem uwięzionym w błękitnym szkłe.

Nie patrząc na studnię, wrzucił monetę w sam jej środek.

Daisy serce łomotało w piersi jak wtedy, gdy czytała co ciekawsze fragmenty *Losu Penelopy*, powieści o pannie niewinnej porwanej przez złoczyńcę i uwięzionej w wieży, dopóki mu się nie odda.

Doskonale wiedziała, że to głupiutka powieść, lecz mimo wszystko lektura ją wciągnęła. Co więcej, odczuła wręcz perwersyjne rozczarowanie, gdy przed upadkiem uratował Penelopę nijaki złotowłosy Reginald – ani w połowie tak interesujący, jak złoczyńca.

Oczywiście perspektywa zamknięcia w wieży bez żadnych książek wcale nie pociągała Daisy. Groźne monologi złoczyńcy opiewającego urodę Penelopy, jego pożądanie i zepsucie, jakie zamierzał na nią sprowadzić, okazały się jednak dość intrygujące.

Co za pech, że Matthew Swift powrócił, wyglądając dokładnie tak, jak przystojny złoczyńca z wyobraźni Daisy.

– Czego pan sobie zażyczył? – zapytała.

Kącik jego ust uniósł się lekko.

– To sprawa osobista.

Wykrzywiła gniewnie wargi, słysząc echo własnych słów. Zauważyła swój kapelusz w trawie i pochyliła się, by go podnieść. Musiała jak najszybciej uciec od tego niepokojącego mężczyzny.

– Wracam do posiadłości – rzuciła przez ramię. – Miłego dnia, panie Swift. Życzę udanego spaceru.

Ku jej rozgoryczeniu dogonił ją w kilku długich krokach, po czym dostosował swoje tempo do niej.

– Będę pani towarzyszył.

Nawet na niego nie spojrzała.

– Wolałabym nie.

– Dlaczego? Idziemy w tę samą stronę.

– Wolę spacerować w milczeniu.

– W takim razie będę milczał. – Ani na chwilę nie zwolnił kroku.

Doszła do wniosku, że wszelkie protesty są bezcelowe, skoro pan Swift powziął postanowienie, i tylko zacisnęła wargi. Sceneria – łąka, las – nie straciła nic z wcześniejszego uroku, ale nagle przestała ją cieszyć.

Nie zdziwiła się, że Swift zignorował jej obiekcje. Bez wątpienia tak samo wyobrażał sobie ich małżeństwo – nieważne, czego ona by pragnęła lub o co prosiła, on lekceważyłby jej życzenia i upierał się przy swoich racjach.

Zapewne uważał ją za potulne dziecko. Arogant, myślał pewnie, że będzie mu wdzięczna, gdy zgodzi się ją poślubić. Zastanawiała się, czy w ogóle zamierza się oświadczyć. Pewnie tylko rzuci pierścionek na jej kolana i nakaze jej go włożyć.

Podczas tego ponurego spaceru Daisy musiała walczyć z pokusą, by nie zerwać się do ucieczki. Swift miał tak długie nogi, że jeden jego krok przypadał na jej dwa. Czuła się okropnie. Ten spacer symbolizował całą ich przyszłość. Mogła tylko dreptać obok niego ze świadomością, że niezależnie

od tego, jak daleko i jak szybko zajdzie, nie zdoła go wyprzedzić.

Nie potrafiła już znieść pełnej napięcia ciszy.

– Pan podpowiedział mojemu ojcu ten pomysł? – wypaliła.

– Jaki pomysł?

– Och, proszę mnie nie traktować jak dziecka. – Nie kryła irytacji. – Wie pan, o czym mówię.

– Naprawdę nie wiem.

Jak widać, zamierzał uprawiać z nią te swoje gierki.

– Mówię o układzie, jaki zawarł pan z moim ojcem. Chce mnie pan poślubić, by odziedziczyć firmę.

Zatrzymał się tak gwałtownie, że w innych okolicznościach wybuchnęłaby śmiechem. Jakby wpadł na niewidzialną ścianę. Daisy również przystanęła, skrzyżowała ramiona na piersi i odwróciła się do niego twarzą.

Zrobił wielkie oczy.

– Ja... – Ochrypl tak, że musiał odchrząknąć, zanim znów się odezwał. – Nie wiem, o czym pani mówi, do diabła.

– Nie?

Jak widać, pomyliła się. Ojciec nie wyjawiał mu jeszcze szczegółów swojego planu.

Gdyby człowiek mógł umrzeć ze wstydu, Daisy padłaby trupem na miejscu. Właśnie naraziła się na najbardziej upokarzającą odprawę w całym swoim życiu. Swift musiał tylko powiedzieć teraz, że nigdy nie zgodzi się poślubić paprotki.

Szum liści i szczebiot ptaków stał się niemal ogłuszający w ciszy, jaka zapadła. Daisy nie potrafiła, rzecz jasna, czytać w myślach Swifta, lecz nagle wyczuła, że mężczyzna w pośpiechu analizuje możliwości i rezultaty.

– Mój ojciec przedstawił mi sprawę tak, jakby wszystko było już ustalone – dodała. – Myślałam, że rozmawialiście o tym podczas jego ostatniej wizyty w Nowym Jorku.

– Nigdy o niczym takim nie wspominał. Nigdy nie przyszło mi do głowy, by panią poślubić. I nie mam ambicji odziedziczenia jego firmy.

– Pan ma tylko ambicję.

– To prawda. – Przyglądał się jej uważnie. – Ale nie muszę się z panią żenić, by zabezpieczyć sobie przyszłość.

– Mój ojciec uważa, że z radością skorzysta pan z okazji, by stać się jego zięciem. Myśli, że darzy go pan sympatią.

– Wiele się od niego nauczyłem – padła przewidywalnie ostrożna odpowiedź.

– Na pewno. – Daisy skryła się za pogardliwą miną. – Nauczył pana wielu rzeczy, które przynoszą panu korzyści w interesach. Nie skorzysta pan jednak na jego radach w życiu osobistym.

– Nie pochwała pani drogi obranej przez ojca.

– To prawda, ponieważ zaprzedał jej serce i duszę, zapominając o tych, którzy go kochają.

– Dzięki niemu opływa pani w dostatki – wytknął. – Ma pani luksus poślubienia brytyjskiego arystokraty.

– Nie prosiłam o te luksusy! Ja pragnę tylko mieć spokojne życie.

– Przesiadywać w bibliotece i czytać? – zasugerował uprzejmie. – Spacerować w ogrodzie? Cieszyć się towarzystwem przyjaciółek?

– Tak!

– Książki są drogie. Tak jak ładne domy z ogrodami. Nie przyszło pani do głowy, że ktoś musi płacić za to spokojne życie?

Jego pytanie tak bardzo przypominało oskarżenia ojca o pasożytnictwo, że aż się wzdrygnęła.

Zauważył jej reakcję i natychmiast zmienił ton. Zaczął coś mówić, ale Daisy ostro mu przerwała.

– To nie pana sprawa, jakie życie prowadzę i kto za to płaci. Nie dbam o pańskie opinie, a pan nie ma prawa zmuszać mnie, bym ich wysłuchiwała.

– Mam takie prawo, jeśli czeka nas wspólna przyszłość.

– Na pewno nie czeka!

– Hipotetycznie.

Och, jak bardzo nienawidziła osób, które uciekają się do semantyki podczas kłótni.

– Nasze małżeństwo nigdy nie wyjdzie poza ramy hipotezy – oświadczyła. – Ojciec dał mi czas do końca maja na znalezienie męża... I zrobię to.

Spojrzał na nią z nagłym zainteresowaniem.

– Domyślam się, jakiego męża pani szuka. Jasnowłosego arystokraty, wrażliwego, o wesołym usposobieniu, który ma mnóstwo czasu na dżentelmeńskie rozrywki...

– Dokładnie – wtrąciła Daisy, zastanawiając się, dlaczego w jego ustach ten opis brzmi tak niedorzecznie.

– Tak myślałem. – Pewność w jego głosie podziałała na nią jak czerwona płachta na byka. – Powodem, dla którego dziewczyna o takiej urodzie od trzech sezonów nie znalazła sobie męża, mogą być tylko niemożliwie wysokie standardy. Pani marzy o mężczyźnie idealnym. I właśnie dlatego ojciec naciska, by podjęła pani decyzję.

Zbiło ją z tropu określenie „dziewczyna o takiej urodzie”. Jakby była jakąś wielką pięknoscią. Wyczuła jednak sarkazm w tych słowach, co jeszcze podniosło jej ciśnienie.

– Nie pragnę poślubić mężczyzny idealnego – wycedziła. W przeciwieństwie do siostry, która przeklinała ze zdumiewającą płynnością, Daisy traciła mowę, gdy wpadała w złość. – Zdaję sobie sprawę, że ktoś taki nie istnieje.

– Dlaczego w takim razie pani sobie kogoś nie znalazła, skoro nawet pani siostra zdołała złapać męża?

– Co to znaczy „nawet” moja siostra?

– „Ożeń się z Lillian, dostaniesz milion”. – Ten obraźliwy dwuwiersz wywołał wiele pogardliwego rozbawienia w wyższych sferach Manhattanville. – Jak pani myśli, dlaczego nikt w Nowym Jorku nie oświadczył się pani siostrze pomimo ogromnego posagu? Stanowi ona najgorszy koszmar każdego mężczyzny.

Ta kropla przelała czarę.

– Moja siostra to skarb, a Westcliff ma na tyle dobry gust, by to zauważyć. Mógł się ożenić z każdą, ale zapragnął właśnie jej. Ciekawe, czy ośmieli się pan powtórzyć tę opinię w obecności hrabiego! – Okręciła się na pięcie, po czym ruszyła przed siebie tak szybko, jak tylko pozwalały jej niedługie nogi.

Swift z łatwością dotrzymywał jej kroku. Dłonie nonszalancko wcisnął w kieszenie.

– Koniec maja... – rozmyślał głośno, jakby tempo spaceru nie robiło na nim wrażenia. – To mniej niż dwa miesiące. Jak pani znajdzie odpowiedniego konkurenta w tak krótkim czasie?

– Stanę na rogu ulicy ze stosowną tabliczką, jeśli będzie trzeba.

– Z całego serca życzę pani powodzenia, panno Bowman. Nie jestem bowiem pewien, czy mam

ochotę wygrać walkowerem.

– Nie wygra pan walkowerem! Zapewniam pana, panie Swift, że żadna siła nie zmusiłaby mnie, bym zgodziła się zostać pańską żoną. Gorąco współczuję tej biedaczce, na którą padnie pański wybór... Nie potrafię sobie wyobrazić żadnej kobiety, która zasługiwałaby na męża tak zimnego, zadufanego w sobie, fałszywego skromnisia...

– Chwileczkę. – Jego ton złagodniał. – Daisy...

– Proszę nie mówić do mnie po imieniu!

– Ma pani rację. To było niestosowne. Proszę o wybaczenie. Panno Bowman, ta wrogość jest niepotrzebna. Stajemy w obliczu problemu, który może mieć poważne konsekwencje dla nas obojga. Spodziewam się, że zdołamy odnosić się do siebie na tyle cywilizowanie, by znaleźć jakieś znośne rozwiązanie.

– Rozwiązanie jest tylko jedno – prychnęła Daisy. – Musi pan powiedzieć mojemu ojcu, że kategorycznie nie zgadza się mnie poślubić pod żadnymi warunkami. Proszę mi to obiecać, a postaram się traktować pana uprzejmie.

Znów się zatrzymał, więc Daisy także musiała przystanąć. Odwróciła się do niego i uniosła brwi. Chyba nie będzie trudno mu to obiecać, biorąc pod uwagę jego wcześniejsze słowa. On jednak wpatrywał się w nią z nieprzeniknioną miną i rękami w kieszeniach. Jego twarz stężała w napięciu. Wyglądał tak, jakby czegoś nasłuchiwał.

Bezceremonialnie taksował ją wzrokiem, z osobliwym błyskiem w oku, przesywającym na wskroś. Obserwował ją jak gotowy do skoku tygrys. Zerknęła na niego, rozpaczliwie próbując rozszyfrować jego myśli – skąd ten cień rozbawienia na jego twarzy i jakaś żądza głodu. Głodu czego? Wrażeń? Przecież nie jej, na pewno nie.

– Nie – odezwał się wreszcie cicho, jakby do siebie.

W osłupieniu pokręciła głową. Zaszło jej w ustach, musiała zwilżyć wargi koniuszkiem języka, by móc mówić. Podążył wzrokiem za tym nieznacznym gestem, wprawiając ją w zdenerwowanie.

– W jakim sensie? Nie, nie poślubię pani? – zapytała.

– Nie, w takim sensie, że nie mogę tego obiecać.

Po tych słowach ruszył rażno w stronę posiadłości, nie zważając na jej chwiejny krok.

– Zamierza cię torturować – skwitowała Lillian z odrazą, gdy Daisy zdała relację z tego, co ją spotkało. Siedziały w saloniku na piętrze ze swymi najbliższymi przyjaciółkami, Annabelle Hunt i lady Evie St. Vincent. Spotkały się wszystkie dwa lata temu, cztery paprotki, które z różnych powodów nie mogły znaleźć sobie odpowiedniego męża.

W wiktoriańskim społeczeństwie panowało powszechne przekonanie, że przez swoją zmienną naturę i mniejszy mózg kobiety nie mogą zawierać takich przyjaźni jak mężczyźni. Tylko oni potrafili być wobec siebie lojalni i mogli utrzymywać prawdziwie szczere relacje.

Daisy uważała, że to bzdura. Łączyło ją z paprotkami... cóż, byłyimi paprotkami, bezgraniczne zaufanie. Pomagały sobie wzajemnie i dodawały otuchy bez cienia rywalizacji czy zazdrości. Daisy kochała Annabelle i Evie niemal tak mocno, jak kochała Lillian. Z łatwością mogła sobie wyobrazić, że kiedyś będą przy herbacie i ciastkach rozprawiać o wnukach, wszędzie chodzić razem niczym srebrnowłosa horda złośliwych staruszek.

– Nie chce mi się wierzyć, że pan Swift o niczym nie wiedział. – Lillian pokręciła głową. – On kłamie, na pewno sprzymierzył się z ojcem. Przecież to oczywiste, że chce odziedziczyć firmę.

Lillian i Evie siedziały na wyściełanych brokatem krzesłach przy oknie, a Daisy i Annabelle na podłodze w kolorowej chmurze spódnic. Pulchna dziewczynka o gęstych kręconych włosach raczkowała między nimi i zatrzymując się od czasu do czasu, marszczyła buzię, gdy usiłowała podnieść coś z dywanu miniaturowymi paluszkami.

Mała Isabelle, córka Annabelle i Simona Hunta, przysłała na świat dziesięć miesięcy temu. Żadnemu dziecku nie poświęcano dotąd tyle uwagi, ile temu, a ojciec nie był tu żadnym wyjątkiem.

Wbrew oczekiwaniom wszystkich energiczny i męski pan Hunt wcale nie poczuł rozczarowania na wieść, że jego pierworodny potomek to dziewczynka. Uwielbiał córkę, nie wahał się brać jej na ręce w towarzystwie i gawędził z nią w sposób, który nie był domeną innych ojców. Oświadczył nawet Annabelle, że w przyszłości również liczy na córki, tłumacząc, iż zawsze chciał być kochany przez wiele kobiet.

Jak można się było spodziewać, dziecko okazało się wyjątkowo piękne – Annabelle nie mogłaby wydać na świat potomstwa, które nie byłoby idealne pod każdym względem.

Daisy wzięła na ręce silną, wijącą się Isabelle i wtuliła nos w jej jedwabistą szyję, po czym znów położyła ją na dywanie.

– Trzeba było go słyszeć – powiedziała. – Ta jego arogancja. Oświadczył, iż sama jestem sobie winna, że wciąż nie mam męża. Uznał, że przyjęłam za wysokie standardy. I ośmielił się mnie pouczać. Nawijając do ceny moich książek, stwierdził, że ktoś musi płacić za moje wystawne życie.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła Lillian. Jej twarz przybrała kolor szkarłatu.

Daisy natychmiast pożałowała swoich słów. Rodzinny lekarz uprzedził ich, że Lillian nie powinna się denerwować w ostatnim miesiącu ciąży. W zeszłym roku zaszła w ciążę, lecz poroniła na wczesnym etapie. Bardzo to przeżyła, zwłaszcza że nic nie wskazywało w kontekście jej doskonałej formy fizycznej na takie zagrożenie.

Lekarz zapewniał, że nie powinna się obwiniać, lecz Lillian na długie tygodnie popadła w melancholię. Na szczęście dzięki wsparciu Westcliffa i miłości przyjaciółek doszła do siebie.

Gdy znów poczęła, postanowiła traktować ciążę mniej niefrasobliwie, wciąż mając w pamięci tę pierwszą. Niestety, nie należała do tych szczęśliwych kobiet, które rozkwitają w stanie błogosławionym. Puchła, męczyły ją mdłości i napady złego humoru wywołane restrykcjami, jakie narzucało jej ciało.

– Nigdy się na to nie zgodzę – zawołała teraz. – Nie poślubisz Matthew Swifta, a ja pošlę ojca do diabła, jeśli ośmieli się wywieźć cię z Anglii!

Daisy podniosła rękę i położyła ją na kolanie siostry w kojącym geście.

– Wszystko będzie dobrze, Lillian. – Zmusiła się do uśmiechu. – Coś wymyślimy. Będziemy musiały. – Były sobie bardzo bliskie od wielu lat. Cierpiąc z powodu chłodu rodziców, stały się dla siebie nawzajem jedynym źródłem wsparcia i miłości.

Evie, najmniej rozmowna z całej czwórki, odezwała się, nieco się zacinając. Miała kłopoty z płynnością mowy, ilekroć była zdenerwowana lub pod wpływem innych silnych emocji. Gdy paprotki spotkały się dwa lata temu, jąkała się tak bardzo, że uniemożliwiało jej to konwersację. Odkąd jednak wyprowadziła się od stosujących wobec niej przemoc krewnych i poślubiła lorda St. Vincenta, nabrała większej pewności siebie.

– Czy p-pan Swift naprawdę zgodziłby się na żonę, której sam by nie wybrał? – Evie odsunęła z czoła lśniące pasmo rudych włosów. – Jeśli mówił p-prawdę i już cieszy się finansowym bezpieczeństwem, nie ma powodu, by zenić się z Daisy.

– Chodzi o coś więcej niż pieniądze. – Lillian poprawiła się na krześle w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji. Położyła dłonie na wydatnym brzuchu. – Ojciec uczynił Swifta swoim zastępczym synem, ponieważ żaden z naszych braci nie spełnił jego oczekiwań.

– Jego oczekiwań? – Annabelle nie kryła zdumienia. Pochyliła się, by ucałować paluszki córki, czym wywołała u niej wybuch gardłowego śmiechu.

– Żaden nie jest oddany firmie – wyjaśniła Lillian. – Żaden nie jest kompetentny w interesach, bezduszny ani bezwzględny. Żaden z nich nie zamierza przedłożyć interesów ponad wszystko inne w życiu. To właśnie łączy ojca i pana Swifta. Nasz brat Ransom próbował znaleźć w firmie miejsce dla siebie, ale ojciec bezustannie zmuszał go do rywalizacji z panem Swiftem.

– A ten zawsze wygrywa – skwitowała Daisy. – Biedny Ransom.

– Oprócz niego żaden z braci nawet nie chciał próbować – dodała Lillian.

– A c-co na to ojciec pana Swifta? – zapytała Evie. – Czy nie ma nic przeciwko temu, że jego syn staje się de facto synem kogoś innego?

– Cóż, to właśnie od początku było dziwne – odparła Daisy. – Pan Swift wywodzi się ze znanej rodziny z Nowej Anglii. Swiftowie osiedlili się w Plymouth, a część wyemigrowała do Bostonu na początku siedemnastego wieku. Mają szlachetne korzenie, ale tylko kilku z nich zdołało zachować majątek. Ojciec zawsze mówi, że pierwsze pokolenie zarabia, drugie wydaje, a trzeciemu zostaje już tylko nazwisko. Oczywiście w wypadku starego Bostonu proces ten zabiera dziesięć pokoleń zamiast trzech... Oni są powolniejsi we wszystkim...

– Te dygresje są zbędne, moja droga – przerwała jej Lillian. – Wracajmy do rzeczy.

– Przepraszam. – Daisy uśmiechnęła się przelotnie, po czym podjęła wątek. – Podejrzewamy, że musiał zaistnieć jakiś konflikt w rodzinie pana Swifta, ponieważ on nigdy nie mówi o swoich krewnych. Rzadko też jeździ do Massachusetts z wizytą. Jeśli więc jego ojciec nie zgadza się, by syn wstąpił do rodziny kogoś innego, my nigdy się o tym nie dowiemy.

W milczeniu dłuższą chwilę rozmyślały nad sytuacją.

– Znajdziemy ci kogoś, Daisy – odezwała się Evie. – Jeśli możemy szukać także poza arystokracją, będzie nam łatwiej. Nie brakuje odpowiednich, szlachetnie urodzonych dżentelmenów, którzy nie posiadają t-tytułów.

– Pan Hunt ma wielu znajomych kawalerów – wtrąciła Annabelle. – Mógłby ci ich przedstawić.

– Doceniam to – odparła Daisy – ale nie podoba mi się pomysł poślubienia bezdusznego przemysłowca. Nie mogłabym czuć się szczęśliwa. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała przepaszająco: – Oczywiście nie chciałam obrazić pana Hunta.

Annabelle zaniósła się śmiechem.

– Nie wszyscy ludzie pracy to bezduszni przemysłowcy. Pan Hunt również bywa wrażliwy i emocjonalny.

Przyjaciółki spojrzały na nią z powątpiewaniem, nie potrafiąc wyobrazić sobie, jak przejawia się wrażliwość u postawnego, śmiałego męża Annabelle. Pan Hunt był mądry i czarujący, wydawał się jednak całkowicie odporny na odczuwanie emocji – jak słoń na brzęczenie muchy.

– Wierzymy ci na słowo – zapewniła ją Lillian. – Ale wróćmy do meritum... Evie, czy możesz zapytać lorda St. Vincenta o odpowiednich kawalerów dla Daisy? Poszerzyłyśmy naszą definicję słowa „odpowiedni”, więc teraz na pewno uda mu się znaleźć jakiegoś przyzwoitego kandydata. Przecież dysponuje informacjami na temat każdego mężczyzny w Anglii, który ma choć dwa szylingi w kieszeni.

– Zapytam – powiedziała Evie zdecydowanie. – Jestem przekonana, że uda nam się znaleźć odpowiednich kandydatów.

Jako właściciel ekskluzywnego klubu gry, który wiele lat temu założył ojciec Evie, lord St. Vincent szybko odniósł sukces, o jakim nie śniło się poprzednikowi. St. Vincent prowadził klub silną ręką i dysponował archiwum zawierającym szczegółowe informacje na temat życia osobistego i majątku każdego z członków.

– Dziękuję – odparła Daisy szczerze. Chwilę rozmyślała o klubie. – Zastanawiam się... może lord St. Vincent mógłby dowiedzieć się czegoś na temat tajemniczej przeszłości pana Rohana? Może to zaginiony irlandzki lord lub coś w tym stylu.

W pokoju zapadła cisza. Daisy zauważyła znaczące spojrzenia, które wymieniła jej siostra z przyjaciółkami. Wzbudziły w niej irytację. Poczua się też zła na samą siebie, że wspomniała o mężczyźnie, który pomagał prowadzić klub.

Rohan był młodym półkrwi Cyganem o ciemnych włosach i orzechowych oczach. Spotkali się tylko raz i właśnie wtedy skradł jej pocałunek. Trzy pocałunki, mówiąc szczerze, i było to najbardziej zmysłowe doświadczenie całego jej życia. W zasadzie jedyne zmysłowe doświadczenie.

Pocałował ją jak dorosłą kobietę, a nie czyjąś młodszą siostrę, z kuszącą cielesnością, która przywołała na myśl wszystkie te zakazane rzeczy będące konsekwencją pocałunków. Daisy powinna była go spoliczkować, ale zamiast się oburzyć, śniła o tych pocałunkach już co najmniej tysiąc razy.

– Nie sądzę, moja droga – odparła Evie łagodnie.

Daisy uśmiechnęła się fałszywie, jakby to był żart.

– Och, oczywiście, że nie jest zaginionym irlandzkim lordem! Ale wiesz, jaką mam wyobraźnię... Pobudza ją każda najmniejsza nawet tajemnica.

– Musimy się skupić na tym, co istotne, Daisy – upomniała ją surowo Lillian. – Żadnego fantazjowania, żadnych bajek... I żadnych więcej myśli o Rohanie. To cię tylko rozprasza.

Daisy kusilo, by zrewanżować się jakąś zgryźliwą odpowiedzią, jak zawsze wtedy, gdy Lillian przybierała despotyczny ton. Gdy jednak spojrzała w brązowe oczy siostry, też barwy piernika, jak jej oczy, i dostrzegła w nich błysk paniki, poczuła przypływ opiekuńczej miłości.

– Masz rację. – Zmusiła się do uśmiechu. – Ale nie musisz się martwić. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zostać tutaj z tobą. Mogę nawet poślubić człowieka, którego nie kocham.

Umilkły. Ciszę przerwała Evie.

– Znajdziemy ci kogoś, kogo będziesz mogła pokochać, Daisy. Z nadzieją, że z czasem połączy was uczucie. – Jej pełne wargi wygięły się w kpiącym uśmiechu. – To się przecież zdarza.

ROZDZIAŁ 3

Mówię o układzie, jaki zawarł pan z moim ojcem”...

Echo słów Daisy rozbrzmiewało w głowie Matthew jeszcze długo po tym, gdy się rozstali. Zamierzał przy pierwszej sposobności poprosić Thomasa Bowmana na stronę i zapytać go, o co tu, do diabła, chodzi. Biorąc jednak pod uwagę napływ gości, mogło być to dopiero wieczorem.

Zastanawiał się, czy stary Bowman naprawdę wbił sobie do głowy, by skojarzyć go z Daisy. Jezu. Daisy Bowman okupowała jego myśli od lat, ale nigdy nie brał pod uwagę małżeństwa. Zawsze wydawało się ono poza jego zasięgiem, nie warto było go nawet rozważać. Nigdy jej nie pocałował, nigdy z nią nie tańczył ani nawet nie zaprosił na spacer, doskonale wiedząc, że skutkować może to tylko katastrofą.

Tajemnicza przeszłość Matthew odbijała się na jego teraźniejszości i zagrażała przyszłości. Bezustannie towarzyszyła mu świadomość, że w każdej chwili ktoś może go zdemaskować. Wystarczyłoby tylko dodać dwa do dwóch... wystarczyłaby jedna osoba, która by go rozpoznała. Daisy zasługiwała na męża uczciwego i prawego, a nie takiego, który całe swoje życie zbudował na kłamstwie.

Mimo wszystko pragnął Daisy. Była słodka, miła, pomysłowa, rozsądna, a zarazem absurdalnie romantyczna, i miała ciemne, nieco rozmarzone oczy. Czasem bywała niezdarna, gdy pogrążona w rozmyślaniach, nie potrafiła skupić się na tym, co robiła. Często spóźniała się na kolację, bo za bardzo pochłonęła ją lektura. Ciągle gubiła napatki, kaptcie i ołówki. Uwielbiała wpatrywać się w przestrzeń. Nie mógł zapomnieć, jak pewnego wieczoru Daisy stała na balkonie i wpatrywała się tęsknie w nocne niebo, unosząc ku niemu zadarty nosek – widok ten nappełnił go palącym pragnieniem, by podejść do niej i całować do utraty zmysłów.

Wyobrażał ją sobie w swoim łóżku częściej, niż wypadało. Gdyby kiedykolwiek do tego doszło, potraktowałby ją z największą delikatnością... Czciłby ją. Zrobiłby wszystko, by ją zadowolić. Pragnął intymności jej włosów w swoich palcach, miękkiej wypukłości jej bioder pod swoją dłoń, gładkości jej obojczyków na swoich wargach. Jej śpiącego ciężaru w swoich ramionach. Pragnął tego wszystkiego i o wiele więcej.

Zdumiewające, że nikt jeszcze się nie domyślił, iż darzy ją uczuciem. Daisy powinna to dostrzec, gdy tylko na niego spojrzała. Na szczęście tak się stało. Zawsze traktowała go jak jeszcze jeden trybik w maszynie firmy ojca, a Matthew był za to wdzięczny losowi.

Coś go jednak nurtowało. Daisy wpatrywała się w niego tego popołudnia, nie kryjąc zdziwienia. Aż tak bardzo się zmienił?

Z roztargnieniem wsunął dłoń do kieszeni, idąc korytarzem Stony Cross Manor. Nigdy nie poświęcał dużo czasu swojemu wyglądowi, dbał tylko, by zawsze mieć uczesane włosy i ogoloną twarz. Surowe nowoangielskie wychowanie pozbawiło go wszelkiej próżności – bostończycy gardzili zarozumiałością i robili wszystko, by unikać tego, co nowe i modne.

Thomas Bowman zaczął jednak nalegać, żeby Matthew ubierał się u jego krawca z Park Avenue i odwiedzał fryzjera, nie golibrodę, a także by zadbał o dłonie, jak przystoi dżentelmenowi o jego pozycji. Za namową Bowmana Matthew zatrudnił też kucharkę i gospodynię, przez co zaczął lepiej jadać. To wszystko, a także utrata ostatnich cech młodzieńczości nadało mu nowy, dojrzały wygląd. Zastanawiał się teraz, czy właśnie to pociąga w nim Daisy, lecz przeklął się za takie myśli.

Ale to, jak na niego dzisiaj spojrzała... Jakby naprawdę go dostrzegła, po raz pierwszy w życiu...

Nigdy na niego nie patrzyła, gdy odwiedzał jej dom przy Piątej Alei. Cofnął się myślami do ich pierwszego spotkania podczas kolacji w rodzinnym gronie.

Luksusowo urządzone jadalnia skrzyła się w świetle kryształowych żyrandoli. Ściany pokrywała gruba złocona tapeta i złocona sztukateria. Na jednej z nich wisały cztery wysokie lustra o rozmiarach, których nigdy dotąd nie widział.

Przy stole siedziało dwóch synów Bowmana – obaj byli młodzi i postawni, ważyli dwa razy więcej niż Matthew. Mercedes i Thomas zajęli miejsca na przeciwległych końcach stołu. Dwie córki, Lillian i Daisy, usiadły po jednej stronie i ukradkiem zsunęły swoje talerze i krzesła bliżej.

Thomas Bowman albo ignorował córki, albo poddawał surowej krytyce. Starsza Lillian odpowiadała mu na to posępną bezczelnością.

Piętnastoletnia Daisy patrzyła natomiast na ojca z ciekawością, nawet z rozbawieniem, co go irytowało. Na ten widok Matthew się uśmiechnął. Daisy Bowman ze swoją jasną cerą, egzotycznymi oczami w kolorze cynamonu i żywą mimiką wydała mu się istotą, która przybyła z zaczarowanego lasu zamieszkanego przez wróżki.

Szybko zauważył, że każda rozmowa, w której uczestniczy Daisy, obiera niespodziewany, pomyślał nawet „czarujący”, kierunek. Uśmiechał się w duchu, gdy ojciec ganił Daisy przy wszystkich za jej ostatnie przewinienie. Domostwo Bowmanów opanowały myszy, zawiodły bowiem wszystkie wystawione na nie pułapki.

Służący doniósł seniorowi rodu, że Daisy nocą rozmyślnie je zatrzasnęła, aby żadna mysz nie straciła życia.

– Czy to prawda, córko? – grzmiał Thomas Bowman, wbijając gniewny wzrok w Daisy.

– Całkiem możliwe – zgodziła się – ale istnieje też inne wytłumaczenie.

– Jakie? – zapytał ponuro.

– Myślę, że mieszkają u nas najinteligentniejsze myszy w Nowym Jorku! – odparła triumfalnie.

Od tamtego dnia Matthew nigdy nie odmówił zaproszenia do posiadłości Bowmanów, nie tylko dlatego, iż sprawiało to przyjemność staruszkowi, lecz także dlatego, że on miał okazję zobaczyć Daisy. Kolekcjonował ukradkowe spojrzenia, świadom, że musi się tym zadowolić. A chwile spędzone w towarzystwie dziewczyny, pomimo jej chłodnej uprzejmości, były jedynymi chwilami szczęścia, jakich zaznał w życiu.

Odpędzając od siebie ponure myśli, błędził po korytarzach. Nigdy wcześniej nie był za granicą, lecz właśnie tak wyobrażał sobie Anglię – zadbane ogrody, zielone wzgórza i swojska wioska u stóp wspaniałej posiadłości.

Dom i meble nadwątlił czas, ale niemal w każdym kącie kryła się jakaś bezcenna porcelana, rzeźba lub obraz, które dotychczas widywał tylko w albumach poświęconych historii sztuki. Być może zimą panowały tu przeciągi, jednak przy takiej mnogości kominków, grubych dywanów i aksamitnych zasłon nie sposób narzekać na niewygody.

Gdy Thomas Bowman, a raczej jego sekretarz, napisał w liście do Matthew, że ten będzie

potrzebny, by nadzorować założenie oddziału manufaktury mydlarskiej w Anglii, Matthew postanowił odmówić. Ucieszyła go perspektywa wyzwania i odpowiedzialności, lecz obawiał się, że nie zdoła znieść na dłuższą metę bliskości Daisy Bowman. Jej obecność przeszywała go niczym strzałą, oznaczając przyszłość pełną niekończącego się, niezaspokojonego pragnienia.

Dopiero ostatnie linijki listu sekretarza poświęcone sprawom rodzinnym przykuły jego uwagę.

Pojawiły się wątpliwości, czy młodszej panie Bowman uda się znaleźć tu odpowiedniego kandydata na męża. Dlatego też pan Bowman postanowił przywieźć ją z powrotem do Nowego Jorku, jeśli przed latem nie zdoła się zaręczyć...

Matthew targały rozterki. Jeśli Daisy miała wrócić do Nowego Jorku, sam musiał udać się do Anglii. Postanowił zaryzykować, przyjmując posadę w Bristolu i tam czekać, aż ona znajdzie sobie męża. Gdyby jej się udało, zamierzał znaleźć sobie zastępstwo i wrócić do Nowego Jorku.

Dopóki dzielił ich ocean, wszystko było w porządku.

Przechodząc przez główny hol, zauważył lorda Westcliffa. Hrabiemu towarzyszył postawny czarnowłosy mężczyzna o wyglądzie pirata pomimo eleganckiego ubrania. Matthew domyślił się, że to Simon Hunt – partner w interesach Westcliffa i podobno jego najbliższy przyjaciel. Pomimo finansowych sukcesów – zdumiewających zdaniem wielu osób – Hunt przyszedł na świat jako syn rzeźnika, nieposiadający żadnych więzów krwi z arystokracją.

– Pan Swift – przywitał go swobodnie Westcliff, gdy spotkali się u podnóża schodów. – Wcześniej wrócił pan ze spaceru. Mam nadzieję, że podobały się panu widoki?

– Były wspaniałe, milordzie. Na pewno jeszcze nieraz wybiorę się na spacer po posiadłości. Wróciłem wcześniej, ponieważ natknąłem się po drodze na pannę Bowman.

– Ach. – Twarz Westcliffa pozostała bez wyrazu. – Musiała to być dla panny Bowman spora niespodzianka.

Do tego niemiła, taki był niewypowiedziany podtekst. Matthew spojrzał hrabiemu w oczy. Wykorzystał swoją bardzo przydatną umiejętność – czytanie języka ciała, zdradzającego ludzkie myśli. Westcliff jednak panował nad sobą doskonale, czym wzbudził podziw Matthew.

– Można powiedzieć, że to jedna z wielu niespodzianek, jakie spotkały pannę Bowman w ostatnich dniach. – Próbował dowiedzieć się, czy Westcliff wie o zaaranżowanym małżeństwie Daisy.

Hrabia odpowiedział tylko nieznacznym uniesieniem brwi, jakby uznał jego słowa za ciekawe, lecz niewarte komentarza. Do diaska, pomyślał Matthew, nie mogąc wyjść z podziwu.

Westcliff odwrócił się do czarnowłosego mężczyzny.

– Hunt, pozwól, że przedstawię ci Matthew Swifta, Amerykanina, o którym ci wspominałem. Swift, to jest pan Simon Hunt.

Uścisnęli sobie dłonie. Hunt musiał być o pięć, dziesięć lat starszy i wyglądał na trudnego przeciwnika w walce. Śmiały, pewny siebie mężczyzna, który podobno uwielbiał wyśmiewać pretensjonalność i afektację arystokracji.

– Słyszałem o pańskich osiągnięciach w Consolidated Locomotive Works – zwrócił się Matthew do Hunta. – Pańskie wysiłki mające na celu połączenie brytyjskiego kunsztu projektowego i amerykańskich metod wytwarzania budzą ogromne zainteresowanie w Nowym Jorku.

Hunt uśmiechnął się sardonicznie.

– Choć bardzo chciałbym wszystkie zasługi przypisać sobie, skromność nakazuje mi podkreślić, że

Westcliff również ma w tym pewien udział. On i jego szwagier są moimi partnerami.

– Widać doskonale, jak bardzo udana jest to kombinacja – odparł Matthew.

Hunt odwrócił się do Westcliffa.

– Ma talent do pochlebstw – zauważył. – Może go zatrudnimy?

Westcliff z rozbawieniem wykrzywił wargi.

– Obawiam się, że mój teść by protestował. Talenty pana Swifta są potrzebne do wybudowania fabryki i założenia biura jego firmy w Bristolu.

Matthew postanowił skierować rozmowę na inne tory.

– Czytałem niedawno w gazecie, że parlament zamierza znacjonalizować brytyjski przemysł kolejowy. Ciekawią mnie pańskie przemyślenia na ten temat, milordzie.

– Dobry Boże, tylko nie to – mruknął Hunt.

Nowy temat sprawił, że Westcliff wykrzywił twarz w grymasie niezadowolenia.

– Ostatnie, czego nam trzeba, to przejęcie przez rząd kontroli nad przemysłem. Niech nas Bóg broni przed kolejnymi ingerencjami polityków. Państwo zarządzałoby kolejami tak samo nieefektywnie, jak zarządza wszystkim innym. A monopol zdławiłby potencjał przemysłu do rywalizacji, co skutkowałoby wyższymi podatkami, nie wspominając już nawet...

– Nie wspominając już nawet o tym – wtrącił Hunt przebiegle – że Westcliff i ja nie chcemy, by rząd ograniczał nasze przyszłe zyski.

Westcliff posłał przyjacielowi surowe spojrzenie.

– Tak się składa, że ja myślę przede wszystkim o interesie społecznym.

– Jakie to szczęście – zauważył Hunt – że w tym wypadku interes społeczny jest zbieżny z twoim interesem.

Matthew przygryzł wargę, by się nie uśmiechnąć.

Westcliff przewrócił oczami.

– Jak widzisz, Swift, pan Hunt nigdy nie traci okazji, by ze mnie zakpić.

– Ja kpię z wszystkich – wyjaśnił Hunt. – Tak się po prostu składa, że ty stanowisz najłatwiejszy cel.

Westcliff zwrócił się do Matthew.

– Szliśmy właśnie z Huntem na taras, by zapalić. Dołączy pan do nas?

Matthew pokręcił głową.

– Niestety, nie palę.

– Ja również – mruknął Westcliff tęsknie. – Do niedawna lubiłem od czasu do czasu zapalić cygaro, lecz niestety, zapach tytoniu przeszkadza hrabinie w jej obecnym stanie.

Musiła upłynąć chwila, zanim Matthew uświadomił sobie, że ta „hrabina” to Lillian Bowman. Jakie to dziwne, że zabawna, zadziorna, szalona Lillian została lady Westcliff.

– Porozmawiamy sobie, gdy Hunt będzie palił – rzekł Westcliff. – Proszę za mną.

Taka forma zaproszenia nie dopuszcza protestów, lecz mimo to Matthew podjął próbę.

– Dziękuję, milordzie, ale jest pewna sprawa, którą pragnę z kimś omówić, tak więc...

– Ten ktoś to pan Bowman, jak podejrzewam.

Do diabła, pomyślał Matthew. On wie. Nie powiedział tego wprost, ale wystarczyło jego wymowne spojrzenie. Wie, że Bowman zamierza wydać Daisy za niego... i wyrobił już sobie nawet opinię na ten temat.

– Najpierw omówi pan tę sprawę ze mną – dodał hrabia.

Matthew spojrział z ukosa na Simona Hunta, którego twarz nic nie zdradzała.

– Jestem pewien – powiedział – że pan Hunt nudziłby się, gdyby musiał słuchać rozmowy o czyichś prywatnych sprawach...

– Ależ skąd – odparł Hunt radośnie. – Uwielbiam słuchać rozmów o sprawach innych ludzi. Zwłaszcza tych prywatnych.

Wszyscy trzej wyszli na taras, skąd mieli widok na zadbane ogrody z wysypanymi żwirem ścieżkami i misternie przyciętymi żywopłotami. W oddali był stary gruszowy sad. Wiatr kołysał liśćmi, czuło się mocny zapach kwiatów. Szmer wezbranej pobliskiej rzeki przeplatał się z szumem w koronach drzew.

Matthew usiadł przy stole i całą siłą woli starał się odprężyć. Simon Hunt odciął końcówkę cygara scyzorykiem. Matthew milczał, cierpliwie czekając, aż Westcliff przemówi pierwszy.

– Od jak dawna – zapytał nagle hrabia – wie pan o planie Bowmana, który zakłada, że pobierzecie się z Daisy?

Matthew odpowiedział bez wahania.

– Od mniej więcej godziny i piętnastu minut.

– Zatem nie był to pański pomysł?

– Ależ skąd.

Hrabia odchylił się na oparcie krzesła, splótł palce na płaskim brzuchu i spojrział na Swifta, mrużąc powieki.

– Wiele może pan zyskać na tym układzie.

– Milordzie, mam talent do pomnażania pieniędzy. Nie muszę się z nimi żenić.

– Cieszę się, że to słyszę. Mam jeszcze jedno pytanie, lecz najpierw chciałbym coś powiedzieć. Darzę moją szwagierkę wielkim uczuciem i uważam się za jej opiekuna. Dobrze zna pan Bowmanów, więc na pewno wie, jak bliska relacja łączy hrabinę z siostrą. Gdyby coś unieszczęśliwiło Daisy, moja małżonka również by cierpiała... a ja do tego nie dopuszczę.

– Rozumiem – odparł szorstko Matthew. Boleśnie odczuwał gorzką ironię Westcliffa. Jak widać, odradza mu Daisy, tymczasem on sam, Matthew, już dawno postanowił, że robi wszystko, co w jego mocy, by jej nie poślubić. Kusilo go, by posłać Westcliffa do diabła. Zamiast tego tylko zacisnął wargi, pozornie zachowując spokój.

– Daisy jest wyjątkowa – kontynuował Westcliff. – Ma żywą, romantyczną naturę. Będzie zdruzgotana, musząc wstąpić w związek bez miłości. Zasługuje na męża, który doceni jej zalety i ochroni przed bolesnymi realiami tego świata. Męża, który pozwoli jej marzyć.

Matthew zdumiał się, słysząc takie deklaracje w ustach Westcliffa, który słynął ze swego pragmatyzmu i zdrowego rozsądku.

– Jak brzmi pańskie pytanie, milordzie?

– Czy da mi pan słowo, że nie poślubi mojej szwagierki?

Matthew bez mrugnięcia spojrział w zimne, czarne oczy hrabiego. Rozsądniej byłoby nie sprzeciwiać się mężczyźnie pokroju Westcliffa, któremu zapewne nikt nie odmawiał. Matthew od wielu lat współpracował jednak z porywczym Thomasem Bowmanem i nieraz stawiał mu czoło w sytuacjach, kiedy inni kryli się przed jego gniewem.

Bowman często zachowywał się jak bezwzględny, sarkastyczny tyran, lecz nade wszystko cenił sobie ludzi, którzy potrafią się mu sprzeciwić. Bardzo szybko właśnie Matthew stał się w firmie posłańcem przynoszącym złe wieści, gdy wszyscy inni ze strachu uchylali się od tego zadania.

Matthew przeszedł taką szkołę, że próba zastraszenia nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

– Niestety, nie mogę tego zrobić, milordzie – odparł uprzejmie.

Simon Hunt upuścił cygaro.

– Nie da mi pan słowa? – Westcliff patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Nie. – Matthew zwinnie podniósł cygaro i podał Huntowi, a ten spojrział na niego z ostrzegawczym błyskiem w oku, jakby milcząco starał się powstrzymać go przed skokiem w przepaść.

– Dlaczego nie? – rzucił Westcliff gniewnie. – Ponieważ nie chce pan stracić swojej pozycji w firmie Bowmana?

– To raczej on nie może sobie pozwolić na to, by mnie stracić. – Matthew uśmiechnął się lekko, by nieco złagodzić arogancję bijącą z jego słów. – Wiem o produkcji, zarządzaniu i sprzedaży więcej niż ktokolwiek inny w firmie Bowmana... a do tego cieszę się zaufaniem starszka. Nie zostanę więc zwolniony, nawet jeśli nie zgodzę się poślubić jego córki.

– W takim razie z łatwością położy pan kres całej tej sprawie – skwitował hrabia. – Żądam twojego słowa, Swift. Natychmiast.

Ktoś słabszy poczułby onieśmielenie, słysząc kategoryczne polecenie Westcliffa.

– Mógłbym to rozważyć – odparł Matthew chłodno – gdyby zaproponował mi pan odpowiednie korzyści. Na przykład swoje poparcie, gdy będę ubiegał się o stanowisko szefa całego oddziału, i gwarancję, że utrzymam tę posadę przez, powiedzmy... trzy lata.

Westcliff spojrział na niego z niedowierzaniem.

Napiętą ciszę przerwał Simon Hunt.

– Dobry Boże, ten chłopak ma tupet! – ryknął śmiechem. – Uważaj, Westcliff, bo zatrudnię go w Consolidated.

– Nie jestem tani – mruknął Matthew, na co Hunt roześmiał się tak, że niemal znów upuścił cygaro.

Nawet Westcliff się uśmiechnął, choć niechętnie.

– Do diabła – wymamrotał. – Nie mogę poprzeć pana od razu... Nie, gdy stawka jest tak wysoka. Muszę się przekonać, że jest pan odpowiednim człowiekiem na to stanowisko.

– W takim razie mamy impas – powiedział z przyjaznym uśmiechem Matthew. – Na razie.

Dwaj starsi mężczyźni wymienili spojrzenia, po cichu uzgadniając, że przedyskutują sprawę później, już bez Swifta. To zaintrygowało Matthew, lecz uznał, że nie warto się nad tym zastanawiać, nie zdoła bowiem kontrolować wszystkiego. Przynajmniej dał im jasno do zrozumienia, iż nie pozwoli się zastraszyć, i nie spalił za sobą mostów.

Poza tym... nie mógł przecież dać słowa w kwestii, o której jeszcze nie rozmawiał z Bowmanem.

ROZDZIAŁ 4

Rzecz jasna, to Daisy jest czarną owcą w naszej rodzinie – oświadczył tego wieczoru Thomas Bowman, spacerując po małym saloniku połączonym z jego sypialnią. Uzgodnili z Matthew, że spotkają się tutaj po kolacji, gdy pozostali goście zbiorą się na dole. – Jest drobna i zbyt frywolna. „Daj jej jakieś solidne, praktyczne imię”, powiedziałem żonie tuż po porodzie. Jane albo Constance, coś w tym rodzaju. A ona wybrała Marguerite... francuskie imię, do diaska! Po jakiejś kuzynce ze strony matki. A sprawa jeszcze się pogorszyła, gdy Lillian, która miała wtedy cztery lata, dowiedziała się, że Marguerite to francuski odpowiednik Daisy, czyli stokrotki, tego piekielnego kwiatka. Zaczęła nazywać siostrę Daisy, i tak już zostało...

Gdy starszy pan perorował, Matthew pomyślał, że imię idealnie pasuje do panny Bowman. Ten drobny kwiat o białych płatkach wydawał się delikatny, choć w rzeczywistości był zaskakująco odporny. Ciekawe, że w otoczeniu tak przytłaczających osobowości Daisy zdołała pozostać wierna swojej naturze.

– Oczywiście jakoś osłodziłbym ci ten układ – mówił Bowman. – Znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że sam wybrałbyś zupełnie inną kobietę, bardziej praktyczną niż ta latawica Daisy. Dlatego też...

– Żadne osładzanie nie byłoby potrzebne – przerwał mu Matthew spokojnie. – Daisy... to znaczy, panna Bowman, jest absolutnie... – Piękna. Godna pożądania. Oszałamiająca. – Akceptowalna. Poślubienie takiej kobiety jak pana córka samo w sobie byłoby nagrodą.

– Świetnie. – Bowman stęknął, nieprzekonany. – Mówisz jak prawdziwy dżentelmen. Ale tak czy inaczej, proponuję uczciwą rekompensatę w postaci hojnego posagu, udziałów w firmie i tak dalej. Będziesz zadowolony, zapewniam cię. Natomiast co do samego ślubu...

– Ja się jeszcze nie zgodziłem – wtrącił Matthew.

Bowman znieruchomiał i posłał mu pytające spojrzenie.

– Zacznijmy od tego – kontynuował Matthew ostrożnie – że niewykluczone, iż panna Bowman znajdzie w najbliższym czasie odpowiedniego konkurenta.

– Żaden z nich nie będzie się z tobą równał – rzekł Bowman z dumą.

Matthew zachował powagę, mimo iż rozbawiła go wiara, jaką pokłada w nim Bowman.

– Dziękuję. Myślę jednak, że córka nie podziela pańskiej opinii.

Starszy mężczyzna machnął ręką lekceważąco.

– Ba. Kobiety są zmienne, jak angielska pogoda. Możesz ją przekonać, żeby cię polubiła. Podaruj jej bukiet kwiatów, dorzuc parę komplementów... Nie, lepiej zacytuj coś z tych przeklętych tomików poezji, którymi się zaczytuje. Uwieść kobietę jest dość łatwo. Musisz tylko...

– Panie Bowman – przerwał mu Matthew z niepokojem. Dobry Boże, nie potrzebował przecież, by pracodawca uczył go technik uwodzenia. – Ufam, że poradziłbym sobie bez pańskich rad. Nie o to jednak chodzi.

– Więc o co... Ach. – Bowman uśmiechnął się jak człowiek światowy. – Rozumiem.

– Co pan rozumie?

– Oczywiście obawiasz się mojej reakcji w sytuacji, gdybyś kiedyś doszedł do wniosku, że moja córka nie odpowiada twoim potrzebom. Jeśli zachowasz dyskrecję, słowem się nie odezwę.

Matthew westchnął i potarł powieki, nagle odczuwając ogromne zmęczenie. To wszystko zaczynało go przerastać.

– Mówi pan, że przymknąłby oko, gdybym zdradził żonę – stwierdził raczej, niż zapytał.

– My, mężczyźni, napotykamy wiele pokus. Czasami zdarza nam się pobiłdzić. Tak jest świat urządzony.

– Nie mój świat – odparł stanowczo Matthew. – Ja dotrzymuję słowa zarówno w interesach, jak i w życiu prywatnym. Jeśli złożę jakiejś kobiecie obietnicę wierności, dotrzymam jej. Niezależnie od wszystkiego.

Gęste wąsy Bowmana zadrżały pod wpływem rozbawienia.

– Wciąż jesteś na tyle młody, by pozwolić sobie na skrupuły.

– A starość nie pozwala na nie? – zapytał Matthew z nutą dobrotliwej kpiny w głosie.

– Czasami skrupuły kosztują nas zbyt wiele. Kiedyś sam się przekonasz.

– Boże, mam nadzieję, że nie. – Matthew usiadł głębiej w fotelu i ukrył twarz w dłoniach, przeczesując palcami pasma gęstych włosów.

Po dłuższej chwili Bowman podjął wątek.

– Czy to naprawdę byłoby takie okropne, pojąć Daisy za żonę? Kiedyś przecież musisz się ożenić. A ona ma pewne zalety. Firmę, na przykład. Jeśli umrę, ty otrzymasz pakiet kontrolny akcji.

– Pan przeżyje nas wszystkich.

Bowman roześmiał się z zadowoleniem.

– Ja chcę, żebyś odziedziczył firmę – oświadczył. Po raz pierwszy mówił o tym tak otwarcie. – Jesteś do mnie bardziej podobny niż moje rodzone dzieci. Lepiej będzie, jeśli firma trafi w twoje ręce. Ty masz dar... Wchodzisz do pokoju i obejmujesz nad nim panowanie. Nie boisz się nikogo, o czym wszyscy wiedzą i cenią cię za to. Ożeń się z moją córką, Swift, i zbuduj mi fabrykę. Gdy wrócisz do domu, podam ci na tacy cały Nowy Jork.

– A dorzuci pan Rhode Island? Nie jest wcale duże.

Bowman zignorował sarkastyczne pytanie.

– Mam wobec ciebie plany wykraczające poza ramy firmy. Znam wiele ważnych osobistości, które już zwróciły na ciebie uwagę. Pomogę ci osiągnąć wszystko, co tylko sobie wymarzysz... za niewielką cenę. Ożeń się z Daisy i spłodź moje wnuki. Tylko o to proszę.

– Tylko o to – powtórzył Matthew oszołomiony.

Gdy dziesięć lat temu rozpoczął pracę u Bowmana, nie spodziewał się, że ten człowiek stanie się dla niego zastępczym ojcem. Bowman przypominał beczkę prochu – niski, krągły i tak wybuchowy, że można było przewidzieć eksplozję, obserwując, jak czerwieni się czubek jego łysej głowy. Miał jednak talent do cyfr, a zarządzając ludźmi, wykazywał nieprawdopodobny spryt i wyrachowanie. Hojnie traktował tych, którzy spełniali jego oczekiwania, dotrzymywał obietnic i nie uchylał się od zobowiązań.

Dużo nauczył się od Thomasa Bowmana. Jak wyczuć słabość przeciwnika i obrócić ją na swoją korzyść. Kiedy naciskać, a kiedy się wycofać. Nauczył się też, że w interesach można posiłkować się agresją, o ile nie przekracza się granicy bezczelności. Nowojorscy biznesmeni – ci prawdziwi, a nie

dyletanci z klas wyższych – nie okazywali ci szacunku, dopóki nie przekonali się, że masz tupet.

Nauczył się też panować nad swoją gwałtownością za pomocą dyplomacji, ponieważ wygrana kłótnia nie równa się osiągnięciu celu. Oczarowywanie oponentów nie przychodziło mu łatwo, ponieważ z natury był skryty. Krok po kroku przyswoił jednak również i ten instrument niezbędny, by mógł dobrze wykonywać swoją pracę.

Thomas Bowman czuwał nad nim na każdym kroku i uchronił go przed kilkoma poważnymi błędami. Matthew był mu za to nieskończenie wdzięczny. Nie mógł nie obdarzyć swojego szorstkiego pracodawcy sympatią pomimo jego wad – ponieważ, prawdę mówiąc, Bowman miał rację, podkreślając, że są do siebie podobni.

Nie potrafił tylko zrozumieć, jakim cudem Bowman spłodził taką córkę jak Daisy.

– Potrzebuję czasu do namysłu – oświadczył.

– A nad czym się tu namyślać? – zaprotestował Bowman. – Przecież już powiedziałem... – Urwał na widok miny Matthew. – Dobrze. Dobrze. Nie musisz decydować od razu. Wróćmy do tej rozmowy.

– Rozmawiałeś z panem Swiftem? – zapytała Lillian, gdy tylko Marcus wszedł do sypialni. Zasnęła, czekając na niego, i teraz z wysiłkiem podniosła się z pościeli.

– O tak, rozmawiałem – odparł Marcus ponuro, zdejmując surdut. Powiesił doskonale skrojone okrycie na oparciu krzesła w stylu Ludwika XIV.

– Miałam rację, prawda? Jest wstrętny. Okropny. Mów szybko, co powiedział.

Spojrzał na ciężarną żonę, która wyglądała tak ładnie z długimi rozpuszczonymi włosami i powiekami jeszcze ciężkimi od snu, że jego serce zgubiło rytm.

– Zaraz – mruknął, siadając na łóżku. – Najpierw chcę chwilę na ciebie popatrzeć.

Lillian uśmiechnęła się i przeczesła palcami ciemną gęstwinę włosów.

– Wyglądam okropnie.

– Nie. Każda część ciebie jest urocza. – Przesunął delikatnie dłońmi wzdłuż obfitych krągłości jej ciała w geście, który miał raczej koić, niż podniecać. – Co mogę dla ciebie zrobić? – szepnął.

Nie przestawała się uśmiechać.

– Jedno spojrzenie na mnie powie każdemu, że zrobiłeś już dość, milordzie. – Otoczyła go szczupłymi ramionami i oparła jego głowę na swoich piersiach. – Westcliff – wymamrotała w jego włosy. – Nikomu poza tobą nie zgodziłabym się urodzić dziecka.

– Cieszę się.

– Czuję się przytłoczona... Tak strasznie mi niewygodnie. To źle, że nie lubię być w ciąży?

– Oczywiście, że nie – odparł Marcus głosem stłumionym przez jej dekolt. – Mnie też by się to nie spodobało.

Sprawił, że się uśmiechnęła. Odsunęła się i znów oparła się o poduszki.

– Chcę wiedzieć wszystko o panu Swifcie. Zdradź mi, o czym rozmawiałeś z tym okropnym strachem na wróble.

– Cóż, nie nazwałbym go strachem na wróble. Musiał się bardzo zmienić, odkąd go ostatni raz widziałas.

– Hm. – Ta nowina wcale nie sprawiła Lillian radości. – Ale nadal jest niezbyt urodziwy.

– Jako że rzadko poświęcam się rozmyśleniom na temat męskiej atrakcyjności – rzekł Marcus sucho – brak mi kompetencji, by wypowiadać się w tym temacie. Nie sądzę jednak, by można opisać pana

Swifta jako niezbyt urodziwego.

– Chcesz powiedzieć, że jest przystojny?

– Wiele osób tak właśnie by powiedziało.

Pomachała dłonią tuż przed jego twarzą.

– Ile widzisz palców?

– Trzy. – Roześmiał się. – Kochanie, co ty robisz?

– Sprawdzam, czy dobrze widzisz. Myślę bowiem, że masz kłopoty ze wzrokiem. Podążaj za ruchem mojego palca...

– Może ty podążysz za ruchem mojego? – zasugerował, sięgając do jej stanika.

Chwyciła jego dłoń i spojrzała mu w błyszczące oczy.

– Marcus, bądź poważny. Tu chodzi o przyszłość Daisy!

Posłusznie się wycofał.

– Dobrze.

– Powiedz mi, o czym rozmawialiście – ponagliła go.

– Poinformowałem pana Swifta bardzo surowym tonem, że nie pozwolę nikomu unieszczęśliwić Daisy. A następnie zażądałem, by dał mi słowo, że jej nie poślubi.

– Och, dzięki Bogu. – Westchnęła z ulgą.

– Odmówił.

– Że co? – Ze zdumienia aż otworzyła usta. – Tobie nikt nie odmawia.

– Jak widać, on nie został o tym poinformowany.

– Marcus, ale zamierzasz coś zrobić, prawda? Nie pozwolisz, by Daisy zmuszono do małżeństwa z nim...

– Spokojnie, kochanie, obiecuję ci, że Daisy nie poślubi nikogo wbrew swojej woli. Myślę jednak... – Zawahał się, zastanawiając się, ile powinien jej wyznać. – Moja opinia o Matthew Swifcie nieco różni się od twojej.

Zmarszczyła brwi.

– Moja opinia jest trafniejsza. Znam go dłużej.

– Znałaś go wiele lat temu – odparł spokojnie. – Ludzie się zmieniają, Lillian. Moim zdaniem twój ojciec nie myli się co do Swifta.

– *Et tu*, Marcus?

Uśmiechnął się szeroko, widząc teatralny grymas Lillian, i wsunął dłonie pod kołdrę. Jedną z jej gołych stóp położył sobie na kolanach i masował obolałe podbicie kciukami. Westchnęła i opadła na poduszki.

Rozmyślał o tym, czego dowiedział się o Swifcie do tej pory. Młodzieniec okazał się inteligentny, bystry i dobrze wychowany. Najpierw myślał, a potem mówił. Marcus zawsze dobrze czuł się w towarzystwie takich ludzi.

Pozornie związek Matthew Swifta i Daisy Bowman wydawał się wręcz nedorzeczny. Marcus nie zgadzał się jednak z Lillian, która utrzymywała, że Daisy powinna poślubić mężczyznę o podobnie romantycznej i wrażliwej naturze. W takim związku zabrakłoby równowagi. Bądź co bądź, każdy statek potrzebuje kotwicy.

– Musimy jak najszybciej wysłać Daisy do Londynu – oświadczyła Lillian. – Jest szczyt sezonu, a ona utknęła w Hampshire z dala od balów, wieczorków...

– To był jej wybór – przypomniał Marcus małżonce, sięgając po jej drugą stopę. – Nigdy by sobie

nie wybaczyła, gdyby zabrakło jej przy porodzie.

– Och, do diabła, nie musi się mną przejmować. Wolałabym, by Daisy nie było przy mnie, a w tym czasie poznawała odpowiednich kawalerów i nie narażała się na to, że będzie musiała poślubić Matthew Swifta i przeprowadzić się z nim do Nowego Jorku, przez co już nigdy jej nie zobaczę...

– Pomyślałem o tym. I dlatego zaprosiłem do Stony Cross Park grono odpowiednich kawalerów pod pretekstem polowania.

– Naprawdę? – Uniosła głowę z poduszki.

– Razem z St. Vincentem ułożyliśmy listę, drobiazgowo omówiwszy zalety każdego kandydata.

Wybraliśmy równy tuzin. Każdy z nich nadałby się dla twojej siostry.

– Och, Marcus, jesteś najmądrzejszym, najwspanialszym...

Zbył gestem jej pochwały i pokręcił z uśmiechem głową, wspominając zażarte dyskusje z przyjacielem.

– Musisz wiedzieć, że St. Vincent okazał się piekielnie wybredny. Gdyby był kobietą, kręciłby nosem na każdego mężczyznę.

– Nie byłby w tym odosobniony – uświadomiła mu zuchwale. – Kobiety mają nawet na to odpowiednie powiedzenie... Celuj wysoko, strzelaj nisko.

Prychnął śmiechem.

– Tak właśnie zrobiłaś?

Uśmiechnęła się lekko.

– Nie, milordzie. Ja celowałam wysoko i strzeliłam jeszcze wyżej. – Zachichotała, gdy Marcus wczółgał się na nią i mocno pocałował.

Słońce jeszcze nie wstało, gdy grupa gości wybierająca się na ryby zjadła w pośpiechu śniadanie na tylnym tarasie, po czym udała się w drogę, wszyscy odziani w tweed, szorstki diagonal i woskowany len. Senni służący towarzyszyli dżentelmenom do strumienia, niosąc wędki, kosze i drewniane skrzynki z muchami i narzędziami. Panowie zamierzali poświęcić na łowienie większą część poranka, podczas gdy panie wciąż jeszcze spały.

Wszystkie panie poza Daisy. Ona uwielbiała wędkowanie, lecz nie musiała nawet pytać, by wiedzieć, że nie będzie mile widziana w męskiej grupie. Dawniej często chadzała na ryby z Lillian, lecz teraz starsza siostra nie mogła jej towarzyszyć.

Bardzo starała się przekonać Evie lub Annabelle, by też wybrały się nad sztuczny zbiornik – Westcliff hojnie zarybił go pstrągami – lecz żadnej z nich pomysł nie zachwyił.

– Będziecie się świetnie bawić – namawiała je Daisy. – Nauczę was zarzucać... To naprawdę łatwe. Chyba nie chcecie mi powiedzieć, że wolicie zmarnować piękny wiosenny poranek!

Jak się okazało, Annabelle uważała, że większą przyjemność sprawi jej spanie do późna. A Evie doszła do wniosku, że skoro St. Vincent nie wybiera się na ryby, zostanie z nim w łóżku.

– O wiele lepiej byś się bawiła, łowiąc ze mną ryby – oświadczyła Daisy.

– Nie – odparła Evie stanowczo. – Na pewno nie.

Rozżłoszczona Daisy samotnie zjadła śniadanie, po czym udała się nad jezioro ze swoją ulubioną wędką z fiszbinowym topem i kołowrotkiem.

Nastał cudowny poranek, powietrze było łagodne i ożywcze. Szałwia rozkwitała na niebiesko i fioletowo pomiędzy gałęziami tarniny. Daisy pokonała zielony trawnik i skręciła w stronę łąki usianej jaskrami, krwawnikiem i różowymi płatkami firletki.

Okrażając wysoką morwę, zauważyła poruszenie brzegu jeziora... Dwaj chłopcy trzymali coś pomiędzy sobą, jakieś zwierzę lub ptaka... Gęś? Stworzenie protestowało gniewnie i mocno biło skrzydłami rozchichotanych łobuzów.

– Hej, tam – zawołała Daisy. – Co to jest? Co wy robicie?

Na jej widok chłopcy z piskiem rzucili się do ucieczki w przeciwną stronę.

Daisy przyspieszyła kroku i podeszła do wystraszonej gęsi. Była to ogromna udomowiona gęgawa, znana ze swego szarego upierzenia, muskularnej szyi i ostrego pomarańczowego dzioba.

– Biedactwo. – Daisy zauważyła, że ptak ma spętane nogi. Na jej widok gęś rzuciła się do ataku, powstrzymała ją jednak okowy. Daisy przystanąła i odłożyła wędkę. – Spróbuję ci pomóc – mówiła do agresywnego ptaka. – Ale nic nie zrobię, jeśli będziesz się tak zachowywać. Może postarasz się uspokoić... – Uważnie przyjrzała się gęsi. – Och, nie. Te małe nicponie... Zmuszali cię do łowienia dla nich ryb, prawda?

Gęś wrzasnęła twierdząco.

Ktoś obwiązał jej nogi żyłką wędkarską połączoną z miedzianą łyżką, w której wywiercono dziurę. W dziurze umocowano haczyk. Gdyby nie współczucie dla perfidnie wykorzystywanej gęsi, Daisy wybuchnęłaby śmiechem.

Pomysł doprawdy genialny. Wrzucona na głęboką wodę gęś musiała płynąć do brzegu, a wtedy miedziana łyżka mieniła się niczym błystka, wabiąc pstrąga, i ten łapał się na haczyk. Gęś holowała go do brzegu. Haczyk zaplątał się jednak w jeżyny, więżąc tym samym gęś.

Daisy poruszała się powoli, podkradając się ku krzakom jeżyn. Ptak znieruchomiał i spojrzał na nią błyszczącym czarnym okiem.

– Nie bój się. – Ostrożnie sięgała po żyłkę. – Mój Boże, ale jesteś wielka. Bądź chwilę cierpliwa, spróbuję... Au! – Gęś nagle rzuciła się do przodu i uderzyła ją w przedramię dziobem niczym młotkiem.

Daisy cofnęła się i spojrzała na małe wgłębienie w skórze, które już zaczynało sinieć. Krzyknęła ze złością do wojowniczej gęsi:

– Ty niewdzięczna istoto! Powinnam cię za to tak zostawić.

Roztarła bolące miejsce i zastanawiała się, czy mogłaby wykorzystać wędkę do wyplątania żyłki z krzaków. Nie rozwiązywało to jednak problemu usunięcia łyżeczki z nogi gęsi. Będzie musiała wrócić do posiadłości i poprosić kogoś o pomoc.

Gdy pochyliła się, by podnieść wędkę, usłyszała, że ktoś gwizdże znaną jej melodię. Po dłuższej chwili wsłuchiwania się w nią przypomniawszy sobie, że to piosenka *Koniec idealnego dnia*, stała się popularna w Nowym Jorku tuż przed jej wyjazdem.

Ktoś szedł w jej stronę od rzeki. Mężczyzna w przemoczonym ubraniu, z wędką i w starym kapeluszu z niskim rondem. Miał na sobie tweedowy surdut o kroju sportowym i grube spodnie – mokry materiał opinał umięśnione ciało. Od razu go rozpoznała, puls jej przyspieszył.

Zobaczywszy Daisy, mężczyzna przestał gwizdać. Miał opaloną twarz i oczy o głębszym odcieniu błękitu niż woda i niebo. Lśniły na tle opalanej cery. Gdy zdjął kapelusz, słońce rzucało mahoniowe refleksy na jego ciemne, gęste włosy.

– Do diaska – mruknęła Daisy ze złością. Nie tylko dlatego, że był ostatnią osobą, którą chciałyby teraz widzieć, także dlatego, że Matthew Swift wydał się jej podniecająco przystojny. Nie chciała, by pociągał ją fizycznie. Nie chciała, by ją ciekawił, nie chciała, by budził w niej pragnienie odkrycia wszystkich jego tajemnic, radości i lęków. Dlaczego nigdy wcześniej się nim nie interesowała? Może

była niedojrzała. Może to nie on się zmienił, lecz ona.

Podszedł do niej z wahaniem.

– Panno Bowman.

– Dzień dobry, panie Swift. Dlaczego nie łowi pan ryb z innymi gośćmi?

– Mam pełen kosz. Szło mi lepiej niż pozostałym panom, zawstydzilibym ich, łowiąc dalej.

– Cóż za skromność. A gdzie pańska wędka?

– Westcliff ją zabrał.

– Dlaczego?

Swift odstawił kosz i włożył kapelusz.

– Przywiozłem ją z Ameryki. Jest zrobiona z orzesznika, ma elastyczny jesionowy top i wielostopniowy kołowrotek z wyważoną korbą.

– Wielostopniowe kołowrotki nie działają – zauważyła Daisy.

– Brytyjskie nie – zgodził się. – Ale w Stanach dokonaliśmy pewnych ulepszeń. Gdy tylko Westcliff zobaczył, że potrafię zarzucić bezpośrednio ze szpuli, wyrwał mi wędkę z dłoni. Teraz on na nią łowi.

Znając słabość szwagra do nowinek technologicznych, Daisy uśmiechnęła się lekko. Poczwała na siebie wzrok Swifta. Nie chciała na niego patrzeć, a mimo to podniosła głowę.

Nie potrafiła pogodzić niezgrabnego młodego człowieka ze swoich wspomnień z tym okazem męskości. Był niczym nowo wybita miedziana jednopensówka, czysta, błyszcząca i doskonała. W ostrym świetle poranka zauważyła, że ma długie rzęsy i siateczkę zmarszczek w kącikach oczu. Zapragnęła dotknąć jego twarzy, sprawić, by się uśmiechnął, obwieść łuki jego warg palcami.

Przedłużającą się niezręczną ciszę przerwało władcze gęganie.

Swift zerknął na masywnego ptaka.

– Widzę, że ma pani towarzystwo. – Gdy wyjaśniła mu, co dwaj chłopcy robili z gęsią, uśmiechnął się: – Sprytne chłopaki.

Daisy pomyślała, że w jego głosie na próżno szukać współczucia.

– Chciałam jej pomóc, ale gdy podeszłam bliżej, dziobnęła mnie. Przypuszczałam, że udomowione gęsi są spokojniejsze.

– Gęgawy nie słyną ze spokoju – powiedział Swift. – Zwłaszcza samce. Pewnie próbował pokazać pani, kto tu jest szefem.

– I pokazał – mruknęła Daisy, rozcierając ramię.

Zmarszczył brwi na widok powiększającego się sińca.

– Dziobnął panią? Proszę pokazać.

– Nie, nie trzeba... – Próbowała się bronić, lecz już długimi palcami otoczył jej nadgarstek, a kciukiem drugiej dłoni przesunął delikatnie po ciemnofioletowym guzie.

– Jest pani podatna na sińce – szepnął, pochylając głowę nad jej ręką.

Serce Daisy załomotało gwałtownie i przyspieszyło rytm. Pachniał świeżością – słońcem, wodą i trawą. Głębiej ukrywał się kuszący, ciężki zapach ciepłego, spoconego mężczyzny. Odezwał się w niej instynkt nakazujący rzucić się mu w ramiona, wtulić w niego... przyciągnąć jego dłoń do swojej piersi. To nieme pragnienie ją zszokowało.

Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie niebieskich oczu.

– Ja... – Szarpnęła się nerwowo. – Co robimy?

– W sprawie gąsiora? – Wzruszył szerokimi ramionami. – Moglibyśmy skrócić mu kark i zabrać do

domu na kolację.

Ta sugestia sprawiła, że Daisy i gęgawa spojrzały na niego z oburzeniem.

– Bardzo kiepski dowcip, panie Swift.

– Nie żartowałem.

Stała pomiędzy nim i gąsiorem.

– Sama dam sobie radę. Może pan już iść.

– Nie radzę się z nim zaprzyjaźniać. Tak czy inaczej znajdzie go pani na swoim talerzu, jeśli zabawi pani w Stony Cross Park dostatecznie długo.

– Może i jestem hipokrytką, ale nie zamierzam zjeść ptaka, którego znam.

Wargi Swifta nawet nie drgnęły, lecz Daisy wyczuła, że uwaga go rozbawiła.

– Odkładając na bok rozważania filozoficzne – powiedział – pozostaje rozwiązać problem praktyczny, jakim jest uwolnienie jego nogi. Za swoje wysiłki zostanie pani zadziobana na śmierć.

– Gdyby pan go przytrzymał, mogłabym dosięgnąć łyżki i...

– Nie – zaprotestował Swift stanowczo – za chińskiego boga się nie zgodzę.

– To powiedzenie nigdy nie miało dla mnie sensu – zauważyła. – Jeśli chodzi o mitologiczny panteon, Hindusi mają więcej bogów niż Chińczycy.

Wargi Swifta drżały, gdy zastanawiał się nad jej słowami.

– Muszę przyznać pani rację – mruknął. – Pewnie można by mówić „za hinduskiego boga”... ale nie brzmi tak samo. Niezależnie, jak to pani ujmie, nie zamierzam pomóc gęsi. – Pochylił się, by podnieść kosz.

– Proszę – szepnęła Daisy.

Posłał jej cierpiętnicze spojrzenie.

– Proszę – powtórzyła.

Żaden dżentelmen nie odmówiłby damie, która poprosiła o pomoc dwukrotnie.

Mamrocząc coś, Swift odstawił kosz.

Uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Dziękuję.

Jej uśmiech zbladł, gdy usłyszała:

– Ma pani u mnie dług.

– Oczywiście – odparła. – Nie oczekiwałam, że zrobi pan coś za nic.

– Gdy upomnę się o jego spłatę, nie będzie pani wolno odmówić, niezależnie od tego, o co poproszę.

– W granicach rozsądku. Nie zgodzę się wyjść za pana tylko dlatego, że uratował pan biedną spętaną gęś.

– Proszę mi wierzyć – rzekł ponuro – nie zamierzam prosić o pani rękę. – Zaczął zdejmować surdut, lecz napotkał trudności w ściągnięciu wilgotnego oliwkowego tweedu ze swych szerokich barków.

– C-co pan robi? – Daisy patrzyła ze zdumieniem.

Z irytacją zacisnął wargi.

– Nie pozwolę, by to przekłete ptaszysko zniszczyło mi surdut.

– Żeby aż tak się przejmować kilkoma piórkami!

– Nie o piórka się martwię.

– Och. – Ledwie się powstrzymała, by nie parsknąć śmiechem.

Obserwowała, jak Swift zdejmuje surdut i kamizelkę. Pomięta biała koszula przywarła do jego szerokiej piersi. Tak mokra, że wydawała się niemal przezroczysta, kleiła się do umięśnionego brzucha, znikając za mokrym paskiem spodni. Białe szelki napinały się na jego ramionach i krzyżowały na masywnych plecach. Ostrożnie odłożył ubrania na kosz, by nie pobrudziły się błotem. Wiatr zdmuchnął wilgotne pasma jego włosów na czoło.

Osobliwość tej sytuacji – obrażony gąsior, przemoczony Matthew Swift w samej koszuli – rozśmieszyła Daisy. Szybko przycisnęła dłoń do ust, lecz nie zdołała się opanować.

Swift pokręcił głową, lecz również się uśmiechnął. Zauważyła, że jego uśmiech nigdy nie trwa długo – znika tak szybko, jak się pojawia. Przypominał tym fenomenalne zjawisko – jak spadająca gwiazda, ulotna i olśniewająca.

– Jeśli komuś o tym powiesz, mała psotnico, zapłacisz mi za to – zagroził jej, lecz jakaś zmysłowa miękkość w głosie wywołała u Daisy dreszcz.

– Nic nikomu nie powiem – odparła bez tchu. – Ta sytuacja stawia mnie w tak samo złym świetle jak pana.

Sięgnął do kieszeni surduta i wyjął mały scyzoryk, który podał Daisy. Miała wrażenie, że palcami dotykał jej skóry nieco dłużej, niż było potrzeba.

– Po co mi to? – zapytała niepewnie.

– By odciąć sznurek od nogi ptaka. Proszę uważać... jest bardzo ostry. Nie chciałbym, by przez przypadek otworzyła pani jakąś tętnicę.

– Proszę się nie martwić, nie zrobię mu krzywdy.

– Miałem na myśli siebie, a nie gęś. – Otaksował wzrokiem zniecierpliwionego gąsiora. – Jeśli będziesz mi to utrudniać, przerobię cię na pasztet.

Ptak groźnie uniósł skrzydła, przez co jeszcze urósł.

Swift podszedł bliżej zdecydowanym krokiem i postawił stopę na żyłce, by ograniczyć zakres ruchu gęsi. Gąsior bił skrzydłami i syczał, znieruchomiał na chwilę, po czym rzucił się do przodu. Swift chwycił go, przeklinając, i próbował unikać ciosów dziobem. W powietrze wzbił się puch.

– Tylko proszę go nie udusić! – zawołała Daisy, gdy złapał ptaszysko za szyję.

Dobrze się stało, że jego odpowiedź zagłuszyło poruszenie, skrzek gęsi i odgłosy walki. Zdołał jakoś unieruchomić ptaka. Rozczochrany i pokryty piórami wbił w Daisy gniewne spojrzenie.

– Proszę tu podejść i przeciąć żyłkę – syknął.

Natychmiast go posłuchała i uklękła przed siłującą się parą. Ostrożnie sięgnęła po ubłoconą nogę gęsi, a ptak zaskrzeczał i wyszarpnął się z jej uścisku.

– Na miłość boską, proszę się nie wahać – mruknął Swift niecierpliwie. – Niech pani go chwyci i bierze się do roboty.

Gdyby nie dwanaście kilogramów rozwścieczonej gęsiny pomiędzy nimi, Daisy zasztyletowałaby Matthew Swifta wzrokiem. Zamiast tego mocniej chwyciła gąsiora za spętaną nogę i ostrożnie wsunęła czubek ostrza pod żyłkę. Swift miał rację – ostrze okazało się piekielnie ostre. Jednym ruchem przecięła żyłkę na pół.

– Już – oświadczyła z triumfem, składając scyzoryk. – Może pan uwolnić naszego pierzastego przyjaciela, panie Swift.

– Dziękuję – padła sarkastyczna odpowiedź.

Gdy uwolnił ptaka, ten zareagował niespodziewanie. Powodowany żądzą zemsty, mylnie obwiniając swojego wybawcę za wszystkie cierpienia, wykręcił szyję i dziobnął go w twarz.

– Au! – Swift klapnął pośladkami do wody, przyciskając dłoń do oka, a gęś odleciała, skrzecząc triumfalnie.

– Panie Swift! – Daisy podbiegła do niego i usiadła mu okrakiem na kolanach. Złapała go za rękę. – Proszę pokazać.

– Nic się nie stało. – Potarł oko.

– Proszę pokazać. – Chwyciła jego głowę w dłonie.

– Zażyczę sobie dziś na kolację pieczonej gęsi – wymamrotał, pozwalając jej odwrócić swoją twarz profilem.

– Nic takiego pan nie robi. – Łagodnie zbadała niewielką ranę pod ciemną brwią, po czym rękawem otarła kroplę krwi. – To niegrzeczne zjadać kogoś, komu się pomogło. – W jej głosie zabrzmiał śmiech. – Na szczęście gąsior miał kiepskie oko. Moim zdaniem nawet nie będzie sińca.

– Cieszę się, że to panią bawi – mruknął. – Jest pani cała pokryta piórami.

– Pan również. – Lśniące brązowe włosy miał poprządkane puchem i pierzem w odcieniu szarości i bieli. W jej gardle znów wezbrał śmiech, niczym bąbelki na powierzchni wody. Gdy wybierała pióra z włosów Swifta, gęste kędziory delikatnie łaskotały dłoń.

Pochylił się i pogładził jej włosy, które wymknęły się z upięcia. Bardzo delikatnie wyłuskiwał pióra spomiędzy mokrych czarnych pasm.

Dłuższą chwilę w milczeniu koncentrowali się na tym zajęciu. Daisy oddała się mu z takim zapałem, że nawet nie zauważyła, iż znajduje się w niestosownej pozie. Po raz pierwszy znalazła się na tyle blisko Matthew, by zauważyć różnorodność odcieni błękitu w jego tęczęwkach – przy źrenicach wydawały się niemal kobaltowe. A jego skóra była jak rozgrzana słońcem satyna, z cieniem zarostu na szczęce.

Uświadomiła sobie nagle, iż celowo unika jej wzroku, skupiając uwagę na włosach. Miała wrażenie, że ich ciała bezgłośnie się komunikują, czuła siłę jego mięśni, gorący oddech na policzku. Żar skóry przenikał wilgotną tkaninę i parzył wszędzie tam, gdzie go dotykała.

Oboje nagle znieruchomieli, jakby oszołomieni swoją bliskością, a każda komórka w ciele Daisy wypełniła się płynnym ogniem. Czuła pulsowanie tętna w kończynach. Zafascynowana niezwykłością chwili pozwoliła ponieść się doznaniom. Wybrała wszystkie pióra, lecz nie przestawała delikatnie przeczesywać palcami jego włosów.

Poczuła, że mógłby bez trudu przetoczyć się na nią i przycisnąć swoim ciężarem do wilgotnej ziemi. Gdy twardymi kolanami wciskał się w warstwy spódnicy, budził się w Daisy prymitywny instynkt, który nakazywał jej otworzyć się na niego, przyjmując go.

Gwałtownie wciągnął powietrze. Zaciśnął dłonie na jej ramionach i bezceremonialnie zsunął ze swoich kolan.

Łądowanie na trawie okazało się twarde, musiała minąć chwila, zanim doszła do siebie. Bez słowa sięgnęła po scyzoryk, leżący na ziemi, i podała mu go.

Wsunął scyzoryk do kieszeni, po czym zaczął skrupulatnie otrzepywać z piór i kurzu nogi.

Zastanawiając się, dlaczego Matthew siedzi tak dziwnie skulony, Daisy powoli wstała.

– Cóż – oświadczyła niepewnie – chyba muszę wrócić do posiadłości przez wejście dla służby. Matka wpadnie w szal, jeśli mnie zobaczy.

– Ja pójdę nad rzekę – odparł Swift ochryple. – Ciekaw jestem, jak sobie radzi Westcliff z tą wędką. Może sam też coś jeszcze złowię.

Zmarszczyła brwi, zrozumiałwszy, że Swift postanowił jej unikać.

- Można by pomyśleć, że dość czasu spędził pan już dzisiaj w zimnej wodzie – zauważyła.
- Wygląda na to, że nie. – Swift odwrócił się do niej plecami, by sięgnąć po kamizelkę i surdut.

ROZDZIAŁ 5

Daisy, skonsternowana, powoli oddalała się od sztucznego zbiornika.

Nie zamierzała nikomu opowiadać o tym, co się wydarzyło, choć z chęcią rozbawiłaby Lillian historyjką o spotkaniu z gęsią. Nie chciała jednak zdradzać, że odkryła inną stronę natury Matthew Swifta, że na chwilę uległa niebezpiecznej pokusie flirtu z nim. Przecież to nie ma żadnego znaczenia.

Wciąż była niewinna, ale z fizjologią kobiety obeznana na tyle, by wiedzieć, że ciało może reagować na mężczyznę nawet bez zaangażowania serca. Wystarczyło wspomnieć przypadek Cama Rohana. Irytowało ją, że Matthew Swift budzi w niej taki sam pociąg. Ci dwaj tak bardzo różnili się od siebie – jeden był romantykiem, drugi miał skrytą naturę. Jeden był przystojnym młodym Cyganem, który otworzył jej wyobraźnię na kuszące możliwości, a drugi – człowiekiem interesów, twardym, ambitnym i pragmatycznym.

Poznała sporo spragnionych władzy mężczyzn, gdy mieszkała przy Piątej Alei. Szukali oni doskonałości, małżonki, która okaże się idealną gospodynią, będzie wydawać najlepsze kolacje i wieczorki, będzie nosić najpiękniejsze suknie i urodzi najgrzeczniejsze dzieci, bawiące się cicho na górze w pokoju dzieciennym, podczas gdy ich ojcowie będą negocjować nowe umowy biznesowe w swoich gabinetach na dole.

Matthew Swift ze swoją szaloną ambicją, człowiek, którego jej ojciec wybrał z powodu talentu i błyskotliwego umysłu, bez wątpienia okazałby się najbardziej wymagającym mężem. Zapewne pragnął żony, która zorganizuje całe swoje życie wokół jego celów i którą surowo by osądzał, gdyby nie udało się jej go zadowolić. W przyszłości nic dobrego nie czekało jej z takim mężczyzną.

Okazało się jednak, że Matthew Swift ma pewną zaletę: pomógł gęsi.

Zanim Daisy zakradła się z powrotem do posiadłości, umyła się i przebrała w świeżą suknię, jej przyjaciółki i siostra zeszły już do pokoju śniadaniowego na herbatę i grzanki. Siedziały przy okrągłym stole opodal okna i wszystkie podniosły głowy, gdy Daisy przekroczyła próg.

Annabelle trzymała w ramionach Isabelle i głaskała ją uspokajająco po plecach. Inne stoliki również były zajęte, głównie przez kobiety, choć w pokoju znajdowało się także sześciu mężczyzn, w tym St. Vincent.

– Dzień dobry – przywitała się Daisy wesoło, podchodząc do siostry. – Jak spałaś, moja droga?

– Wybornie. – Lillian wyglądała uroczo. Miała ożywiony wzrok, czarne włosy odsunęła z twarzy i zebrała w różową jedwabną siateczkę na karku. – Miałam otwarte okna, więc owiewała mnie odświeżająca bryza znad jeziora. Byłaś rano na rybach?

– Nie – odparła Daisy swobodnie. – Wybrałam spacer.

Evie pochyliła się ku Annabelle, aby wziąć dziecko.

– Pozwól mi ją potrzymać – poprosiła.

Dziewczynka była niespokojna, gorączkowo ssała swoją małą piąstkę, śliniąc się przy tym obficie.

– Biedactwo łąbkuje – powiedziała Evie, kołyszając małą.

– Przez cały ranek jest pobudzona – dodała Annabelle.

Daisy zauważyła zmęczenie w błyszczących oczach przyjaciółki. Oczy młodej matki. Wyczerpanie tylko podkreślało urodę Annabelle, łagodząc boską perfekcję jej rysów.

– Nie za wcześnie na łąbkowanie? – zapytała Daisy.

– To mała Huntówna – odparła Annabelle sucho. – A Huntowie są wyjątkowo twardzi. Zdaniem mojego męża wszyscy w jego rodzinie rodzą się z zębami. – Spojrzała na dziecko z troską. – Chyba powinnam zabrać ją do pokoju.

Wiele osób patrzyło na ich stolik z dezaprobatą. Nie wypadało, by małe dzieci, a zwłaszcza niemowlęta, przebywały w towarzystwie dorosłych. Chyba że na pokaz, w białych falbankach, wstążkach i koronkach, na krótką chwilę, by zaraz potem wrócić do pokoju dzieciennego.

– Nonsens – oświadczyła od razu Lillian, nie zniżając głosu. – Isabelle nie płacze ani nie krzyczy. Jest po prostu trochę pobudzona. Myślę, że wszystkich nas stać na odrobinę tolerancji.

– Spróbuję znów podać jej łyżeczkę – szepnęła Annabelle z nutą niepokoju w głosie. Wyjęła schłodzoną srebrną łyżeczkę z małej miseczki z kruszonym lodem i wyjaśniła Daisy: – To sugestia mojej matki. Powiedziała, że to zawsze pomagało mojemu bratu Jeremy’emu.

Daisy usiadła obok Evie i spojrzała na dziecko, które zacisnęło usta na łyżeczce. Okrągła buzia Isabelle była zaczerwieniona, z oczu kapały łzy. Gdy zaszlochała, odsłoniła tym samym nadwrażliwe, podrażnione dziąsła, a Daisy aż się skrzywiła ze współczucia.

– Jest śpiąca – stwierdziła Annabelle – ale za bardzo ją boli, by zdołała zasnąć.

– Biedactwo.

Gdy Evie próbowała ukołysać dziecko, po drugiej stronie pokoju zapanowało poruszenie. Wejście kogoś nowego wywołało falę zainteresowania. Daisy odwróciła się na krześle i zauważyła mężczyznę okazałej postawy, Matthew Swifta.

Nie poszedł więc nad rzekę. Musiał poczekać, aż Daisy odejdzie dostatecznie daleko, po czym wrócił do posiadłości bez konieczności eskortowania jej.

Tak jak jej ojciec uznał, że ona nie ma w sobie nic wartego zainteresowania. Wmawiała sobie, że nie powinna się tym przejmować, ale zabolalo.

Zdażył się przebrać w odprasowany ciemnoszary surdut z gołębią kamizelką, do tego czarny fular zawiązany tradycyjnie. W Europie zapanowała jakiś czas temu moda na dłuższe bokobrody i luźno ufryzowane włosy, lecz jak widać, nie dotarła jeszcze do Ameryki. Matthew Swift był gładko ogolony, a lśniące brązowe włosy, przycięte krótko po bokach i na karku, nadawały mu uroczo chłopięcy wygląd.

Daisy przyglądała mu się ukradkiem, gdy się przedstawiał. Dostrzegła zadowolenie na twarzach starszych dżentelmenów, którzy z nim rozmawiali, oraz zazdrość u młodszych. A także kokieterijne zainteresowanie kobiet.

– Wielkie nieba – szepnęła Annabelle – kto to taki?

– Matthew Swift – odparła Lillian ponuro.

Annabelle i Evie zrobiły wielkie oczy.

– Ten sam pan Swift, którego opisałaś jako worek k-kości? – upewniła się Evie.

– Ten sam, który miał być tak interesujący, jak przywiedły szpinak? – dodała Annabelle.

Lillian tylko się skrzywiła. Oderwała wzrok od Swifta i wrzuciła kostkę cukru do herbaty.

– Może nie jest taki okropny, jak go opisałam – przyznała – ale nie pozwólcie, by zwiodył was

pozory. Gdy poznacie jego wnętrze, aparycja nie wyda się wam taka okazała.

– M-myślę, że kilka znanych nam dam chętnie zapoznałoby się z dowolną jego częścią – zauważyła Evie, na co Annabelle prychnęła śmiechem w swoją filizankę.

Daisy obejrzała się szybko przez ramię i doszła do wniosku, że przyjaciółka ma rację. Damy trzepotały rzęsami, chichotały i wyciągały miękkie białe dłonie do pocałunków.

– Tyle zamieszania tylko dlatego, że pojawił się ktoś nowy, w dodatku Amerykanin – wymamrotała Lillian. – Gdyby przyszedł tu jeden z naszych braci, damy z pewnością zapomniałyby o panu Swiftcie.

Choć Daisy bardzo chciałyby przytaknąć, uznała, że jej bracia nie wywarliby jednak takiego wrażenia na towarzystwie jak pan Swift. Choć byli spadkobiercami wielkiej fortuny, braciom Bowman brakowało finezji Matthew.

– Patrzy tutaj – doniosła im Annabelle. Niepokój sprawił, że lekko napięła mięśnie. – Marszczy brwi, jak wszyscy. Dziecko robi za dużo hałasu. Zabiorę małą na zewnątrz i...

– Nigdzie jej nie zabierzesz – zabroniła Lillian. – To mój dom, a ty jesteś moją przyjaciółką. Każdy, komu przeszkadza płacz dziecka, może się od razu wynosić.

– Idzie tu – szepnęła Evie. – Cicho.

Daisy utkwiała wzrok w swojej herbacie, mimowolnie tężejąc.

Swift podszedł do ich stolika i ukłonił się uprzejmie.

– Milady – zwrócił się do Lillian – cóż za radość widzieć cię znowu. Przyjmij, proszę, moje gratulacje z okazji małżeństwa z lordem Westcliffem, a także... – Zawahał się, bo choć Lillian była w widocznej ciąży, dobre wychowanie nie pozwalało wspominać o jej stanie. – Wspaniale pani wygląda – dokończył.

– Jestem wielka jak stodoła. – Lillian zniweczyła jego dyplomatyczne wysiłki.

Swift zacisnął wargi, jakby starał się powstrzymać uśmiech.

– Ależ skąd – odparł łagodnie, po czym przeniósł wzrok na Annabelle i Evie.

Zapadła cisza, gdy wszyscy czekali, aż Lillian ich sobie przedstawi.

Lillian niechętnie spełniła obowiązek.

– To pan Swift – wymamrotała, wskazując na niego ręką. – Pani Simonowa Hunt oraz lady St. Vincent.

Swift zręcznie pochylił się nad dłonią Annabelle. Chciał wykonać taki sam gest wobec Evie, ale ta trzymała w ramionach dziecko. Jęki i zawodzenia Isabelle przybierały na sile i lada chwila mogły przemienić się w głośny szloch, jeśli nie nadeszłyby interwencja.

– Moja córka Isabelle jest niespokojna – powiedziała Annabelle zażenowana sytuacją. – Ząbkuje.

To go powinno odstraszyć, pomyślała Daisy. Mężczyźni boją się przecież płaczących dzieci.

– Ach. – Swift sięgnął do kieszeni i zaczął przetrząsać jej zawartość. Co on tam nosił, na Boga? Wreszcie wyjął scyzoryk, kawałek żyłki wędkarskiej i czystą białą chusteczkę.

– Panie Swift, co pan robi? – Evie nie kryła zdziwienia.

– Improvizuję. – Nabrał trochę kruszonego lodu na środek chusteczki, ciasno związał materiał żyłką i odciął kawałek. Włożył nóż do kieszeni, po czym bez wahania sięgnął po dziecko.

Zaskoczona Evie podała mu niemowlę. Cztery kobiety przyglądały się ze zdumieniem, jak wprawnie bierze Isabelle na ręce. Podał dziecku wypełnione lodem zawiniątko, a mała włożyła je do ust i zaczęła je gwałtownie ssać, nie przestając płakać.

Obojętny na zafascynowane spojrzenia wszystkich w pokoju Swift podszedł z dzieckiem do okna i mówił coś cicho. Wyglądało to tak, jakby opowiadał bajkę. Po dłuższej chwili mała się uspokoiła.

Gdy wrócił do stolika, Isabelle drzemała i wzdychała, zaciskając usteczka na wilgotnej chusteczce.

– Och, panie Swift – powiedziała Annabelle z wdzięcznością, przejmując od niego dziecko. – Jakie to było mądre! Dziękuję.

– Co jej pan opowiadał? – chciała wiedzieć Lillian.

Zmarszczył brwi i odparł beznamiętnie:

– Postanowiłem zająć ją czymś na tyle długo, by lód uśmierzył dżiąsła. Opisałem więc pokrótce założenia aktu Buttonwood z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

Po raz pierwszy odezwała się Daisy:

– A co to takiego?

Spojrzał na nią z uprzejmą miną, a Daisy wydawało się, że wymyśliła sobie to wszystko, co zaszło dzisiejszego ranka. Czuła jednak na skórze, że jego twarde mięśnie odcisnęły swoje piętno.

– Akt Buttonwood doprowadził do utworzenia zarządu giełdy nowojorskiej – wyjaśnił. – Starłem się mówić ciekawie, ale panna Isabelle całkiem straciła zainteresowanie, gdy napomknąłem o kompromisie w kwestii struktury opłat.

– Rozumiem – odparła Daisy. – Zanudził pan to biedne dziecko.

– Powinna pani wysłuchać mojego wykładu na temat braku równowagi sił rynkowych, przyczyny kryzysu w roku trzydziestym siódmym – oświadczył. – Podobno to lepsze niż laudanum.

Patrząc mu w oczy, nie zdołała zapanować nad śmiechem, a on znów posłał jej jeden ze swoich przelotnych, oszałamiających uśmiechów. Oblała się rumieńcem.

Wpatrywał się w nią nieco dłużej, niż wypada, jakby zafascynowało go coś, co dostrzegł w jej oczach. Nagle oderwał od niej wzrok i ukłonił się.

– Zostawię panie, byście mogły rozkoszować się herbatą. Miło było poznać. – Zerknął na Annabelle, po czym dodał z powagą: – Ma pani uroczą córkę, madam. Nikomu nie wspomnę o braku taktu, jaki wykazała, zasypiając podczas mojego wykładu.

– To bardzo miło z pańskiej strony, sir. – Oczy Annabelle się śmiały.

Gdy przeszedł na drugą stronę pokoju, cztery młode kobiety nagle skupiły się na niepotrzebnym mieszaniu herbaty i układaniu serwetek na kolanach.

Evie pierwsza się odezwała.

– Miałaś rację – zwróciła się do Lillian. – Jest absolutnie przerażający.

– O tak – przyznała z powagą Annabelle. – Gdy się na niego patrzy, pierwsze słowa, jakie przychodzą do głowy, to „przywiędły szpinak”.

– Och, zamknijcie się obie – odpowiedziała na ich sarkazm Lillian, wgrzyzając się z apetytem w grzanekę.

Lillian uparła się, by po południu zaciągnąć siostrę na wschodni trawnik, gdzie młodzież grała w kule. Daisy nie miałyby może nic przeciwko temu, ale doszła do szczególnie porywającego fragmentu nowej powieści o guwernantce imieniem Honoria, która właśnie spotkała na strychu ducha. „Kim jesteś?”, zapytała Honoria drżącym głosem, wpatrując się w ducha, który okazał się zdumiewająco podobny do jej dawnej miłości, lorda Claywortha. Duch już miał odpowiedzieć, gdy Lillian stanowczo wyrwała Daisy książkę z dłoni i siłą wyciągnęła ją z biblioteki.

– Do diaska – narzekała Daisy. – Do diaska, do diaska... Właśnie dotarłam do najlepszej części!

– Gdy my się tu kłócimy, na trawniku co najmniej pół tuzina kawalerów do wzięcia gra w kule – odparła surowo Lillian. – Dołączenie do gry z nimi niewątpliwie lepiej rokuje niż zamykanie się w bibliotece.

– Nie wiem nic o kulach.

– Świetnie. Poproś, żeby cię nauczyli. Mężczyźni uwielbiają uczyć kobiety.

Zeszyły na trawiaste boisko otoczone stolikami i krzesłami dla gapiów. Gracze toczyli duże, okrągłe, drewniane piłki po trawniku, wybuchając śmiechem za każdym razem, gdy czyjaś piłka, a raczej kula, wpadła do wąskiego rowu otaczającego boisko z jednej strony.

– Hm... – Lillian objęła wzrokiem zgromadzenie. – Mamy konkurencję. – Daisy poznała trzy damy, które zdaniem siostry mogły stanowić zagrożenie: pannę Cassandrę Leighton, lady Mirandę Dowden oraz Elspeth Higginson. – Wolałam nie zapraszać żadnych niezamężnych kobiet do Hampshire – mówiła Lillian – ale Westcliff uznał, że byłoby to zbyt oczywiste. Na szczęście jesteś od nich ładniejsza. Nawet jeśli jesteś niska.

– Nie jestem niska.

– No to drobna.

– Tego określenia też nie lubię. Wydaję się przez nie banalna.

– Lepsze niż karłowata. To jedyne słowo, jakie przychodzi mi teraz do głowy, by opisać twój niedostatek wzrostu. – Uśmiechnęła się na widok gniewnego grymasu Daisy. – Nie krzyw się, moja droga. Masz przed sobą cały bufet kawalerów, z którego możesz wybierać... O cholera.

– Co? Co?

– On też gra.

Daisy nie musiała nawet pytać kto... Irytacja w głosie Lillian nie pozostawiała wątpliwości.

Daisy objęła graczy wzrokiem i dostrzegła Matthew Swifta na końcu trawnika w otoczeniu młodych dżentelmenów, którzy oceniali odległości pomiędzy kulami. Tak jak oni, miał na sobie jasne spodnie, białą koszulę i kamizelkę. Był szczupły i wysportowany, emanował fizyczną siłą i pewnością siebie.

Nic nie umykało jego uwagi. Chyba poważnie traktował rozgrywkę. Matthew Swift należał do tych mężczyzn, którzy zawsze dążą do doskonałości, nawet podczas zabawy na trawie.

Daisy była niemal pewna, że rywalizacja stanowi nieodłączną część każdego dnia jego życia. To odróżniało go od uprzywilejowanych młodych ludzi ze starego Bostonu lub starego Nowego Jorku, których znała, tych rozpieszczonych spadkobierców fortun, którzy żyli ze świadomością, że nie muszą kłaść się pracą, jeśli tego nie chcą. Zastanawiała się, czy Swift zrobił coś kiedykolwiek tylko dla zabawy.

– Próbują określić, kto wygrał – wyjaśniła jej Lillian. – Czyli komu udało się dotoczyć swoją kulę najbliższej białej kuli na samym końcu.

– Skąd tyle wiesz o tej grze? – zapytała Daisy.

Uśmiechnęła się.

– Westcliff mnie nauczył. Jest taki dobry w kule, że zazwyczaj nie bierze udziału w rozgrywce, bo gdy on gra, nikt inny nie wygra.

Podeszły do rzędu krzesel, gdzie siedzieli Westcliff, Evie i lord St. Vincent oraz Craddockowie, emerytowany generał major z małżonką. Daisy już miała usiąść na wolnym miejscu, gdy Lillian popchnęła ją w stronę graczy.

– Idź – nakazała jej tonem, jakim uczy się aportować psa.

Daisy westchnęła ciężko, z tęsknotą pomyślała o niedokończonych powieściach, po czym podeszła do grających. Co najmniej trzech dżentelmenów poznała już wcześniej. Każdy z nich to potencjalny kandydat na męża. Pan Hollingberry był trzydziestolatkiem o przyjemnej aparycji, nieco okrągłym, lecz wciąż atrakcyjnym. Pan Mardling miał atletyczną budowę, gęste blond loki i zielone oczy.

Dwóch mężczyzn nigdy wcześniej nie spotkała w Stony Cross – pana Alana Ricketta o wyglądzie naukowca w okularach i nieco pomiętym surducie... oraz lorda Llandrindona, przystojnego, ciemnowłosego dżentelmena średniego wzrostu.

Ten natychmiast podszedł do Daisy, zgłaszając się na ochotnika, by wyjaśnić jej zasady gry. Ona starała się nie patrzeć ponad jego ramieniem na pana Swifta, otoczonego gronem kobiet. Chichotały i flirtowały, pytając go o wskazówki, jak trzymać kulę i ile kroków należy zrobić, zanim upuści się ją na trawę.

Zachowywał się tak, jakby nie zauważył Daisy. Gdy jednak odwróciła się, żeby wybrać dla siebie drewnianą kulę, poczuła mrowienie na karku. Od razu wiedziała, że on na nią patrzy.

Teraz gorzko żałowała, że poprosiła go o pomoc przy uwięzionej gęsi. Ten epizod obudził coś, co znalazło się poza jej kontrolą, niepokój, od którego nie potrafiła się uwolnić. Nie bądź śmieszna, powiedziała sobie. Zaczynaj grać. Zmusiła się, by uważnie wysłuchać rad lorda Llandrindona co do strategii gry.

Obserwując wydarzenia na trawniku, Westcliff skomentował cicho:

– Wygląda, że dobrze dogaduje się z Llandrindonem. A to jeden z najbardziej obiecujących kandydatów. W odpowiednim wieku, wykształcony i o przyjemnej aparycji.

Lillian oceniła Llandrindona wzrokiem. Był nawet odpowiedniego wzrostu dla Daisy – nie za wysoki. Daisy nie lubiła, kiedy ktoś nad nią górował.

– Ma dziwne nazwisko – powiedziała. – Ciekawe, skąd pochodzi.

– Z Thurso – powiedział lord St. Vincent, który siedział po drugiej stronie Evie.

Po burzliwym konflikcie z przeszłości pomiędzy Lillian a St. Vincentem zapanował kruchy rozejm. Ona wiedziała, że nigdy nie zdoła naprawdę go polubić, lecz po prostu doszła do wniosku, że będzie musiała go tolerować, ponieważ St. Vincent od lat przyjaźnił się z Westcliffem.

Wiedziała, że gdyby poprosiła męża o zakończenie tej przyjaźni, on zrobiłby to dla niej, lecz za bardzo go kochała, by stawiać takie żądanie. Poza tym St. Vincent miał na Marcusa dobry wpływ. Dzięki swojej inteligencji oraz spostrzegawczości wnosił pewną równowagę do wypełnionych obowiązkami życia Marcusa. Jako jeden z najpotężniejszych ludzi w Anglii Marcus potrzebował wokół siebie osób, które nie traktowały go zbyt poważnie.

Na korzyść St. Vincenta przemawiało również to, że wydawał się dobrym mężem dla Evie. Wręcz ją czcił. Nikt przy zdrowych zmysłach nie skojarzyłby ich ze sobą – Evie, nieśmiałą paprotkę, i St. Vincenta, kobieciarza bez serca – a jednak udało im się stworzyć wyjątkowe stadło.

St. Vincent był pewny siebie, wyrafinowany i przystojny, jego uroda wręcz oszałamiała ludzi, którzy na niego patrzyli. Wystarczyło jednak jedno słowo Evie, by biegł spełnić każde jej żądanie. Ich związek był spokojniejszy, mniej ostentacyjny niż małżeństwa Huntów lub Westcliffów, lecz bez wątplenia łączyła ich tajemnicza i namiętna więź.

Dopóki Evie była szczęśliwa, Lillian mogła traktować St. Vincenta kordialnie.

– Thurso – powtórzyła teraz podejrzliwie, przenosząc wzrok z St. Vincenta na męża. – Nie brzmi angielsko.

Mężczyźni wymienili spojrzenia, po czym Marcus odparł spokojnie:

– Bo to w Szkocji.

Zmrużyła powieki.

– Jest Szkotem? Ale nie ma akcentu.

– Całą młodość spędził w angielskich szkołach z internatem, a potem na Oksfordzie – wyjaśnił St.

Vincent.

– Hm. – Lillian nie miała pojęcia o szkockiej geografii i nigdy nie słyszała o Thurso. – A gdzie leży to Thurso? Tuż za granicą?

Westcliff nie patrzył jej w oczy, gdy odpowiedział:

– Nieco bardziej na północ. Bliżej Orkad.

– Na północnym wybrzeżu? – Nie wierzyła własnym uszom. Z wysiłkiem zniżyła głos do wściekłego szeptu. – Może zaoszczędzimy sobie problemów i ześlemy Daisy na Syberię? Tam pewnie jest cieplej! Dobry Boże, jak mogliście uznać Llandrindona za dobrego kandydata?

– Musiałem go dołączyć – zaprotestował St. Vincent. – Ma trzy majątki i całe stado koni czystej krwi. Za każdym razem, gdy odwiedza klub, moje dochody powiększają się o co najmniej pięć tysięcy funtów.

– Widać, że jest rozrzutny – skwitowała Lillian.

– Tym lepiej dla Daisy – rzekł St. Vincent. – Kiedyś będzie potrzebował pieniędzy twojej rodziny.

– Nie obchodzi mnie, że to dobra partia. Naszym celem jest zatrzymanie mojej siostry w tym kraju. Jak często będę się widywać z Daisy, jeśli zamieszka w cholernej Szkocji?

– Częściej, niż gdyby zamieszkała w Ameryce – wytknął jej Westcliff rzeczowo.

Lillian zwróciła się do Evie z nadzieją, że w niej znajdzie sojuszniczkę.

– Evie, powiedz coś!

– Nieważne, skąd pochodzi lord Llandrindon. – Wyciągnęła rękę, by delikatnie wyplątać pasmo ciemnych włosów z kolczyka Lillian. – Daisy go nie poślubi.

– Skąd wiesz? – zapytała z rezerwą Lillian.

Uśmiechnęła się.

– Och... Mam takie przecucie.

Pragnienie, by dokończyć grę i wrócić do powieści, sprawiło, że Daisy dość szybko przyswoiła zasady. Pierwszy gracz przetaczał białą kulę na koniec wyznaczonego toru. Celem gry było przetoczenie przez tor trzech innych drewnianych kul tak, by znalazły się jak najbliżej białej.

Jedyna trudność polegała na tym, że kule – celowo spłaszczone po jednej stronie – nigdy nie toczyły się prosto. Daisy odkryła, że należy nieco równoważyć asymetrię kul, posyłając je w razie potrzeby nieco bardziej na lewo lub na prawo. Boisko było krótkie, trawa równo przycięta, a ziemia twarda, co również służyło zamysłowi Daisy, by jak najszybciej z tym skończyć i wrócić do Honorii i ducha.

Jako że chęć udziału w grze zgłosiła taka sama liczba mężczyzn i kobiet, graczy podzielono na dwuosobowe drużyny. Daisy skojarzono z Llandrindonem, który okazał się wytrawnym graczem.

– Całkiem niezłe, panno Bowman – stwierdził. – Naprawdę nigdy pani w to nie grała?

– Nigdy. – Daisy uśmiechnęła się. Podniosła drewnianą kulę i odwróciła płaską stroną na prawo. – To zapewne rezultat pańskich doskonałych instrukcji, milordzie. – Podeszła dwa kroki do linii rzutu, cofnęła ramię i zwinnie posłała kulę do przodu. Jej kula zbiła jedną z kul przeciwników i wylądowała dokładnie pięć centymetrów przed białą. Wygrali tę rundę.

– Świetna robota – pochwalił ją pan Rickett, przecierając szkła okularów. Włożył je na nos, uśmiechnął się do Daisy i dodał: – Porusza się pani z niezwykłą gracją, panno Bowman. To radość, widzieć pani biegłość.

– Obawiam się, że to nie biegłość – odparła Daisy skromnie – ale raczej szczęście początkującego.

Lady Miranda, szczupła blondynka o porcelanowej cerze, spojrzała z troską na swe delikatne

dłonie.

– Chyba złamałam paznokiec.

– Proszę pozwolić, że odprowadzę panią do krzesła – zaproponował natychmiast Rickett z takim przejęciem, jakby złamała co najmniej rękę. Oboje zeszli z boiska.

Daisy doszła do smutnego wniosku, że gdyby celowo przegrała, nie musiałyby dłużej grać. Uznała jednak, że byłoby to nieuczciwe wobec partnera. A lord Llandrindon naprawdę ucieszył się z ich sukcesu.

– A teraz – oświadczył – przekonajmy się, z kim przyjdzie się nam zmierzyć w ostatniej rundzie.

Chwilę obserwowali rywalizację dwóch pozostałych drużyn, pana Swifta i panny Leighton przeciwko panu Mardlingowi i panie Higginson. Pan Mardling grał nierówno, raz błyskotliwie, to znów bardzo niezręcznie, podczas gdy forma panny Higginson wydawała się stabilniejsza. Cassandra Leighton była w grze okropna, co bardzo ją bawiło – chichotała nerwowo przez cały czas. Daisy to irytowało, natomiast partnerowi rozchichotanej dziewczyny zdawało się nie przeszkadzać.

Swift okazał się agresywnym i wyrachowanym graczem, każdy ruch dokładnie rozważał i wykonywał ze swobodną oszczędnością gestów. Daisy zauważyła, że nie miał żadnych skrupułów, jeśli chodzi o zbijanie kul innych graczy ani też o przesuwanie białej kuli na ich niekorzyść.

– Groźny przeciwnik – powiedział lord Llandrindon. Oczy mu się śmiały. – Myśli pani, że zdołamy go pokonać?

Nagle Daisy całkiem zapomniała o książce, która czekała na nią w domu. Była podekscytowana perspektywą rywalizacji z Matthew Swiftem.

– Wątpię. Ale przecież możemy spróbować, prawda?

Roześmiał się.

– Jasne, że możemy.

Swift i panna Leighton wygrali, a zaraz potem reszta graczy wróciła do domu odprowadzana dobrotliwymi okrzykami pozostałych.

Finaliści zebrali kule i wrócili na linię startu. Każda z drużyn otrzymała po cztery kule, czyli po dwa ruchy na gracza.

Gdy Daisy odwróciła się do Swifta, ich spojrzenia spotkały się po raz pierwszy tego popołudnia. Malujące się w jego oczach wyzwanie sprawiło, że jej serce załomotało, krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Zmierzwiłone włosy opadały mu na czoło, a musnięta słońcem twarz lśniła mgiełką potu.

– Rzućmy monetą, aby określić, kto zacznie – zasugerował lord Llandrindon.

Swift pokiwał głową, odrywając wzrok od Daisy.

Cassandra Leighton pisnęła z radości, gdy okazało się, że to oni wygrali rzut monetą. Swift zwinnie przetoczył białą kulę na koniec toru.

Panna Leighton podniosła swoją kulę i przycisnęła ją do biustu, co Daisy uznała za celowy zabieg mający przykuć uwagę do tego, jak hojnie została obdarzona przez naturę.

– Musi mi pan doradzić, panie Swift – powiedziała, posyłając mu bezradne spojrzenie spod zakręconych rzęs. – Powinnam skierować płaską stronę kuli na prawo czy na lewo?

Podszedł do niej i poprawił kulę w jej dłoniach. Panna Leighton rozpromieniła się, gdy poświęcił jej swoją uwagę. Szepnął coś do niej, pokazując najlepszy tor dla kuli, a partnerka nachyliła się ku niemu, aż ich głowy niemal się zetknęły. Daisy ogarnęła taka irytacja, że aż ścisnęło ją w gardle.

Wreszcie Swift się odsunął, a panna Leighton przebiegła kilka lekkich kroków i posłała kulę przed

siebie. Zabrakło jej jednak siły, więc kula tylko podskoczyła, po czym zatrzymała się na środku trawnika. To mogło utrudnić grę wszystkim innym, chyba że ktoś poświęciłby jeden ze swoich ruchów na zabicie jej kuli.

– Niech to diabli – mruknęła Daisy.

Panna Leighton ze śmiechu niemal osunęła się na ziemię.

– Ojej, chyba strasznie pokpiłam sprawę, czyż nie?

– Ależ skąd – odparł Swift spokojnie. – To żadna zabawa, jeśli nie ma wyzwania.

Poirytowana Daisy zastanawiała się, dlaczego on jest taki miły dla panny Leighton. Nie uważała dotąd, że jest typem mężczyzny, którego pociągają głupie kobiety.

– Pani kolej. – Lord Llandrindon wręczył jej kulę.

Zacisnęła palce na podrapanej drewnianej powierzchni kuli, po czym odwracała ją w rękach, aż ułożyła się odpowiednio. Spojrzała na odległą białą kulę i wyobraziła sobie, jaką ścieżką powinna potoczyć się jej kula. Cofnęła się trzy kroki, zamachnęła się i posłała kulę do przodu. Ta wystrzeliła przed siebie, zwinnie omijając kulę panny Leighton, po czym skręciła w ostatnim momencie i wylądowała dokładnie przed białą.

– Doskonale! – zawołał Llandrindon, a gapie wiwatowali i klaskali.

Zerknęła z ukosa na Matthew Swifta. Przyglądał się jej z bladym uśmiechem, przenikliwie, jakby chciał dotrzeć wzrokiem do kości. Czas się zatrzymał niczym upięty diamentowymi spinkami. Rzadko się zdarzało, by mężczyzna patrzył na Daisy w ten sposób.

– Taki był pani zamysł? – odezwał się cicho. – Czy może tylko łut szczęścia?

– Taki był mój zamysł.

– Wątpliwe.

Zjeżyła się.

– Dlaczego?

– Żaden nowicjusz nie zaplanowałby i nie zdołałby wykonać takiego rzutu.

– Pana zdaniem kłamie? – Nie czekając na jego odpowiedź, zwróciła się do siostry, która obserwowała przebieg rozgrywki z krzesła. – Lillian, czy według twojej wiedzy grałam kiedykolwiek w kule?

– Na pewno nie – odparła Lillian z emfazą.

Daisy spojrzała na niego wyzywająco.

– Aby wykonać taki rzut – powiedział Swift – trzeba umieć obliczyć prędkość kuli, przewidywaną trajektorię lotu, a także punkt wytracania prędkości, w którym kula zmieni kierunek. Biorąc przy tym pod uwagę możliwość wystąpienia przeciwnego wiatru. Trzeba też doświadczenia, aby potem ten rzut wykonać.

– Pan tak właśnie gra? – zapytała śmiało. – Ja tylko wyobrażam sobie, jak kula powinna się potoczyć, a potem rzucam.

– Szczęście i intuicja? – Patrzył na nią wyniośle. – W ten sposób nie da się wygrać.

W odpowiedzi Daisy tylko się cofnęła i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Pańska kolej – powiedziała.

Schylił się, by sięgnąć po kulę. Zacisnął na niej palce, podszedł do linii rzutu i spojrzał na boisko. Mimo irytacji Daisy poczuła na jego widok motyle w brzuchu. Przedziwne doznanie; zastanawiała się, jak to możliwe, że tak reaguje na tego mężczyznę. Jego postać, sposób poruszania się napępniały ją zawstydzającym pragnieniem.

Swift zdecydowanie posłał kulę do przodu. Posłusznie potoczyła się po trawie, niemal doskonale naśladowując lot kuli Daisy, tyle że z lepiej obliczoną prędkością. Czysto zbiła kulę Daisy, posyłając ją poza boisko, po czym zajęła jej miejsce tuż przed białą.

– Stracił moją kulę do rowu! – zaprotestowała Daisy. – Czy to jest dozwolone?

– O tak – odparł lord Llandrindon. – Nieco bezwzględne, ale całkowicie dozwolone. W oficjalnej nomenklaturze pani kula jest teraz martwa.

– Moja kula martwa? – oburzyła się Daisy.

Swift odpowiedział na jej gniewny grymas wyzywającym spojrzeniem.

– Nigdy nie zadawaj przeciwnikowi drobnych ran, tylko poważne.

– Tylko pan może cytować Machiavellego podczas gry w kule na trawniku – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– Przepraszam – wtrącił się lord Llandrindon uprzejmie – ale teraz chyba moja kolej. – Gdy zauważył, że nikt nie zwraca na niego uwagi, wzruszył ramionami, po czym stanął na linii rzutu. Jego kula potoczyła się po trawie i zatrzymała tuż za białą.

– Ja zawsze gram, żeby wygrać – zwrócił się Swift do Daisy.

– Dobry Boże! Mówi pan tak, jak mój ojciec. Nie bierze pan pod uwagę, że niektórzy grają tylko dla zabawy? Po prostu chcą przyjemnie spędzić czas? Wszystko musi zostać sprowadzone do konfliktu na śmierć i życie?

– Jeśli nie gra się po to, by wygrać, gra staje się bezcelowa.

Zauważywszy, że Swift przestał zwracać na nią uwagę, Cassandra Leighton postanowiła interweniować.

– Teraz chyba mój rzut, panie Swift. Czy mógłby mi pan podać kulę?

Nawet na nią nie spojrzął, nie mogąc oderwać wzroku od drobnej, rozgniewanej twarzy Daisy.

– Proszę – powiedział szorstko, wciskając kulę w dłoń panny Leighton.

– Może mógłby pan doradzić mi... – kontynuowała panna Leighton, lecz urwała, gdy tylko Swift i Daisy podjęli na nowo sprzeczkę.

– Dobrze, panie Swift – oświadczyła Daisy chłodno. – Jeśli zwyczajna gra w kule pana nie cieszy, będzie pan miał swoją wojnę. Zagramy na punkty. – Nie była pewna, kto zrobił pierwszy krok, lecz nagle stanęli bardzo blisko siebie i pochylili ku sobie głowy.

– Nie zdoła mnie pani pokonać – mruknął cicho. – Jest pani nowicjuską, a do tego kobietą. To byłoby niesprawiedliwe, chyba że dałbym pani fory.

– Ma pan w drużynie pannę Leighton – szepnęła ostro. – Mnie takie fory wystarczą. A poza tym, czy sugeruje pan, że kobiety nie umieją grać w kule tak dobrze, jak mężczyźni?

– Nic nie sugeruję, ja to mówię wprost.

Oburzenie wypełniło Daisy ognistym pragnieniem wdeptania go w ziemię.

– Wojna – powtórzyła, przechodząc na swoją stronę trawnika.

Mecz ten przeszedł do historii jako najkrwawsza rozgrywka w dziejach Stony Cross. Gracze najpierw postanowili grać do trzydziestu, zwiększyli do pięćdziesięciu, potem Daisy straciła rachubę. Bili się o każdy centymetr ziemi, kłócili o każdą zasadę. Rozważali każdy ruch z taką drobiazgowością, jakby zależały od niego losy świata. A przede wszystkim raz po raz strącali swoje kule do rowu.

– Martwa kula! – zawołała Daisy po szczególnie udanym rzucie, który posłał kulę Swifta poza

boisko.

– Chyba należałoby pani przypomnieć, panno Bowman – odpowiedział – że celem tej gry wcale nie jest wygnanie mnie z boiska, lecz ustawienie własnej kuli jak najbliżej tej białej.

– To drugie jest cholernie mało prawdopodobne, jeśli pan cały czas posyła moje kule do rowu!

Panna Leighton aż pisnęła, zszokowana słownictwem Daisy. Nawet ona sama była zdziwiona swoim zachowaniem – przecież nigdy nie przeklinała. W tych okolicznościach nie potrafiła jednak zachować spokoju.

– Przestanę zbijać pani kule – zaproponował Swift – jeśli pani przestanie zbijać moje.

Rozważała jego propozycję pół sekundy. Niestety, zbyt dobrze się bawiła, posyłając jego kule do rowu.

– Za hinduskiego boga, panie Swift.

– Doskonale. – Podniósł poobijaną kulę, po czym posłał ją mocno przed siebie. Kula wbiła się w kulę Daisy z taką siłą, że aż w powietrzu rozległ się trzask.

Daisy otworzyła usta ze zdziwienia, gdy jej kula potoczyła się do rowu w dwóch kawałkach.

– Zepsuł ją pan! – Odwróciła się do niego z zaciśniętymi pięściami. – A to nawet nie była pańska kolej! Teraz miała grać panna Leighton, ty bezwzględny łotrze!

– Ależ nie – wtrąciła nerwowo panna Leighton. – Bardzo się cieszę, że pan Swift mnie wyręczył... Gra o wiele lepiej niż... – Umilkła, zrozumiałwszy, że nikt jej nie słucha.

– Pańska kolej – zwrócił się Swift do lorda Llandrindona, który wydawał się oszołomiony brutalnością ich rozgrywki.

– O nie! – Daisy wyrwała kulę z dłoni Llandrindona. – On jest zbyt wielkim dżentelmenem, żeby zbić pańską kulę. A ja nie.

– Nie – zgodził się Swift – na pewno nie jest pani dżentelmenem.

Podeszła energicznie do linii rzutu, cofnęła się i cisnęła kulą z całej siły. Ta potoczyła się po trawniku i zbiła kulę Swifta, która niepewnie poturlała się do rowu. Daisy posłała przeciwnikowi mściwe spojrzenie, a on z żartobliwym uśmiechem skinął głową, gratulując jej.

– Muszę powiedzieć – zauważył Llandrindon – że pani biegłość w tej grze zdumiewa, panno Bowman. Nigdy dotąd nie widziałem, by osoba początkująca tak dobrze sobie radziła. Jak to możliwe, że za każdym razem udaje się pani rzucić idealnie?

– Jeśli chęć jest wielka, trudności nie mają znaczenia. – Zauważyła, że Swift napiął policzki w uśmiechu, rozpoznając cytata z Machiavellego.

Gra trwała. I trwała. Popołudnie przeszło we wczesny wieczór, a Daisy w pewnej chwili uświadomiła sobie, że zniknęli gdzieś lord Llandrindon i panna Leighton, a większość gapiów się rozeszła. Lord Westcliff również dawał do zrozumienia, że chętnie wróciłby już do środka, ale Daisy i Swift raz po raz powoływali go na arbitra albo nakazywali mierzyć odległości, ponieważ oboje wierzyli tylko jego osądowi.

Minęła jedna godzina, potem druga. Gra okazała się zbyt absorbująca, by którekolwiek z nich zwracało uwagę na głód, pragnienie i zmęczenie. W pewnym momencie, choć Daisy nie była pewna, kiedy dokładnie, rywalizacja zamieniła się w niechętny podziw dla umiejętności tej drugiej strony. Gdy Swift chwalił jej szczególnie udany rzut lub gdy sama przyglądała się z podziwem jego „milczącym kalkulacjom”, gdy mrużył powieki i przechylał głowę na bok... wpadała w zachwyty. Niewiele było takich momentów, kiedy prawdziwe życie budziło w niej większe emocje niż jej fantazje, lecz ten właśnie do nich należał.

– Dzieci. – Słyszając sarkastyczny ton Westcliffa, oboje podnieśli głowy i spojrzeli na niego w osłupieniu. Hrabia wstał i przeciągnął się, by dać wytchnienie nieużywanym mięśniom. – Niestety, dla mnie to trwa już za długo. Oczywiście możecie dalej grać, ale ja już pójdę.

– Więc kto będzie rozstrzygał spory? – zaprotestowała Daisy.

– Biorąc pod uwagę, że co najmniej od pół godziny nikt nie liczy punktów – rzekł Westcliff sucho – nie ma to chyba większego znaczenia.

– Ależ liczymy punkty – oświadczyła Daisy, po czym zwróciła się do Swifta: – Jaki mamy wynik?

– Nie wiem.

Gdy spotkali się wzrokiem, Daisy prychnęła.

Oczy Swifta błyszczały rozbawieniem.

– Myślę, że pani wygrała.

– Och, proszę mnie nie traktować protekcyjnie. Pan prowadził. Umiem przegrywać. To część gry.

– Nie traktuję pani protekcyjnie. Gramy punkt za punkt od co najmniej – sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął zegarek – dwóch godzin.

– Co znaczy, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zdołał pan utrzymać początkową przewagę.

– Ale przecież zdobyła pani dodatkowe punkty po trzeciej rundzie...

– Och, na litość boską! – zawołała Lillian, stojąc przy linii. Wydawała się poruszona tym, że zdążyła wrócić do posiadłości i uciąć sobie drzemkę w czasie, gdy oni grali. – Sprzeczacie się przez całe popołudnie jak uparte osły, a teraz nie możecie dojść do porozumienia, kto wygrał. Trzeba wreszcie położyć temu kres, bo będziecie się kłócić do północy. Daisy, jesteś cała brudna, a twoje włosy wyglądają jak ptasie gniazdo. Chodź do domu i doprowadź się do porządku. I to już.

– Nie musisz krzyczeć – powiedziała Daisy spokojnie i podążyła za oddalającą się siostrą. Zerknąwszy przez ramię na Matthew Swifta, posłała mu spojrzenie przyjaźniejsze niż kiedykolwiek przedtem, po czym odwróciła się i przyspieszyła kroku.

Swift zaczął zbierać drewniane kule.

– Zostaw to – polecił mu Westcliff. – Służba się tym zajmie. Lepiej będzie, jeśli zaczniesz przygotowywać się do kolacji, która rozpocznie się za mniej więcej godzinę.

Matthew odłożył kule i podążył za Westcliffem. Odprowadzał wzrokiem drobną, wdzięczną postać Daisy, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

To pełne zachwyty spojrzenie nie umknęło uwagi Westcliffa.

– Masz zupełnie wyjątkowe podejście do zalotów – skomentował. – Nigdy bym nie pomyślał, że pokonanie Daisy w grze zdoła wzbudzić jej zainteresowanie, lecz wygląda na to, że ci się udało.

Matthew chwilę przyglądał się trawie pod swoimi stopami, starając się przybrać obojętny ton.

– Ja nie zalecam się do panny Bowman.

– W takim razie źle zrozumiałem wasze oddanie grze w kule.

Zerknął na hrabiego z wahaniem.

– Przyznaję, że ta dziewczyna mnie bawi. Co nie znaczy, że pragnę ją poślubić.

– Siostry Bowman są pod tym względem niebezpieczne. Gdy któraś z nich cię zainteresuje, możesz myśleć, że to jedna z najbardziej denerwujących istot, jakie kiedykolwiek stanęły na twojej drodze. Szybko jednak odkrywasz, że choć doprowadza cię do szału, nie możesz się już doczekać, kiedy znowu ją zobaczysz. To jak postęp nieuleczalnej choroby, która atakuje jeden organ po drugim. Budzi

się tęsknota. Inne kobiety zdają się blednąć w porównaniu z nią. Pragniesz jej tak bardzo, że boisz się, iż oszalejesz. Nie możesz przestać myśleć...

– Nie mam pojęcia, o co panu chodzi – przerwał mu Matthew, blady jak ściana. Nie zamierzał ulegać żadnej nieuleczalnej chorobie. Mężczyzna ma w życiu wybór. Nieważne, w co wierzy Westcliff, to tylko fizyczne pragnienie. Jest niewiarygodnie potężne, rozdziera wnętrzności, przyprawia o szaleństwo intensywnością... Na pewno jednak da się zwalczyć czystą siłą woli.

– Skoro tak mówisz – rzekł nieprzekonany Westcliff.

ROZDZIAŁ 6

Wpatrując się w lustro zawieszone nad komodą z wiśniowego drewna, Matthew ostrożnie wiązał zwinnymi pociągnięciami palców wykrochmalony, biały fular. Był głodny, lecz na myśl o zejściu do jadalni na długą oficjalną kolację ogarniał go niepokój. Czuł się tak, jakby szedł po wąskiej desce zawieszanej wysoko w powietrzu i jeden fałszywy krok mógł go strącić w przepaść.

Niepotrzebnie przyjął wyzwanie Daisy, niepotrzebnie został i grał w tę cholerną grę przez całe popołudnie.

Ale Daisy stanowiła uosobienie uroku, a gdy grali, jej uwaga skupiała się na nim całkowicie – nie zdołał oprzeć się takiej pokusie. Była najbardziej prowokującą, urzekającą kobietą, jaką znał. Błyskawice i tęcze ujęte w wygodne, poręczne opakowanie.

Cholera jasna, tak straszliwie pragnął wziąć ją do łóżka. Zdumiewało go, że Llandrindon i wszyscy inni mężczyźni potrafią normalnie funkcjonować w jej obecności.

Nadszedł czas, by przejąć kontrolę nad sytuacją. Zamierzał zrobić wszystko, by popchnąć ją ku Llandrindonowi. W porównaniu z innymi kawalerami szkocki lord stanowił prawdziwy rarytas. Będą wiedli razem spokojne, uporządkowane życie i choć Llandrindonowi zdarzy się zapewne od czasu do czasu zbłądzić, jak większości dżentelmenów, Daisy będzie zbyt zajęta rodziną i książkami, by to zauważyć. A nawet jeśli zauważy, nauczy się bagatelizować jego niedyskrecje i szukać ucieczki w marzeniach na jawie.

A Llandrindon nigdy zapewne nie zdoła w pełni docenić tego niewyobrażalnego daru, jakim będzie Daisy w jego życiu.

Matthew zszedł na dół i dołączył do eleganckiej grupy oczekującej na przejście do jadalni. Kobiety miały na sobie barwne suknie, haftowane, wyszywane perłami i obszyte koronką. Mężczyźni wybrali na tę okazję poważną czerń i nieskazitelną biel – monochromatyczność miała w założeniu służyć jako tło toaletom dam.

– Swift. – Thomas Bowman serdecznie powitał swojego ulubieńca. – Podejdz tutaj... Chciałbym, żebyś opowiedział tym jegomościom o ostatnich wynikach produkcji. – Zdaniem Bowmana każda pora była odpowiednia na rozmowy o interesach. Matthew dołączył do kilku dżentelmenów, którzy stali w kącie, i wyrecytował odpowiednie liczby niczym wyuczoną lekcję.

Przywoływanie z pamięci długich słupków było jedną z jego bardziej przydatnych umiejętności. Kochał liczby, ich wzory i tajemnice, sposób, w jaki złożony problem przekładał się na coś prostego. W matematyce zawsze istniało rozwiązanie, określona odpowiedź. Nie to, co w życiu.

Gdy mówił, kątem oka dojrzał Daisy rozmawiającą z Lillian w otoczeniu przyjaciółek i połowa jego mózgu nagle się wyłączyła.

Daisy miała na sobie suknię w odcieniu maślanej żółci, skrojoną tak, że opinała jej szczupłą talię, wypychając zarazem małe, śliczne półkule piersi ku górze w nisko wyciętym staniku z lśniącej, marszczonej satyny. Żółte satynowe wstążki przytrzymywały gorset. Z wysoko upiętych włosów

splywały na jej szyję i ramiona pojedyncze pasma. Wyglądała delikatnie i perfekcyjnie, jak jedna z tych misternych cukrowych ozdóbek na tacy z deserami, których nie wolno jeść.

Zapragnął zedrzeć z niej stanik, uwięzić ramiona w okowach satynowych wstążek. Pragnął przesunąć ustami po wrażliwej, bladej skórze, pieścić brodawki piersi, sprawić, by się wiła...

– Ale naprawdę uważa pan – rozległ się głos Mardlinga – że na rynku jest w ogóle miejsce na taką ekspansję? Bądź co bądź, mówimy o klasie niższej. Jej przedstawiciele znani są z tego, że niezależnie od narodowości nie kąpią się często.

Matthew z trudem skupił się na wypowiedzi wysokiego, zadbanego dżentelmena, o blond włosach, lśniących w świetle żyrandola. Zanim odpowiedział, uświadomił sobie, że w pytaniu nieznanego nie ma zamierzonej złośliwości. Członkowie kasty uprzywilejowanej często żywili nieuzasadnione uprzedzenia wobec biedoty, jeśli w ogóle zajmowali się myśleniem o niej.

– Tak się składa – powiedział spokojnie – że dostępne dane pokazują, iż gdy tylko mydło trafi do masowej produkcji, co obniży jego cenę, rynek będzie się powiększał o około dziesięć procent rocznie. Ludzie wszystkich klas chcą być czyści, panie Mardling. Przeszkodą jest to, że dobrej jakości mydło stanowi luksus i dlatego jest trudno dostępne.

– Masowa produkcja – zastanawiał się na głos Mardling, marszcząc brwi. – Jest w tym sformułowaniu coś, co budzi sprzeciw... Wygląda to na zachęcanie klas niższych do naśladowania lepszych od siebie.

Matthew objął wzrokiem grupę rozmówców i zauważył, że czubek głowy Bowmana czerwienieje – co nigdy nie zwiastowało nic dobrego – a Westcliff w milczeniu zaciska wargi i ma nieodgadniony wyraz oczu.

– I właśnie tak jest, panie Mardling – oświadczył Matthew uroczyście. – Masowa produkcja artykułów typu ubrania i mydło da biednym szansę żyć według takich samych standardów zdrowia i godności osobistej, według jakich my żyjemy.

– Ale jak wtedy odróżnimy jednych od drugich? – zaprotestował Mardling.

Matthew spojrzał na niego pytająco.

– Chyba nie rozumiem.

Do dyskusji włączył się Llandrindon.

– Mardling pyta chyba, jak odróżnimy prostą sklepową od damy, jeśli obie będą czyste i podobnie ubrane. A jeśli dżentelmen nie potrafi ocenić po wyglądzie, z kim ma do czynienia, jak w takiej sytuacji powinien traktować kobiety?

Oszołomiony snobistycznym tonem pytania Matthew chwilę namyślał się nad odpowiedzią.

– Moim zdaniem wszystkie kobiety należy traktować z szacunkiem.

– Dobrze powiedziane – wtrącił Westcliff szorstko, zanim Llandrindon otworzył usta, by zaprotestować.

Nikt nie chciał otwarcie sprzeciwić się hrabiemu, lecz Mardling postanowił kontynuować:

– Westcliff, naprawdę nie widzisz nic szkodliwego w zachęcaniu ubogich do aspirowania wyżej? W pozwalaniu, by udawali, że nie ma różnicy pomiędzy nimi a nami?

– Jedyne szkoda, jaką widzę – rzekł Westcliff cicho – to zniechęcanie ludzi, którzy pragną czegoś więcej, ze strachu, że utracimy naszą rzekomo uprzywilejowaną pozycję.

Te słowa sprawiły, że Matthew obdarzył hrabiego jeszcze większą sympatią.

Nadal zaprzątnięty przykładem z hipotetyczną sklepową, Llandrindon zwrócił się do Mardlinga:

– Nie obawiaj się, Mardling. Niezależnie od tego, jak kobieta jest ubrana, prawdziwy dżentelmen

zawsze zdoła określić jej pochodzenie na podstawie pewnych przesłanek. Dama ma miękki, modulowany głos, podczas gdy sklepowa posługuje się ostrym tonem i brzmi wulgarnie.

– Oczywiście. – Mardling odetchnął z ulgą. Udał, że przeszedł go lekki dreszcz, dodając: – Sklepowa odziana w jedwabie i mówiąca z londyńskim akcentem... to jak przesuwanie paznokciami po tablicy.

– Tak – Llandrindon się roześmiał. – Albo jak pospolita stokrotka¹ wciśnięta w bukiet róż.

Komentarz ten nie został oczywiście przemyślany. Nagle zapadła ponura cisza, gdy Llandrindon uświadomił sobie, że nieumyślnie obraził córkę Bowmana, a raczej jej imię.

– Stokrotka to wyjątkowo uniwersalny kwiat – odezwał się Matthew. – Jest urocza w swojej świeżości i prostocie. Moim zdaniem wyglądałaby doskonale w każdej aranżacji.

Panowie od razu chóralnie się zgodzili.

Lord Westcliff zerknął na Matthew z aprobatą.

Parę minut później, siadając przy stole, Matthew zobaczył, że – czy to przez przypadek, czy też może specjalnie – został posadzony po lewej stronie hrabiego. Taki układ wzbudził zdumienie wielu gości – nieczęsto honorowe miejsce przyznawano młodemu człowiekowi o przeciętnym rodowodzie.

Ukrywając zaskoczenie, usiadł na wyznaczonym miejscu i zauważył, że Thomas Bowman uśmiecha się do niego z ojcowską dumą... a Lillian dyskretnie zerka na męża z miną, która każdego innego mężczyznę przyprawiłaby o zawał serca.

Po kolacji część mężczyzn zażyczyła sobie porto i cygar na tylnym tarasie, część kobiet herbaty, inni udali się do salonu na gry i rozmowę.

Idąc na taras, Matthew poczuł, że ktoś klepie go w ramię. Odwrócił się i spojrzał prosto w figlarne oczy Cassandry Leighton – temperamentnej istoty, którą charakteryzowała przede wszystkim umiejętność przykuwania uwagi.

– Panie Swift, nalegam, by dołączył pan do nas w salonie. Nie pozwalam panu odmówić. Razem z lady Mirandą zaplanowałyśmy już pewne gry, które bez wątpienia uzna pan za intrygujące. – Bezcelnie puściła do niego oko. – Uknułyśmy coś specjalnego.

– Uknułyście – powtórzył Matthew ostrożnie.

– O tak. – Zachichotała. – Postanowiłyśmy, że tego wieczoru trochę nagrzeszemy.

Matthew nie przepadał za grami salonowymi, zakładały one bowiem pewną frywolność uczestników, co wcale go nie pociągało. Było wiadomo, że podczas zabaw towarzyskich brytyjskiej arystokracji fantami w grach bywały często potencjalnie skandaliczne zachowania. Gdyby kiedyś miał się w coś takiego wplątać, musiałby mieć ku temu bardzo dobry powód. Nie zamierzał paść ofiarą skandalu, grając w idiotyczną grę.

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, kątem oka dostrzegł... błysk zółci. Daisy do salonu prowadził lord Llandrindon.

Logiczna część mózgu Matthew wytknęła mu, że jeśli dziewczyna zamierza wdać się w skandaliczną sytuację z Llandrindonem, to tylko jej sprawa. Prymitywniejsza część zareagowała natomiast atakiem zaborczości, zmusiła do uczestniczenia w grze.

– Och, cudownie – zaszczebotała Cassandra Leighton, biorąc go pod ramię. – Będziemy się cudownie bawić.

Było to nowe i niemiłe odkrycie – że pierwotna potrzeba potrafi tak nagle przejąć kontrolę nad jego ciałem. Marszcząc brwi, pozwolił się prowadzić pannie Leighton, która nie przestawała wyrzucać z siebie potoku bezsensownych słów.

W salonie zebrała się grupa młodych mężczyzn i kobiet, rozmawiali i śmiali się. Powietrze aż gęstniało od napięcia. Elektryzująca atmosfera zepsucia podniecała, uczestnicy nie mogli się doczekać, kiedy wezmą udział w czymś nieprzyzwoitym.

Matthew stanął tuż za drzwiami i od razu odnalazł wzrokiem Daisy. Siedziała obok kominka, a Llandrindon opierał się ramieniem o jej krzesło.

– Najpierw zagramy w „zwierzęta” – oświadczyła lady Miranda. Musiała przerwać na chwilę, gdy rozległy się śmiechy. – Zasady są dość proste. Każda dama wybierze sobie partnera. Każdy dżentelmen otrzyma rolę zwierzęcia do odegrania: psa, świni, osła i tak dalej. Damy opuszczą pokój, zasłonią oczy, a gdy wrócą, podejmą wysiłek odnalezienia swoich partnerów. Panowie będą im pomagać, naśladując odpowiednie odgłosy zwierząt. Ostatnia dama, która odnajdzie partnera, będzie musiała dać fant.

Matthew przeklął w duchu. Nienawidził gier, które z uczestników robiły idiotów. Takich zabaw unikał jak ognia.

Spojrzał na Daisy i zauważył, że ona nie chichocze jak inne kobiety. Na jej twarzy malowało się zdecydowanie. Próbowwała wmieszać się w tłum, zachowywać się jak jej pustogłowe towarzyszki. Do ciężkiej cholery. Nic dziwnego, że wołała rolę paprotki, jeśli tego właśnie oczekiwano od kobiet szukających męża.

– Pan zostanie moim partnerem, panie Swift – zawołała panna Leighton.

– To zaszczyt – odparł uprzejmie, na co dziewczyna zachichotała, jakby powiedział coś szalenie zabawnego. Nigdy jeszcze nie spotkał kobiety, która by się śmiała prawie bez przerwy. Obawiał się wręcz, że dama nabawi się drgawek, jeśli nie przestanie.

Gdy podano mu kapelusz pełen papierowych losów, wyjął jeden i odczytał.

– Krowa – poinformował pannę Leighton ponuro, na co ta znów się roześmiała.

Czując się jak idiota, zrobił krok do tyłu, a panna Leighton wraz z towarzyszkami opuściła pokój.

Mężczyźni rozeszli się po kątach, rechotali na myśl o kobietach w opaskach, które będą na nich wpadać i obłapywać.

Wokół rozległy się wypraktykowane okrzyki.

– Piii!

– Miau!

– Kwa-kwa!

Wszyscy się śmiali. Gdy damy w opaskach na oczach wróciły do pokoju, zapanował chaos. Wyglądało to jak owładnięte wściekłą zoo. Damy rozbiegły się po pokoju, wpadając na wyjących, skrzeczących i zanoszących się śmiechem dżentelmenów.

Matthew modlił się do Boga, by Westcliff, Hunt ani Bowman nie weszli tu nagle i nie zobaczyli go w takiej kompromitującej sytuacji. Nie przeżyłby takiego upokorzenia.

Śmiertelny cios jego godności zadała Cassandra Leighton, która zapytała głośno:

– A gdzie jest pan Krowa?

Westchnął ciężko i zamuczał ponuro. Panna Leighton wybuchła donośnym śmiechem. Zbliżała się powoli, dotykając po drodze każdego mężczyzny. Z paru piersi wyrwało się kilka mimowolnych pisków i wrzasków, gdy torowała sobie drogę przez tłum.

– Och, panie Krowo – zawołała. – Musi mi pan pomóc!

Matthew wykrzywił twarz w gniewnym grymasie.

– Muu!

– Jeszcze raz.

Miała szczęście, że opaska na oczach chroniła ją przed jego morderczym spojrzeniem.

– Muu.

Ha, ha, ha! Idąc ku niemu, wyciągnęła przed siebie ramiona i przeżyła palce. Wreszcie go dotknęła, położyła dłonie powyżej jego bioder. Gdy zaczęła zsuwać je w dół, Matthew chwycił ją za nadgarstki i stanowczo podciągnął jej rękę w górę.

– Czy odnalazłam pana Krowę? – zapytała nieszczercze, przywierając do niego.

Odepchnął ją zdecydowanie.

– Tak.

– Hura! – zawołała, zdejmując opaskę.

Inne pary również się połączyły, hałasy stopniowo cichły. Po chwili rozlegał się już tylko jeden dźwięk... niezręczna próba naśladowania jakiegoś owada. Konika polnego? A może świerszcza?

Matthew wyciągnął szyję, by zobaczyć, kto wydaje z siebie te piski i kim jest jego nieszczęsna partnerka. Ktoś coś zawołał, ktoś wybuchnął śmiechem. Gdy tłum się rozstał, okazało się, że to Daisy Bowman zdejmuje opaskę, a lord Llandrindon wzrusza ze skrucą ramionami.

– Nie takie odgłosy wydają z siebie świerszcze. – Daisy zaczerwieniła się i roześmiała. – Brzmiało to tak, jakby pan chrząkał!

– Staralem się, jak mogłem. – Llandrindon rozłożył bezradnie ręce.

O Boże. Matthew zamknął oczy. Padło na Daisy.

Cassandra Leighton miała niezmiernie zadowoloną minę.

– Szkoda – powiedziała.

– Nie kłóćcie się – wtrąciła wesoło lady Miranda, stając pomiędzy Daisy a Llandrindonem. – Moja droga, musisz dać fant!

Uśmiech Daisy zgasł.

– Jaki fant?

– Zagramy w „podpieranie ścian” – wyjaśniła lady Miranda. – Musisz stanąć pod ścianą i wylosować jednego z dżentelmenów z kapelusza. Jeśli dżentelmen nie zgodzi się ciebie pocałować, będziesz stała pod ścianą i wyciągała nazwiska, dopóki któryś z nich się nie zdecyduje.

Daisy uśmiechnęła się dzielnie, choć zbladła jak prześcieradło, tylko jej policzki pokrył ciemny rumieniec.

Do diabła, pomyślał Matthew gniewnie.

Był to poważny dylemat. Incydent mógł wywołać plotki, których konsekwencją stałby się skandal. Nie mógł na to pozwolić. Przez wzgląd na jej rodzinę i nią samą. A on... Cóż, nie zamierzał teraz o tym myśleć.

Automatycznie zaczął torować sobie do niej drogę, lecz panna Leighton chwyciła go za ramię. Długie paznokcie wbiły się w materiał jego rękawa.

– Proszę się nie wtrącać – ostrzegła go. – Każdy, kto gra, musi pogodzić się z porażką! – Uśmiechała się, lecz oczy miały twardy wyraz, który nie spodobał się Matthew. Zamierzała rozkoszować się każdą sekundą upadku Daisy.

Kobiety to niebezpieczne stworzenia.

Rozejrzał się po pokoju i dostrzegł zniecierpliwienie na twarzach mężczyzn. Żaden z nich nie zamierzał zrezygnować z okazji, by pocałować Daisy Bowman. Matthew zapragnął porozbijać im łby i siłą wyciągnąć stąd Daisy. Zamiast tego mógł tylko patrzeć, jak podano jej kapelusz, do którego

włożyła drżące palce.

Wyjęła arkusik papieru, odczytała go cicho i zmarszczyła brwi. W salonie zapadła cisza, kilku panów wstrzymało oddech z nadzieją... I nagle Daisy wypowiedziała nazwisko, nie podnosząc oczu.

– Pan Swift. – Wrzuciła arkusz do kapelusza, zanim ktokolwiek zdołał potwierdzić wylosowaną tożsamość.

Oddech uwiązał Matthew w gardle. Nie był pewien, czy sytuacja właśnie znacząco się poprawiła, czy też dramatycznie pogorszyła.

– To niemożliwe – syknęła panna Leighton. – To nie mógł być pan.

Zerknął na nią nieobecny wzrokiem.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie wrzuciłam pańskiego nazwiska do kapelusza!

Przybrał minę nieodgadnioną.

– Ktoś to, jak widać, zrobił – odparł, po czym wyrwał ramię z jej uścisku.

W pokoju zapadła cisza, wszyscy byli podekscytowani, gdy Matthew szedł ku Daisy, a potem kilka osób wybuchnęło śmiechem. Daisy z podziwu godną konsekwencją panowała nad swoją miną, tylko jej policzki pociemniały. Ciało miała napięte jak cięciwa łuku. Zmusiła się do beztroskiego uśmiechu. Matthew zauważył gwałtowne pulsowanie u nasady jej szyi. Zaprzagnął przycisnąć tam usta i musnąć językiem.

Stając przed nią, spojrzął w oczy, próbując odczytać jej myśli.

Kto miał przewagę w tej sytuacji?

Pozornie on... choć to Daisy wywołała jego nazwisko.

Wybrała go. Dlaczego?

– Słyszałam pana podczas gry – powiedziała tak cicho, by nikt więcej ich nie usłyszał. – Brzmiał pan jak krowa mająca problemy z trawieniem.

– Zważywszy na rezultaty, moja krowa okazała się o wiele lepsza niż świerszcz Llandrindona – zauważył.

– On wcale nie brzmiał jak świerszcz. Brzmiał tak, jakby pozbywał się flegmy z gardła.

Matthew z wysiłkiem stłumił śmiech. Daisy była taka poirytowana i taka przy tym urocza, że musiał się z całych sił powstrzymać, by nie porwać jej w ramiona. Zamiast tego zaproponował:

– Może miejmy to już za sobą, dobrze?

Żałował, że Daisy ma taką skłonność do rumieńców. Alabastrowa cera sprawiała, że jej policzki wyglądały jak czerwone maki.

Gapie wstrzymali oddech, gdy podszedł bliżej, aż ich ciała niemal się zetknęły. Daisy odchyliła głowę, zamknęła oczy i lekko zacisnęła wargi. Matthew ujął jej dłoń, uniósł do ust i wycisnął skromny pocałunek na czubkach jej palców.

Szeroko otworzyła oczy. Zdębiała.

Uczestnicy gry śmiali się i żartowali.

Po wymienieniu z dżentelmenami paru dobrodusznym kpin Matthew zwrócił się do Daisy uprzejmym, lecz stanowczym tonem:

– Wspominała pani wcześniej, panno Bowman, że chciała o tej porze zajrzeć do siostry. Czy mogę panią doprowadzić?

– Nie możecie wyjść! – zawołała Cassandra Leighton przez cały pokój. – Dopiero zaczynamy!

– Nie, dziękuję – odparła Daisy. – Jestem przekonana, że moja siostra może jeszcze chwilę

zaczekać, gdy ja będę się bawić.

Posłał jej surowe, przeszywające spojrzenie. Nagła zmiana na jej twarzy pokazała mu, że zrozumiała aluzję.

Domagał się spłaty długu, który zaciągnęła, gdy pomógł jej uratować gęś.

Natychmiast opuść ze mną ten pokój, nakazywał jej w milczeniu. Żadnych kłótni.

Wiedział, że Daisy gorąco pragnie mu odmówić, lecz honor jej na to nie pozwolił. Dług to dług.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Z drugiej strony... – Niemal dławiła się słowami. – Faktycznie obiecałam siostrze, że wypiję z nią herbatę.

Podał jej ramię.

– Jestem do usług, panno Bowman.

Rozległy się słabe protesty, lecz zanim przekroczyli próg, młodzież pochłonęło już organizowanie następnej gry. Bóg jeden wie, jakie skandale mogły się wykluc w tym pomieszczeniu. Matthew nie dbał o to jednak, jeśli tylko mógł ocalić przed nimi siebie i Daisy.

Wyrwała mu się, gdy tylko wyszli na korytarz. Przeszli jeszcze parę metrów do otwartej biblioteki. Widząc, że pokój jest pusty, wmaszerowała do niego bez słowa.

Wszedł za nią i zamknął drzwi, by mieli nieco prywatności. Nie było to stosowne zachowanie, lecz wrzeszczenie na siebie na korytarzu również nie nosiło znamion uprzejmości.

– Dlaczego pan to zrobił? – zapytała, odwracając się do niego od razu.

– Dlaczego nie pozwoliłem pani grać dalej? – Niewzruszony Matthew nadał swojemu głosowi ostrzejszy ton. – Dobrze pani wie, że nie powinno pani tam być.

Była wściekła, z jej oczu sypały się iskry.

– A gdzie powinnam być, panie Swift? Sama z książką w bibliotece?

– Lepsze to niż skandal.

– Może dla pana. Ja byłam dokładnie tam, gdzie moje miejsce, i robiłam dokładnie to, co wszyscy inni, dopóki pan wszystkiego nie popsuł!

– Ja? – Nie mógł uwierzyć własnym uszom. – Ja wszystko popsułem?

– Tak.

– Jak?

Spojrzała na niego oskarżycielsko.

– Nie pocałował mnie pan.

– Ja... – Zbity z tropu, wpatrywał się w nią oszołomiony. – Pocałowałem.

– W rękę – mruknęła pogardliwie – a to absolutnie nic nie znaczy.

Sam nie był pewien, jakim cudem przebył w tym tempie drogę od uzasadnionego poczucia wyższości do urazy.

– Powinna być pani wdzięczna.

– Za co?

– To chyba oczywiste! Ocaliłem pani reputację.

– Gdyby mnie pan pocałował, to tylko poprawiłoby moją reputację. Pan natomiast publicznie mną wzgardził, teraz Llandrindon, Mardling i cała reszta uznają, że coś jest ze mną nie tak.

– Nie wzgardziłem panią.

– Właśnie tak to wyglądało, ty draniu!

– Nie jestem draniem. Byłbym draniem, gdybym pocałował panią przy świadkach. – Urwał, by

dodać po chwili z oburzeniem: – A poza tym wszystko z panią w porządku. Dlaczego pani tak mówi?

– Jestem paprotką. Nikt nie chce mnie całować.

To przelało czarę. Daisy Bowman wściekała się na niego, ponieważ nie zrobił tego, za czym tęskniła i czego pragnęła przez prawie całe dorosłe życie. Zachował się honorowo, do diabła, a ona, zamiast odczuwać wdzięczność, była na niego zła.

– Jestem aż tak odstręczająca? – perorowała Daisy. – To naprawdę byłoby takie okropne?

Pragnął jej od lat. Tysiące razy przypominał sobie wszystkie powody, dlaczego nie może jej mieć. Było to jednak o wiele łatwiejsze, gdy wierzył, że Daisy nim pogardza, że nie ma dla niego absolutnie żadnej nadziei. Natomiast szansa, że jej uczucia się zmieniły, że ona również może go pragnąć, napełniała go przyprawiającym o zawrót głowy uniesieniem.

Jeszcze chwila i całkiem straci nad sobą panowanie.

– Bo nie wiem, jak robić to wszystko, co podoba się mężczyznom – wyrzucała z siebie gniewnie Daisy. – A gdy już nadarzyła się okazja, by zdobyć odrobinę doświadczenia, pan... – Urwała i zmarszczyła brwi na widok jego miny. – Czemu pan tak na mnie patrzy?

– Jak?

– Jakby coś pana bolało.

Ból. Tak. Ten rodzaj bólu, który odczuwa mężczyzna pragnący jednej kobiety od wielu lat, gdy już znajdzie się sam na sam z tą kobietą i musi znosić jej narzekania na to, że jej nie pocałował, podczas gdy wszystko, czego w życiu pragnął, to zerwać z niej ubranie i wziąć ją natychmiast na podłódze.

Chciała nowych doświadczeń? Był gotów je zapewnić. Ciało stwardniało tak nieznośnie, że krzywił się, gdy materiał spodni ocierał się o nie. Próbując zachować resztki kontroli, skupił się na oddychaniu. Oddychaj. Odczuwał jednak tylko coraz większe podniecenie, aż oczy zasły mu czerwoną mgłą.

Nie czuł tego, że po nią sięga, lecz nagle położył dłonie tam, gdzie na jej ramionach żółta satyna ogrzała się od skóry. Była lekka i zwinna niczym kot... Z łatwością mógłby ją podnieść, przycisnąć do ściany...

Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Co pan wyprawia?

– Żądam odpowiedzi na jedno pytanie – zdołał wykrztusić. – Dlaczego wywołała pani właśnie mnie?

Na jej twarzy odmalowała się burza emocji... zaskoczenie, poczucie winy, wstyd. Każdy centymetr jej obnażonej skóry powlókł się różem.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Pańskie nazwisko wylosowałam z kapelusza. Nie miałam wyboru...

– Kłamiesz – przerwał jej szorstko. Jego serce stanęło, gdy odmówiła odpowiedzi. Nie zamierzała zaprzeczać. Róż na jej policzkach przeszedł w szkarłat. – Mojego nazwiska nie było na kartce – mówił z trudem. – Ale i tak je wypowiedziałaś. Dlaczego?

Oboje wiedzieli, że może istnieć tylko jeden powód. Na chwilę zamknął oczy. Krew pulsowała w jego żyłach, odczuwał pieczenie w całym ciele.

Usłyszał pełen wahania głos Daisy.

– Chciałam wiedzieć, co ty... jak ty... Chciałam...

Pokusa okazała się nie do odparcia. Próbował zmusić się do tego, by puścić Daisy, lecz jego dłonie odmówiły posłuszeństwa po zetknięciu się z subtelnymi krzywiznami ukrytymi pod żółtą satyną. Za dobrze się czuł, trzymając ją w ramionach. Utkwił wzrok w jej cudownych ustach, w delikatnym

i rozkosznym zagłębieniu na środku dolnej wargi. Jeden pocałunek, pomyślał rozpaczliwie. Tylko tyle. Gdyby jednak zaczął... nie był pewien, czy zdołałby przestać.

– Daisy... – Na próżno szukał słów, którymi mógłby rozładować sytuację. – Powiem twojemu ojcu... przy pierwszej sposobności... że nigdy nie będę mógł cię poślubić.

Nie patrzyła na niego.

– Dlaczego od razu mu tego nie powiedziałaś?

Ponieważ pragnął, by go zauważyła.

Pragnął chociaż chwilę rozkoszować się myślą, że to, o czym nigdy nie ośmielał się marzyć, znajduje się w jego zasięgu.

– Chciałem zrobić ci na złość.

– No to ci się udało!

– Ale nigdy nie brałem tego pod uwagę. Nie mogłbym cię poślubić.

– Ponieważ jestem paprotką – szepnęła smutno.

– Nie. To nie to...

– Jestem odstręczająca.

– Daisy, czy mogłabyś przestać...

– Niewarta nawet jednego pocałunku.

– Dobrze więc – syknął, tracąc nad sobą kontrolę. – Wygrałaś, do diabła. Pocałuję cię.

– Dlaczego?

– Bo jeśli tego nie zrobię, nigdy nie przestaniesz narzekać.

– Teraz już za późno! Trzeba mnie było pocałować w salonie, ale tego nie zrobiłaś, więc pozbawiłaś mnie jakiegokolwiek szansy, by pocałował mnie ktoś inny. Nie zgodzę się teraz na jakąś marną nagrodę pocieszenia.

– Marną?

To był błąd. Uświadomiła sobie to w chwili, w której wypowiedziała te słowa.

Właśnie przypieczętowała swój los.

– Chciałam powiedzieć: wymuszoną – szepnęła bez tchu, próbując się wyrwać z jego objęć. – Jasne, że nie chcesz mnie pocałować, więc...

– Powiedziałaś: marną. – Przycisnął ją do swej piersi. – A to znaczy, że teraz muszę ci coś udowodnić.

– Nie, wcale nie musisz – odparła szybko. – Naprawdę. Nie... – Pisnęła cicho, gdy położył dłoń na jej karku, a zaraz potem oniemiała, gdy uniósł jej twarz.

¹ Stokrotka – ang. *daisy*, nawiązanie do imienia panny Bowman (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 7

Matthew pojął, że to błąd, gdy tylko ich wargi się zetknęły. Nic bowiem nie mogło równać się perfekcji Daisy w jego ramionach. Wiedział, że nigdy w życiu nie zazna już nic takiego. I na litość boską, nie dbał o to.

Usta miała miękkie i gorące jak promienie słońca, jak jasny blask ognia na kominku. Pisnęła, gdy dotknął jej dolnej wargi koniuszkiem języka. Położyła mu dłonie na ramionach, a potem objęła za kark i wsunęła palce w jego włosy, by nie mógł się odsunąć. O tym jednak nie mogło być mowy. Nic już nie zdołałoby go powstrzymać.

Drżał, wodząc palcami po nieskazitelnej linii jej szczęki, delikatnie uniósł podbródek. Smak ust, słodki i ulotny, wzmógł w nim żądzę; czuł, że lada chwila straci nad sobą kontrolę. Badał wilgotny jedwab ust coraz głębiej, chłonał gorący oddech, a ona dawała mu przyzwolenie na więcej. Otoczył Daisy muskularnym ramieniem, pragnął, by poczuła jego męską siłę, i stanął tak, że znalazła się pomiędzy jego potężnymi udami. Była spętana koronkami i gorsetem, co doprowadzało go do szaleństwa. Ogarnięty dziką namiętnością ledwie się powstrzymał, by nie rozerwać tego pancerza i pieścić uwolnione jędrne ciało.

Zamiast tego wsunął palce w misternie upięte włosy dziewczyny i lekko odchylił jej głowę, odsłaniając szyję. Odnalazł puls i przesunął wargami wzdłuż tajemniczego splotu nerwów pod skórą. Oddech Daisy przyspieszył. Gdy dotarł do wrażliwego miejsca, poczuł na ustach wibrację jej wstrzymywanego jęku.

Tak właśnie byłoby, gdybym się z nią kochał, myślał w oszołomieniu... Drżałaby słodko, gdybym w nią wchodził, oddychałaby urywanie, z jękiem. Jej skóra – ciepła, delikatna, lekko słona – pachniała herbatą. Znów całował rozkosznie miękkie wargi, rozwarł je i zanurzył się w mokrym jedwabiu, w żarze i intymnym smaku, który odurzał.

Powinna z nim walczyć, lecz natychmiast się poddała, podbiła go swoją uległością, a on zapomniał o ograniczeniach. Zniewalał jej usta zmysłowymi pocałunkami, rytmicznie się o nią ocierając. Rozchylił jej nogi przez materiał sukni i wsunął pomiędzy nie udo. Daisy dygotała w niewinnym pożądaniu, jej twarz przybrała odcień jesiennych maków. Gdyby rozumiała, czego on pragnie, nie tylko by się zaczerwieniła, lecz pewnie by zemdląła.

Przycisnął brodę do jej skroni.

– Myślę – szepnął – że to wyjaśnia kwestię, czy moim zdaniem jesteś godna pożądania.

Daisy odnalazła w sobie dość siły, by wstać i odwrócić od niego twarz. Wpatrywała się półprzytomnie w rzędy oprawionych w skórę książek. Małe dłonie zacisnęła na mahoniowej półce, próbując uspokoić oddech.

Matthew stanął za nią i nakrył jej dłonie swoimi. Stężała, gdy musnął wargami jej ucho.

– Nie – powiedziała ochryple, wyprężając się.

Nie potrafił się opanować. Podążając za ruchem jej głowy, dotknął nosem krzywizny karku.

Powiódł palcami po odsłoniętej skórze nad stanikiem, tuż nad piersiami. Daisy podniosła rękę i mocniej przycisnęła jego palce do swoich piersi, jakby uważała, że muszą połączyć siły, jeśli chcą uspokoić jakoś jej lekkomyślne serce.

Matthew walczył z obezwładniającym pożądaniem, chciał porwać ją w ramiona i zanieść na pobliską kanapę. Pragnął się z nią kochać, zatonać w niej, by wszystkie gorzkie wspomnienia rozpuściły się w jej słodyczy. Szansa na to została jednak zniweczona przed laty, zanim się poznali.

Nie miał Daisy nic do zaoferowania. Jego życie, nazwisko, tożsamość... Wszystko to było iluzją. Nie знаła jego prawdziwego ja. Ale mogła lada chwila poznać.

Nagle uświadomił sobie, że zaciska dłoń na jej spódnicy, jakby chciał ją zedrzeć. Satyna wypływała błyszczącymi fałdami spomiędzy jego palców. Pomyślał o ciele ukrytym pod fatałaszkami i koronkami, o bezbożnej przyjemności, którą by poczuł, rozbierając Daisy. Gdyby mógł wyrysować mapę jej ciała ustami i opuszkami palców, by nauczyć się każdej wypukłości i zagłębienia, każdego sekretne miejsce.

Spojrzał na swoją dłoń, jakby należała do kogoś innego, po czym powoli rozprostował palce jeden po drugim, aż żółta satyna spłynęła na ziemię. Odwrócił dziewczynę twarzą do siebie i utkwiał wzrok w brązowych głębinach jej oczu.

– Matthew.

Po raz pierwszy wypowiedziała głośno jego imię. Z trudem ukrył swoją gwałtowną reakcję.

– Tak?

– Mówiłeś wcześniej... Nie powiedziałaś, że nigdy nie zechcesz mnie poślubić, tylko że nie będziesz mógł. Dlaczego?

– Jako że to się nigdy nie wydarzy. Powody są nieistotne.

Zmarszczyła brwi i zacisnęła wargi w sposób, który znów sprowokował go do myślenia o pocałunkach.

Odsunął się, by ją uwolnić.

Posłuszna temu niememu sygnałowi zaczęła się obok niego przeciskać.

Gdy jednak zetknęli się ramionami, chwycił ją za nadgarstek i znów trzymał w objęciach. Nie zdołał się opanować i całował, jakby do niego należała, jakby już był w niej.

To właśnie do ciebie czuję, wyznawał jej gwałtownymi, zachłannymi pocałunkami. Tego właśnie pragnę. Poczuł napięcie w jej ciele, wiedział, że jest podniecona i mogłaby zaznać niewyobrażalnej rozkoszy, gdyby tylko sięgnął pod jej spódnicę i...

Nie, napomniał siebie twardo. Już posunął się za daleko. Uświadomiwszy sobie, że całkiem stracił kontrolę, oderwał usta od ust Daisy, jęknął cicho i odepchnął ją od siebie.

Od razu uciekła z biblioteki. Brzegiem żółtej sukni zahaczyła jeszcze o drzwi, po czym zniknęła jak ostatni promień słońca za horyzontem.

A Matthew zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek zdoła traktować ją normalnie.

Lokalna tradycja nakładała na panią posiadłości określone obowiązki wobec najemców i miejscowych wieśniaków. Do obowiązków tych należało niesienie pomocy, udzielanie porad i roznoszenie darów, takich jak jedzenie i ubrania najbardziej potrzebującym. Lillian chętnie wywiązywała się z tych zadań aż do teraz, lecz jej obecny stan to uniemożliwiał.

Nie było sensu prosić Mercedes o to, by ją zastąpiła – pani Bowman była zbyt oschła i niecierpliwa, by się tego podjąć. Nie lubiła przebywać w towarzystwie chorych. W osobach

starszych wzbudzała niepokój, a coś w jej głosie sprawiało, że wszystkie dzieci od razu wybuchały płaczem.

Jedynym logicznym wyborem okazała się więc Daisy, która nie miała nic przeciwko wyprawie do wioski na cały dzień. Lubiła powozić wózkiem ciągniętym przez kucyki, dostarczać przesyłki i słoiki, czytać tym, którym wzrok się pogorszył, i zbierać nowiny od mieszkańców wioski. Podobał się jej też nieformalny charakter tych wizyt – nie musiała się modnie ubierać ani dbać o etykietę.

Istniał też inny powód, że Daisy ucieszyła perspektywa podróży do wioski. Miała zajęcie, mogła oddalić się od posiadłości i skupić myśli na czymś innym niż Matthew Swift.

Upłynęły trzy dni od tej strasznej gry salonowej i jej konsekwencji – to znaczy całowania się do utraty tchu z Matthew, który teraz zachowywał się wobec niej, jakby nic się nie wydarzyło. Chłodny i szarmancki jak zwykle.

Była gotowa uwierzyć, że to tylko sen, tyle że ilekroć znalazła się blisko Swifta, jej zakończenia nerwowe iskrzyły, a żołądek wykonywał salta jak pijana jaskółka.

Pragnęła z kimś o tym porozmawiać, lecz po pierwsze, spaliłaby się ze wstydu, a po drugie, odczułaby jako zdradę, tyle że nie potrafiła określić wobec kogo. Wiedziała tylko, że wszystko się popsuło. Nie mogła spać, była rozkojarzona i niezdarna.

Myśląc, że to początki choroby, udała się po poradę do gospodyni. Opisała jej swoje objawy i została uraczona dużą łyżką paskudnego oleju rycynowego. W niczym to nie pomogło. Co gorsza, nie potrafiła też skupić się na czytaniu. Wracała do tej samej strony raz za razem, nic nie wzbudzało jej zainteresowania.

Nie miała pojęcia, jak się z tego wyleczyć. Uznała więc, że dobrze zrobi, jeśli przestanie myśleć tylko o sobie i przysłuży się innym.

Późnym rankiem wsiadła do wozu, zaprzęgnięto do niego krępego brązowego kuca o imieniu Hubert. Wóz był wyładowany słojami z jedzeniem, belami flaneli, blokami sera, kawałkami baraniny, bekonem, herbatą i butelkami porto.

Wizyty przebiegały w przyjemnej atmosferze, mieszkańcy wioski cieszyli się na widok zawsze uśmiechniętej Daisy. Niektórzy zabawiali ją opisami wizyt, jakie składała im w przeszłości matka lorda Westcliffa.

Hrabina wdowa rozdawała prezenty z niechęcią i za każdym razem oczekiwała wielkiego dowodu wdzięczności. Jeśli kobiety nie dygały dostatecznie nisko, pytała je kwaśno, czy mają sztywne kolana. Oczekiwała też, by konsultowano z nią imiona nowo narodzonych dzieci, mówiła dużo o religii i higienie. Co jeszcze bardziej irytujące, przywoziła jedzenie wymieszane w nieapetyczny sposób – mięsa z warzywami i słodyczami upchnięte w tej samej puszcze.

– Mój Boże! – zawołała Daisy, kładąc na stole słoiki i bele materiałów. – Stara wiedźma! Zupełnie jak w bajce... – Po tych słowach uraczyła dzieci opisem burzliwych przygód Jasia i Małgosi. Dzieci chichotały i piszczały pod stołem, wychodząc spod niego tylko po to, by zerknąć na nią z zachwytem.

Do końca dnia wypełniła cały notes zapiskami. Czy to możliwe, by specjalista zbadał słabnący wzrok starej pani Hearnley i czy Bluntowie mogą otrzymać kolejną butelkę toniku gospodyni na problemy żołądkowe pana Blunta?

Obiecawszy, że przekaże wszystkie pytania lordowi i lady Westcliff, Daisy wsiadła do pustego wozu i zawróciła w kierunku Stony Cross Park.

Zapadał zmierzch, wysokie dęby i kasztany rzucały długie cienie na niewybrukowaną drogę z wioski do posiadłości. Tę część Anglii wciąż porastały gęste lasy, których nie naruszono jeszcze,

by nasycić zapotrzebowanie stoczni i fabryk budowanych w wielkich miastach. Tu lasy wciąż wydawały się nietknięte i jak nie z tego świata, a prowadzące przez nie trakty obfitowały w wyboje ukryte pod gałęziami pełnymi liści. W cieniu drzew wszystko emanowało blaskiem tajemnicy, jakby wciąż mieszkali tu wartownicy z innych wymiarów, druidzi, wróżki i jednorożce. Nad polaną przeleciała brązowa sowa, niemal niedostrzegalna na tle ciemniejącego nieba.

Wokół panowała cisza zakłócana jedynie terkotem kół wozu i stukotem podkutych kopyt Huberta na kamieniach. Daisy pewniej ujęła lejce, gdy kuc nieco przyspieszył. Wydawał się podenerwowany, rzucał głową na boki.

– Spokojnie, koniku – uspokajała go, próbując zmusić, by zwolnił, gdy wóz podskakiwał na wybojach. – Nie lubisz lasu, tak? Nie martw się, zaraz wyjedziemy na polanę.

Mimo że roślinność się przerzedziła, a listowie nad nimi zniknęło, kuc nie przestawał protestować. Daisy wyjechała na drogę otoczoną z jednej strony lasem, a z drugiej doliną.

– Widzisz, nerwusku – powiedziała wesoło. – Nie trzeba było się martwić.

Jak się okazało, wypowiedziała te słowa w złym momencie.

Usłyszała dobiegające z lasu ciężkie kroki, jakby gałązki trzaskały pod ciężarem kopyt. Hubert zarżał nerwowo i przechylił głowę w stronę, skąd dobiegał hałas. Głośne zwierzęce chrząkanie sprawiło, że włoski na karku Daisy stanęły dęba.

Dobry Boże, co to takiego?

Nagle spomiędzy drzew wypadło ogromne, masywne zwierzę i skierowało się prosto na wóz.

Daisy zdążyła tylko chwycić lejce, gdy oszalały kuc ruszył z kopyta, a wóz potoczył się po kamieniach, podskakując jak dziecięca zabawka.

Starła się utrzymać na ławce, lecz gdy wóz wpadł w głęboką koleinę, wypadła z niego. Hubert popędził dalej, a ona wylądowała na ubitej ziemi.

Uderzyła o nią tak mocno, że nie mogła oddychać, zaczęła się krztusić i sapać. Odniosła wrażenie, że potężne zwierzę, ten potwór, pędzi na nią, lecz nagle rozległ się strzał, aż zadzwoniło jej w uszach.

Zwierzę zaryczało przeraźliwie... po czym zapadła cisza.

Próbowała usiąść, ale upadła na brzuch, czując ucisk w płucach, jakby ktoś zaciskał na żebrach imadło. Miała mdłości, lecz na myśl, że wymioty spowodowałyby jeszcze większy ból, zdołała utrzymać treść w żołądku.

Po chwili ziemia pod jej policzkiem zawibrowała od tętentu kopyt. Daisy z trudem zaczerpnęła powietrza, odepchnęła się od ziemi łokciami i uniosła brodę.

Trzej jeźdźcy – nie, czterej – galopowali w jej stronę, wzbijając chmurę kurzu. Jeden z nich zeskoczył z konia jeszcze w galopie i popędził do niej.

Zamrugła, oszołomiona, gdy mężczyzna opadł na kolana obok niej i porwał ją w ramiona. Jak przez mgłę dostrzegła pociemniałą twarz Matthew Swifta.

– Daisy. – Nigdy jeszcze nie słyszała tej nuty w jego głosie, szorstkim i nagłym. Podtrzymując ją jedną ręką, drugą przesunął po ciele, szukając urazów. – Jesteś ranna?

Próbowała mu wytłumaczyć, że tylko ją zatkało po upadku, a on chyba zrozumiał, choć wydawała jedynie gardłowe jęki.

– Już dobrze – powiedział. – Nie próbuj mówić. Oddychaj powoli. – Gdy poczuł, że się porusza, wygodniej ułożył ją sobie w ramionach. – Oprzyj się na mnie. – Przesunął dłońią po jej włosach, odsuwając kosmyki z twarzy. Poczowała dreszcz, gdy przytulił ją mocniej. – Spokojnie, kochanie.

Spokojnie. Już jesteś bezpieczna.

Zamknęła oczy. Matthew Swift szeptał do niej czule, trzymając w twardych, silnych ramionach, a jej kości zdawały się rozpląwać jak karmelizowany cukier.

Lata potyczek z rodzeństwem nauczyły Daisy szybko dochodzić do siebie po upadku. W każdych innych okolicznościach dawno już wstałaby i otrzepała się z ziemi. Teraz jednak każda zachwycona komórka jej ciała nakazywała rozkoszować się tą chwilą jak najdłużej.

Matthew pogłaskał ją delikatnie po policzku.

– Spójrz na mnie, kochanie. Powiedz, gdzie cię boli.

Podniosła powieki. Pochylił się nad nią. Gdy spojrzała w jego niezwykle niebieskie oczy, poczuła się tak, jakby tonęła w warstwach koloru.

– Masz ładne zęby – powiedziała sennie – ale wiesz, oczy masz chyba jeszcze ładniejsze...

Zmarszczył brwi i musnął kciukiem wypukłość jej policzka. Pieszczota zaróżowiła skórę.

– Możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz?

Zamrugła.

– Zapomniałeś?

– Nie, chcę się przekonać, czy ty nie zapomniałaś.

– Nie jestem taka głupia, by zapomnieć, jak się nazywam. Jestem Daisy Bowman.

– Kiedy masz urodziny?

Nie zdołała powstrzymać krzywego uśmiechu.

– Przecież mogłabym ci podać dowolną datę, a ty byś o tym nie wiedział.

– Data urodzenia – powtórzył.

– Piąty marca.

Uśmiechnął się kpiąco.

– Bez żartów, chochliku.

– No dobrze. Dwunasty września. Skąd wiesz, kiedy mam urodziny?

Zamiast odpowiedzieć, podniósł wzrok i zwrócił się do swoich towarzyszy, którzy zebrali się wokół nich.

– Żrenice ma takie same. Jest przytomna. Chyba nic nie złamała.

– Dzięki Bogu – rozległ się głos Westcliffa.

Spoglądając ponad szerokimi barkami Matthew, Daisy zauważyła swojego szwagra. Byli tam też pan Mardling i lord Llandrindon, którzy uśmiechali się współczująco.

Westcliff miał w dłoni strzelbę. Kucnął obok Daisy.

– Właśnie wracaliśmy z polowania – rzekł hrabia. – Przez czysty przypadek zjawiliśmy się tutaj, gdy zostałaś zaatakowana.

– Mogłabym przysiąc, że to był dzik – szepnęła Daisy ze zdumieniem.

– To niemożliwe. – Lord Llandrindon zachichotał protekcyjnie. – Wyobraźnia panią ponosi, panno Bowman. Od setek lat w Anglii nie było dzików.

– Ale przecież widziałam... – upierała się.

– Masz rację – szepnął Swift, przytulając ją mocniej. – Ja też widziałem dzika – dodał głośniej.

Westcliff z powagą pokiwał głową.

– Panna Bowman się nie myli – zwrócił się do Llandrindona. – Mamy problem z trzodą, która uciekła, i już przybywa młodych prosiaków. W zeszłym miesiącu także zaatakowały jadącą konno kobietę.

– Chce pan powiedzieć, że zostałam zaatakowana przez rozwścieczoną świnie? – Daisy próbowała usiąść. Swift wciąż podtrzymywał jej plecy ramieniem, czuła bijące od niego ciepło.

Ostatni promień słońca rozblęsnął nad horyzontem, chwilowo ją oślepiając. Gdy odwróciła twarz, poczuła, że Swift pociera podbródkiem jej włosy.

– Nie rozwścieczoną – odparł Westcliff – lecz zdiczałą i dlatego niebezpieczną. Świnie domowe wypuszczone na wolność szybko rosną i stają się agresywne. Ten osobnik ważył moim zdaniem co najmniej dwadzieścia kamieni. – Na widok zdumienia Swifta, który po raz pierwszy zetknął się z tą tradycyjnie angielską jednostką masy, hrabia dodał: – Około stu trzydziestu kilogramów.

Swift pomógł Daisy się podnieść, nie przestał jednak tulić jej do swego potężnego ciała.

– Powoli – szepnął. – Kręci się pani w głowie? Ma pani mdłości?

Nic takiego Daisy nie dolegało. Rozkoszowała się jednak jego bliskością i odszepnęła bez tchu:

– Może troszeczkę.

Przechylił jej głowę delikatnie i oparł o swoje ramię. Oblał ją żar, gdy w opiekuńczym uścisku Matthew poczuła zniewalającą męską siłę. Zatroszczył się o nią właśnie ten najmniej romantyczny mężczyzna, jakiego знаła.

Jego wizyta w Stony Cross obfitowała w niespodzianki.

– Odwiozę cię – szepnął, a Daisy przeszedł rozkoszny dreszczyk. – Myśli pani, że utrzyma się w siodle przede mną?

Jakież to wszystko dziwne, pomyślała; czuję bezwstydną zachwyty zamiast pragnienia ucieczki. Mogłaby ułożyć się wygodnie w ramionach Matthew, gdy będzie ją wiozł na swoim koniu, i w skrytości ducha pozwolić sobie na fantazjowanie. Na przykład udawać, że jest podróżniczką porwaną przez czarującego złoczyńcę...

– To chyba nie jest zbyt mądre – wtrącił lord Llandrindon ze śmiechem. – Biorąc pod uwagę stosunki między wami...

Daisy zbladła jak ściana. Czyżby Llandrindon miał na myśli te lubieżne chwile w bibliotece? Nie mógł przecież o nich wiedzieć. Ona nikomu nie powiedziała, a Swift nigdy nikomu nie zwierzał się ze swoich prywatnych spraw. Nie, Llandrindonowi chodziło zapewne o ich rywalizację podczas gry w kule.

– Lepiej chyba będzie, jeśli to ja odeskortuję pannę Bowman do domu – dodał Llandrindon – aby zapobiec potencjalnym aktom przemocy.

Daisy zerknęła z ukosa na uśmiechniętego wicehrabiego, życząc sobie w duchu, by zamilkł. Już miała zaprotestować, ale Swift ją uprzedził.

– Chyba ma pan rację, milordzie.

Och, do diaska. Została pozbawiona ciepłego schronienia, jakim było ciało Swifta.

Westcliff wpatrywał się z ponurą miną w ziemię.

– Muszę znaleźć to zwierzę i je odstrzelić.

– Mam nadzieję, że nie z mojego powodu – zastrzegła nerwowo Daisy.

– Na ziemi jest krew – odparł hrabia – czyli zwierzę jest ranne. Lepiej je odstrzelić, niż pozwolić, by cierpiało.

Pan Mardling sięgnął po swoją strzelbę.

– Pomogę panu, milordzie!

Tymczasem lord Llandrindon zdążył już wsiąść na konia.

– Podaj mi ją – polecił Swiftowi.

Matthew odchylił głowę Daisy do tyłu i wyjął z kieszeni białą chusteczkę.

– Jeśli nadal będzie się pani kręcić w głowie – powiedział, delikatnie ocierając smugi brudu z jej twarzy – wzywamy lekarza. Zrozumiano?

Pomimo apodyktycznego tonu w spojrzeniu pojawiła się ulotna czułość, a Daisy zapragnęła ukryć się pod połami jego surduta i wsłuchiwać w bicie serca Matthew.

– Pan też wraca – zapytała – czy zostaje tutaj z lordem Westcliffem?

– Będę jechał za wami. – Włożył chusteczkę do kieszeni, pochylił się i z łatwością wziął dziewczynę na rękę. – Proszę się trzymać.

Otoczyła ramionami jego szyję i poczuła mrowienie w nadgarstku, gdy dotknęła gorącej skóry na karku i chłodnych jedwabistych włosów. Niósł ją tak, jakby nic nie ważyła. Czuła jego muskularny tors, miarowy oddech mężczyzny na policzku. Pachniał słońcem i trawą. Musiała się powstrzymać, by nie wcisnąć nosa w jego szyję.

Zdumiona siłą swojego pożądania milczała, gdy Swift podał ją lordowi Llandrindonowi, który dosiadał dużego gniadosza. Wicehrabia usadowił Daisy przed sobą tak, że siodło wbiło się w jej udo.

Llandrindon był przystojnym, eleganckim mężczyzną o ciemnych włosach i regularnych rysach. Ale ten jego dotyk, jego zapach... Z jakiegoś powodu czuła do milorda niechęć. Wszystko w nim było dla niej obce i niemiłe.

Miała ochotę płakać z frustracji, gdy zastanawiała się, dlaczego nie może pragnąć jego zamiast mężczyzny dla niej nieodpowiedniego.

– Co się stało? – zapytała Lillian, gdy Daisy weszła do saloniku Marsdenów. Hrabina spoczywała na sofie z magazynem w dłoni. – Wyglądasz, jakby cię powóz przejechał.

– Spotkałam po drodze źle wychowaną świnię.

Siostra uśmiechnęła się i odłożyła gazetę.

– Czyli kogo?

– To nie przenośnia. Ja naprawdę spotkałam świnię. – Usiadła na krześle i opowiedziała swoją przygodę, okraszając ją sporą dozą humoru.

– Na pewno nic ci nie jest? – Lillian patrzyła na nią z troską.

– Czuję się doskonale. Hubert również. Dotarł do stajni równo ze mną i lordem Llandrindonem.

– Co za szczęście.

– Tak, mądry Hubert odnalazł drogę do domu...

– Nie mówię o tym przeklętym kucyku, lecz o tym, że wracałaś do domu z lordem Llandrindonem. Nie zachęcam cię, byś koncentrowała się tylko na nim, ale z drugiej strony...

– Nie z nim chciałam wracać. – Daisy spojrzała na swoją poplamioną błotem spódnice i zaczęła wyciągać końskie włosie spomiędzy warstw delikatnego muślinu.

– Nie można cię za to winić – odparła Lillian. – Llandrindon jest miły, raczej nieszkodliwy. Pewnie chciałaś wracać z panem Mardlingiem.

– Bardzo się cieszę, że nie wracałam z nim. Tak naprawdę chciałam, by odwiózł mnie...

– Nie. – Lillian zakryła uszy. – Nie mów. Nie chcę tego słyszeć!

Daisy spojrzała na nią ponuro.

– Naprawdę tak myślisz?

Lillian wykrzywiła twarz w grymasie.

– Niech to szlag. Niech to szlag jasny trafi. Co za su...

– Gdy na świat przyjdzie dziecko – przerwała jej Daisy z nikłym uśmiechem – naprawdę będziesz musiała zacząć się wystrzegać takiego języka.

– W takim razie muszę korzystać, dopóki nie ma go na świecie.

– Jesteś pewna, że to będzie „on”?

– Oby, bo Westcliff potrzebuje dziedzica, a ja nigdy więcej się na to nie zgodzę. – Potarła dłońmi zmęczone oczy. – Jako że pozostał nam już tylko Matthew Swift – mówiła z posępną miną – zakładam, że to właśnie z nim chciałaś wracać.

– Tak. Ponieważ... on mnie pociąga. – Ogarnęła ją ulga, gdy powiedziała to głośno. Poczwała, że gardło, dotąd zaciśnięte i obolałe, wreszcie rozszerza się, pozwalając jej zaczerpnąć długi, powolny oddech.

– W sensie fizycznym?

– Nie tylko.

Lillian oparła policzek na dłoni, zaciśniętej w pięść.

– Dlatego, że ojciec życzy sobie tego małżeństwa? – zapytała. – Masz nadzieję, iż w ten sposób zyskasz jego aprobatę?

– Och, nie. Jeśli już, to aprobatą ojca stanowi głos przeciwko panu Swiftowi. Nie zależy mi, by go zadowolić... Przecież wiem, że to niemożliwe.

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego pragniesz mężczyzny, który jest dla ciebie tak rażąco nieodpowiedni. Nie jesteś szalona, Daisy. Impulsywna? O tak. Romantyczna? Na pewno. Ale jesteś też praktyczna i inteligentna na tyle, by rozumieć konsekwencje takiego małżeństwa. Moim zdaniem w twoje myślenie wkrada się desperacja, i na tym polega problem. Jesteś ostatnią paprotką, a ojciec postawił ci to idiotyczne ultimatum, i...

– Nie jestem zdesperowana!

– Jeśli bierzesz pod uwagę małżeństwo z Matthew Swiftem, musisz być!

Daisy nigdy nie miewała napadów złości – to właśnie różniło ją od Lillian. Teraz jednak gniew wypełnił ją niczym para z czajnika. Z trudem nad sobą panowała.

Zerknęła na wydatny brzuch siostry, by się uspokoić. Lillian musiała się mierzyć z wieloma nowymi niewygodami i pytaniami. A Daisy nie powinna przyczyniać jej trosk.

– Nie powiedziałam, że pragnę go poślubić – oświadczyła. – Chcę tylko lepiej go poznać. Dowiedzieć się, jakim jest mężczyzną. Nie widzę w tym nic złego.

– Ale się nie dowiesz, Daisy. O to właśnie chodzi. On nie pokaże ci, jaki jest naprawdę. Oszuka cię. To jego specjalność, dowiaduje się, czego chcą ludzie, i spełnia ich oczekiwania, przysparza korzyści sobie. Chyba pamiętasz, jak stał się dla naszego ojca synem, którego ten zawsze pragnął. Teraz zaczniesz udawać mężczyznę, o jakim ty zawsze marzyłaś.

– Nie może przecież wiedzieć... – zaprotestowała Daisy, lecz Lillian przerwała jej w pół słowa, zbyt rozdrażniona, aby móc rozmawiać spokojnie.

– On nie interesuje się tobą, nie obchodzi go, co czujesz i myślisz, kim jesteś... Zależy mu, by kontrolować udziały w firmie, a w tobie widzi odpowiednie do tego narzędzie. Oczywiście, że zrobi wszystko, byś go polubiła. Będzie cię czarował do dnia twojego ślubu, ale odkryjesz, że to wszystko było iluzją. Jest taki jak nasz ojciec, Daisy! Zmiażdży cię albo zamieni na podobieństwo naszej matki. Takiego życia pragniesz?

– Oczywiście, że nie.

Po raz pierwszy w życiu Daisy znalazła się w sytuacji, kiedy nie mogła porozmawiać z siostrą o czymś ważnym.

Tak wiele pragnęła jej powiedzieć... Że nie wszystko, co mówi i robi Matthew Swift, może być wynikiem czystej kalkulacji. Że mógł przecież nalegać, by z nim wracała do posiadłości, a zamiast tego oddał ją Llandrindonowi bez słowa protestu. Zapagnęła zwierzyć się siostrze, że Swift ją pocałował, jakie to było cudowne i jak bardzo ją zaniepokoiło.

Rozmowa z Lillian nie miała jednak sensu, gdy ta była w wojowniczym nastroju. Nigdy nie doszłyby do porozumienia.

Zapadła przytłaczająca cisza.

– No? – odezwała się Lillian. – I co masz zamiar zrobić?

Daisy wstała, starła plamkę błota z dłoni i odparła smutnym głosem:

– Najpierw chyba wezmę kąpiel.

– Wiesz, o co mi chodzi!

– Co powinnam zrobić według ciebie? – zapytała Daisy uprzejmie, a Lillian gniewnie wykrzywiła wargi.

– Powiedz Matthew Swiftowi, że jest odrażającą ropuchą i że prędzej piekło zamarźnie, niż zgodzisz się go poślubić!

ROZDZIAŁ 8

A potem wyszła – relacjonowała Lillian z przejęciem – nie powiedziawszy mi, co zamierza zrobić ani co naprawdę myśli, a ja wiem, do diabła, że pewne fakty zachowała dla siebie...

– Moja droga – rzekła Annabelle łagodnie. – Jesteś pewna, że dałaś jej możliwość, by powiedziała ci wszystko?

– O co ci chodzi? Siedziałam przed nią. Byłam przytomna, mam dwoje uszu. Czego jeszcze jej było trzeba?

Nie mogąc zasnąć ze zdenerwowania, Lillian odkryła, że Annabelle również nie śpi, obudziła ją córka. Zobaczyły się na balkonach swoich pokoi i gestami uzgodniły, iż spotkają się na dole. Była północ. Annabelle zasugerowała, by udały się na spacer w galerii Marsdenów, długim pokoju, na którego ścianach wisiały rodzinne portrety i bezcenne dzieła sztuki. Odziane w szlafroki, trzymając się pod ramię, wędrowały przez galerię w tempie dostosowanym do powolnych kroków Lillian.

Ciąża sprawiła, że Lillian coraz częściej zwracała się ku Annabelle. Przyjaciółka rozumiała, co ona odczuwa, ponieważ sama niedawno doświadczyła tego samego. A jej spokój przynosił Lillian ukojenie.

– Chodzi mi o to – wyjaśniła Annabelle – że, jak przypuszczam, bardzo chciałaś uświadomić Daisy, co sama czujesz, lecz zapomniałaś zapytać, co czuje ona.

Lillian tłumaczyła się zapalczywie.

– Ale ona... Ale ja... – Milczała chwilę. – Masz rację – przyznała ponuro. – Zapomniałam. Tak bardzo zdenerwowała mnie myśl, że Daisy pociąga Matthew Swift, że chyba w ogóle nie chciałam o tym rozmawiać. Powiedziałam jej, co ma zrobić, żeby jak najszybciej to zakończyć.

Zawróciły na końcu galerii i przeszły wzdłuż rzędu pejzaży.

– Myślisz, że łączą ich jakieś intymne relacje? – zapytała Annabelle. Na widok wzburzenia Lillian uściśliła: – Na przykład pocałunek... lub uścisk...

– O Boże. – Lillian pokręciła głową. – Nie wiem. Daisy jest taka niewinna. Ten wąż z łatwością zdołałby ją uwieść.

– Moim zdaniem naprawdę go oczarowała. Zresztą, który mężczyzna by się jej oparł? Jest słodka, urocza i mądra...

– A do tego bogata – dodała Lillian ponuro.

Annabelle się uśmiechnęła.

– Majątek to zawsze zaleta – zgodziła się. – Ale w tym wypadku chodzi chyba o coś więcej.

– Jesteś pewna?

– Moja droga, to oczywiste. Przecież widziałaś, jak na siebie patrzą. Po prostu czuć w powietrzu, że mają się ku sobie.

Lillian zmarszczyła brwi.

– Możemy chwilę odpocząć? Bola mnie plecy.

Annabelle przystanąła i pomogła przyjaciółce usiąść na wyściełanej ławce ustawionej pośrodku galerii.

– Moim zdaniem dziecko niedługo się urodzi – szepnęła. – Śmiem nawet twierdzić, że przyjdzie na świat nieco wcześniej, niż przewidział lekarz.

– I dzięki Bogu. Nigdy nie pragnęłam niczego bardziej. Już bym nie chciała być w ciąży. – Lillian spróbowała dojrzeć czubki swoich pantofli ponad wypukłością brzucha. Znów wróciła myślami do siostry. – Zamierzam być wobec niej szczerą – oświadczyła nagle. – Ja wiem, jaki naprawdę jest Matthew Swift, nawet jeśli ona tego nie dostrzega.

– Myślę, że zna już twoją opinię – mruknęła Annabelle. – Ale ostatecznie to Daisy podejmie decyzję. Myślę, że gdy ty próbowałam określić swoje uczucia względem lorda Westcliffa, nie próbowałam wpływać na ciebie w żaden sposób.

– Ta sytuacja jest zupełnie inna – zaprotestowała Lillian. – Matthew Swift to gad! Co więcej, jeśli Daisy go poślubi, pewnego dnia zostanie wywieziona do Ameryki i przestanę w ogóle ją widywać.

– A chciałabyś, by została pod twoimi skrzydłami na zawsze.

Lillian posłała jej złowrogie spojrzenie.

– Sugerujesz, że jestem na tyle samolubna, by uniemożliwić jej samodzielne życie po to, by zatrzymać ją przy sobie?

Niewzruszona jej gniewem Annabelle uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Zawsze byliście we dwie, nieprawdaż? Stanowiłyście dla siebie nawzajem jedyne źródło miłości i towarzystwo. Ale wszystko się zmienia, moja droga. Teraz masz własną rodzinę, męża, dziecko... Powinnaś pragnąć tego samego dla Daisy.

Lillian poczuła szczypanie w nosie. Odwróciwszy się od Annabelle, próbowała powstrzymać napływające do oczu gorące łzy.

– Obiecuję, że polubię następnego mężczyznę, który ją zainteresuje. Niezależnie od tego, kim on będzie. Każdy się nada, tylko nie pan Swift.

– Nie polubiłabyś żadnego mężczyzny, który by zainteresował Daisy. – Objęła ją i dodała z uczuciem: – Jesteś dość zaborcza, kochanie.

– A ty szalenie irytująca. – Lillian oparła głowę o miękkie ramię przyjaciółki. Wciąż pociągała nosem, a Annabelle trzymała ją w mocnym, dodającym otuchy uścisku, do którego matka Lillian nigdy nie była zdolna. Płacz przyniósł jej ulgę, choć poczuła się też zawstydzona. – Nie cierpię się mazać – wymamrotała.

– Tak bywa podczas ciąży – uspokoiła ją Annabelle. – To całkiem naturalne. Wrócisz do siebie po porodzie.

– Urodzę chłopca. – Lillian otarła oczy palcami. – A potem zaaranżujemy małżeństwo pomiędzy naszymi dziećmi, żeby Isabelle mogła zostać wicehrabiną.

– Myślałam, że nie popierasz aranżowanych małżeństw.

– Nie popierałam aż do teraz. Nie możemy jednak powierzyć tak ważnej decyzji naszym dzieciom.

– Masz rację. Będziemy musiały podjąć ją za nie.

Roześmiały się, a Lillian humor się nieco poprawił.

– Mam pomysł – powiedziała Annabelle. – Chodźmy do kuchni, zajrzemy do spiżarni. Założę się, że znajdziemy tam resztki ciasta agrestowego. A może nawet biszkopt z dżemem truskawkowym i bitą śmietaną.

Lillian uniosła głowę i wytarła mokry nos rękawem.

– Naprawdę myślisz, że talerz słodczy sprawi, iż pocuję się lepiej?

Annabelle się uśmiechnęła.

– Na pewno ci nie zaszkodzi.

Lillian chwilę rozważała te słowa.

– Chodźmy. – Pozwoliła, by przyjaciółka pomogła jej wstać z ławki.

Poranne słońce wlało się przez okna do wnętrza domu, gdy pokojówki odsunęły ciężkie zasłony i zabezpieczyły je jedwabnymi sznurami. Daisy, idąc do pokoju śniadaniowego, pomyślała, że istnieje mała szansa, by ktoś towarzyszył jej przy posiłku o tej porze. Spała najdłużej, jak tylko mogła, wreszcie buzująca w niej energia nakazała jej wstać i się ubrać.

Służba polerowała mosiężne klamki i drewniane panele, czyściła dywany, roznosiła kosze pełne czystej bielizny pościelowej. Z głębi domu dochodził brzęk metalowych garnków i naczyń, w których przygotowywano poranną ucztę.

Widząc, że drzwi do gabinetu lorda Westcliffa są otwarte, Daisy zajrzała do środka. Był to piękny pokój, skromny i pozbawiony dekoracji. Refleksy świetlne z witrażowych okien wypełniały wnętrze tęczą kolorów. Przystanęła z uśmiechem, gdy dostrzegła za biurkiem mężczyznę. Miał ciemne włosy i szerokie barki, domyśliła się, że to pan Hunt, który często korzystał z gabinetu Westcliffa podczas swoich pobytów w Stony Cross.

– Dzień dobry... – Urwała, kiedy mężczyzna odwrócił się, by na nią spojrzeć.

Była podekscytowana, okazało się bowiem, że nie pan Hunt tam siedzi, lecz Matthew Swift.

Gdy wstał na jej widok, zaprotestowała nieśmiało:

– Proszę sobie nie przeszkadzać...

Zauważyła, że coś się w nim zmieniło. Nosił okulary w cienkich stalowych oprawkach.

Okulary na twarzy o tak wyrazistych rysach... i włosy zmierzwiłone, jakby miał w zwyczaju szarpać je, rozmyślając. To w połączeniu z muskularną sylwetką i męską energią... było podniecające.

– Kiedy zaczął je pan nosić? – wykrztusiła.

– Mniej więcej rok temu. – Uśmiechnął się lekko i zdjął okulary. – Potrzebne są mi do czytania. Za dużo nocy spędziłem nad kontraktami i raportami, czym popsułem sobie wzrok.

– Bardzo w nich panu do twarzy.

– Czyżby? – Nie przestając się uśmiechać, wzruszył ramionami, jakby nie przyszło mu dotąd do głowy, by zaprzętać sobie myśli wyglądem. Włożył okulary do kieszeni kamizelki. – Jak się pani czuje? – zapytał łagodnie.

Musiła się zastanowić, zanim zrozumiała, że chodzi mu o wczorajszy wypadek.

– Och, całkiem nieźle, dziękuję.

Wpatrywał się w nią tak, jak zwykle – uważnie, bez mrugnięcia. Zawsze wtedy czuła niepokój. Teraz jednak miała wrażenie, że chłonie ją wzrokiem, jakby była jedyną rzeczą na świecie wartą jego zainteresowania. Nerwowo zacisnęła palce na spódnicy uszytej z muślinu w kwiatowy wzór.

– Wcześniej pani wstała – zauważył.

– O tej porze zazwyczaj jestem już na nogach. Nie rozumiem, dlaczego ludzie wolą przesypiać poranki. Przecież nie można się wylegiwać w nieskończoność. – Gdy tylko skończyła mówić, przyszło jej do głowy, że ludzie w łóżkach nie tylko śpią. I oblała się rumieńcem.

Swift litościwie nie zadrwił z niej, ale dostrzegła nikły uśmieszek przyczajony w kącikach jego ust. Żeby uniknąć ryzykownego tematu nocy, wskazał stos papierów na biurku.

– Wkrótce wyjeżdżam do Bristolu. Trzeba wyjaśnić pewne kwestie, zanim zdecydujemy się na budowę manufaktury w tym mieście.

– Lord Westcliff zgodził się powierzyć panu nadzór nad tym projektem?

– Tak. Choć przypuszczam, że będę musiał nauczyć się, jak manipulować komitetem doradczym.

– Mój szwagier bywa dość apodyktyczny – przyznała Daisy. – Gdy jednak przekona się, że można na pana polegać, bez wątpienia pozwoli panu na większą swobodę.

Uniósł brwi.

– To zabrzmiało niemal jak komplement, panno Bowman.

Wzruszyła ramionami z wystudiowaną swobodą.

– Ma pan wiele wad, lecz pańska niezawodność zyskała już status legendy. Ojciec zawsze powtarza, że można by nastawiać zegar według pór, kiedy zaczyna pan i kończy pracę.

W jego głosie pojawiło się sardoniczne rozbawienie.

– Niezawodny. To zaleta bardzo podniecającego jegomościa.

Kiedyś Daisy zgodziłaby się z sarkastycznym komentarzem. Gdy ktoś określał mężczyznę słowami „niezawodny” i „miły”, niemal obrażał go takimi komplementami. Ona jednak przez trzy ostatnie sezony obserwowała kaprysy dżentelmenów, którzy byli rozpustni, brakowało im skupienia i odpowiedzialności. Nauczyła się więc wysoko cenić niezawodność u mężczyzn. Teraz zastanawiała się, dlaczego wcześniej nie doceniała tej cechy.

– Panie Swift... – Starła się mówić lekko, lecz nie bardzo się jej to udawało. – Pewna myśl nie daje mi spokoju...

– Tak? – Odsunął się nieco, gdy do niego podeszła, jakby uważał za konieczne zachowanie pomiędzy nimi stosownego dystansu.

Wbiła w niego uporczywe spojrzenie.

– Jako że nie ma możliwości, byśmy pan i ja... skoro nasze małżeństwo jest... Zastanawiałam się, kiedy zamierza się pan ożenić?

Na jego twarzy odmalowało się zdumienie, a potem stała się nieprzenikniona.

– Małżeństwo nie jest dla mnie.

– A więc nigdy?

– Nigdy.

– Dlaczego? Czyżby nade wszystko cenił pan sobie wolność? A może zamierza pan zostać rozpustnikiem?

Roześmiał się tak ciepło, że Daisy odczuła to na ciele jak muśnięcie aksamitu.

– Nie, zawsze wierzyłem, że to strata czasu uganiać się za hordami kobiet, gdy jedna porządna w zupełności wystarczy.

– A co to znaczy: porządna?

– Pyta mnie pani, jaką kobietę pragnąłbym poślubić? – Uśmiech błąkał się po jego wargach nieco dłużej niż zwykle, sprawiając, że włoski na karku Daisy lekko się podniosły. – Chyba poczułbym, że to ta odpowiednia, w chwili, w której bym ją poznał.

Zachowując pozory obojętności, podeszła do witrażowego okna. Uniosła dłoń i utkwiała spojrzenie w mozaikę kolorowego światła, padającego na jej bladą skórę.

– Potrafię przewidzieć, jaka byłaby to kobieta. – Wciąż stała tyłem do Swifta. – Na pewno byłaby ode mnie wyższa.

– Większość kobiet jest – zauważył.

– Do tego starannie wykształcona i użyteczna – ciągnęła Daisy. – Na pewno nie marzycielka. Myślałaby przede wszystkim o kwestiach praktycznych, doskonale zarządzałyby służbą i nigdy nie dałaby się oszukać handlarzowi ryb, gdyby ten próbował jej sprzedać zepsutego dorsza.

– Jeślibym dotychczas rozważał małżeństwo – wtrącił Swift – pani wybiłaby mi je z głowy.

– Na pewno bez trudu znalazłby pan taką żonę – mówiła dalej ponuro. – W Manhattanville są ich setki. Może nawet tysiące.

– Skąd ta pewność, że pragnę konwencjonalnej małżonki?

Poczuła mrowienie na skórze.

– Ponieważ jest pan taki jak mój ojciec.

– Nie całkiem.

– Gdyby poślubił pan inną kobietę niż ta, którą właśnie opisałam, pewnego dnia uznałby ją pan za... pasożyta.

Położył dłonie na ramionach Daisy i odwrócił ją twarzą do siebie. Oczy mu dziwnie błyszcząły, gdy się w nią wpatrywał, aż pomyślała spłoszona, że Matthew potrafi czytać w myślach.

– Wolałbym uważać się – powiedział powoli – za człowieka niezdolnego do takiego okrucieństwa. Ani za idiotę. – Przesuwał wzrokiem po jej ciele, odsłoniętym dość głębokim dekoltem. Z obezwładniającą delikatnością musnął kciukami obojczyki, aż na ramionach pod bufiastymi rękawkami poczuła gęsią skórę. – Od małżonki oczekiwałbym tylko jednego – szepnął – by żywiła do mnie choć odrobinę uczucia. By cieszyła się, widząc mnie na koniec dnia.

Jej oddech przyspieszył.

– Ma pan bardzo skromne oczekiwania.

– Czyżby?

Opuszkami palców dotarł do nasady szyi, gdzie skóra unosiła się lekko, gdy Daisy z trudem przełykała ślinę. Zamrugnął i szybko cofnął dłonie. Chwilę zachowywał się tak, jakby nie wiedział, co z nimi począć, wreszcie schował w kieszeniach surduta.

Ale się nie cofnął. Daisy zastanawiała się, czy on czuje to samo, co ona, wzajemne przyciąganie ciał, tę zdumiewającą potrzebę, którą mogła zaspokoić tylko bliskość.

Odchrząknęła i wyprostowała plecy na całą wysokość swojego metra pięćdziesiąt i spornych pięciu centymetrów wzrostu.

– Panie Swift?

– Tak, panno Bowman?

– Mam do pana prośbę.

Wyostrzył wzrok.

– Jaką?

– Gdy tylko powie pan mojemu ojcu, że nie zamierza się ze mną ożenić, papa będzie... rozczarowany. Pan wie, jak się wtedy zachowuje.

– Tak, wiem. – Każdy, kto znał Thomasa Bowmana, był świadom, że dla niego rozczarowanie to krok na drodze do całkowitego potępienia.

– Obawiam się, że może to skutkować nieprzyjemnymi dla mnie konsekwencjami. Ojciec już jest niezadowolony z tego, że nikt mi się dotychczas nie oświadczył. Jeśli dojdzie do wniosku, że celowo zniweczyłam jego plan dotyczący pana i mnie... Cóż, to bardzo utrudni moją... sytuację.

– Rozumiem. – Znał jej ojca lepiej niż ona sama. – Nic mu nie powiem – zapewnił ją cicho. – I zrobię, co w mojej mocy, by wszystko pani ułatwić. Wyjeżdżam do Bristolu za dwa, najdalej trzy

dni. Llandrindon i inni... nie są idiotami, wiedzą, dlaczego zostali tu zaproszeni, i nie przyjechaliby, gdyby nie byli zainteresowani. Niedługo na pewno któryś z nich się oświadczy.

Daisy doszła do wniosku, że powinna być wdzięczna losowi za to, jak chętnie Matthew popycha ją w ramiona innego mężczyzny. Mimo to jego entuzjazm sprawił, że obudziła się w niej kaśliwość.

A gdy kobieta jest zła jak osa, ma ochotę żądlić.

– Doceniam to – odparła. – Dziękuję. Już bardzo mi pan pomógł, panie Swift. Poszerzył pan moje horyzonty. Gdy następnym razem będę się całować... z lordem Llandrindonem, na przykład... o wiele lepiej sobie poradzę.

Poczuła mściwą satysfakcję, gdy Matthew zacisnął wargi.

– Nie ma za co dziękować – warknął.

Widząc, że unosi dłonie, jakby miał ochotę ją udusić lub nią potrząsnąć, Daisy uśmiechnęła się do niego radośnie, po czym w pośpiechu opuściła gabinet.

Z upływem dnia poranne słońce skryło się za chmury, które zasnuły niebo niczym szary kobierzec. Rozpadało się, nieutwardzane drogi zamieniły się w kałuże, a poziom wód na łąkach i mokradłach podniósł się, sprawiając, że ludzie nie opuszczali domów, zwierzęta też się pochowały.

Taka właśnie była wiosna w Hampshire – kapryśna i zmienna, płatająca figle tym, którzy jej nie znali. Jeśli wybierałeś się na spacer z parasolem w deszczowy poranek, Hampshire zalewało cię potokami słońca. Jeśli natomiast wyszedłeś z domu bez parasola, niebo za każdym razem wylewało ci wiadro wody na głowę.

Goście łączyli się w grupy o różnych zainteresowaniach... Jedni przesiadywali w pokoju muzycznym, inni w pokoju bilardowym, jeszcze inni w salonie, gdzie wyłożono gry, podawano herbatę i urządzano próby amatorskich przedstawień. Damy zajmowały się szyciem lub haftowaniem, podczas gdy dżentelmeni czytali, rozmawiali i pili w bibliotece. Żadna rozmowa nie mogła się obyć bez choćby wzmianki o tym, kiedy przestanie padać.

Daisy zazwyczaj uwielbiała deszczowe popołudnia. Mogła się wtedy zwinąć w kłębek z książką przy kominku – nie wyobrażała sobie większej radości. Ale teraz była podenerwowana, świat literacki utracił dla niej całą swoją magię. Wędrowała więc od pokoju do pokoju, dyskretnie obserwując gości.

Obok pokoju bilardowego przystanęła i zajrzała do środka. Panowie przechadzali się leniwie wokół stołu z drinkami i kijami w dłoniach. Stukot bil z kości słoniowej stanowił arytmiczne tło dla szumu męskich rozmów. Jej uwagę przykuł Matthew Swift w samej koszuli, który oparł się na stole, by wykonać idealne uderzenie.

Jego dłonie wprawnie obchodziły się z kijem, gdy mrużył niebieskie oczy, koncentrując się na układzie bil na stole. Nieujarzmione włosy znów opadły mu na czoło, a Daisy zapragnęła je odgarnąć. Gdy posłał bilę do luzu, nagrodzono go brawami i niskim śmiechem. Kilka monet zmieniło właścicieli. Swift wyprostował się, uśmiechnął lekko i powiedział coś do swojego przeciwnika, lorda Westcliffa.

Westcliff wybuchnął śmiechem i okrążył stół. W ustach trzymał niezapalone cygaro, rozważając swoje opcje. W pokoju panowała swobodna atmosfera męskiego rozbawienia.

Kiedy Westcliff przeszedł na drugą stronę stołu, zauważył Daisy, gdy ta wyjrzała zza futryny. Puścił do niej oko. Wycofała się niczym żółw do skorupy. Ośmieszala się, skradając po domu, by podglądać Matthew Swifta.

Zbeształa za to siebie w duchu i poszła w stronę schodów. Zatrzymała się dopiero przed salonikiem Marsdenów.

Annabelle i Evie dotrzymywały tu towarzystwa Lillian, która zwinęła się w kłębek na kanapie. Twarz miała bladą i napiętą, na czole rysowały się zmarszczki. Szczupłymi rękami otaczała brzuch.

– Dwadzieścia minut – oświadczyła Evie. Nie odrywała wzroku od zegara nad kominkiem.

– Wciąż nie są regularne – zauważyła Annabelle. Odsunęła włosy z twarzy Lillian i zaplotła je w schludny warkocz, opanowując szczupłymi palcami burzę ciężkich czarnych loków.

– Co nie jest regularne? – zapytała Daisy z wymuszoną swobodą, wchodząc do pokoju. – I dlaczego patrzycie na... – Zbladła nagle. – Mój Boże. Lillian, ty masz skurcze?

Siostra pokręciła głową zakłopotana.

– Jeszcze nie. Czuję raczej taki ucisk w brzuchu. Zaczęło się po lunchu, godzinę później znów to poczułam, potem po półgodzinie, a teraz po dwudziestu minutach.

– Westcliff wie? – Daisy wstrzymała oddech. – Mam go powiadomić?

– Nie – zawołały wszystkie chórem.

– Nie ma potrzeby już go tym martwić – dodała zmieszana Lillian. – Pozwólmy mu cieszyć się popołudniem z przyjaciółmi. Gdy tylko się dowie, będzie chodzić pod drzwiami i wydawać rozkazy, a wtedy nikt nie zazna spokoju. Zwłaszcza ja.

– A matka? Mam po nią iść? – Daisy musiała o to zapytać, choć znała odpowiedź. Mercedes nie należała do osób, których obecność niesie otuchę, i choć wydała na świat pięcioro dzieci, wzdrygała się na każdą wzmiankę o ludzkiej fizjologii.

– Dostatecznie mnie już boli. – Lillian pokręciła głową. – Nie, matce też jeszcze nic nie mów. Poczuję się zobligowana, by siedzieć tutaj ze mną dla zachowania pozorów, a ja tylko się zdenerwuję. Teraz potrzebuję jedynie was trzech.

Pomimo żartobliwego tonu sięgnęła po dłoń Daisy i ścisnęła ją mocno. Porody budziły w kobietach strach, zwłaszcza te pierwsze, a Lillian nie była wyjątkiem.

– Annabelle twierdzi, że to może potrwać nawet kilka dni – dodała, komicznie wytrzeszczając oczy.

– Co znaczy, iż może zabraknąć mi cierpliwości.

– To nic, kochanie. Możesz pokazać nam najgorszą stronę swojej natury. – Nie wypuszczając jej dłoni, Daisy usiadła na dywanie u jej stóp.

W pokoju ciszę zakłócało jedynie tykanie zegara. Puls wyczuwalny w nadgarstkach obu sióstr mieszał się miarowo. Daisy nie była pewna, czy to ona pociesza, czy może czerpie pociechę z tego kontaktu. Nadszedł czas Lillian, a ona się o nią bała. Bała się bólu i możliwych komplikacji, a także tego, jak bardzo miało się lada chwila zmienić ich życie.

Zerknęła na przyjaciółki, Evie uśmiechnęła się do niej, na twarzy Annabelle malował się krzepiący spokój. Daisy zrozumiała nagle, że we cztery będą sobie pomagać w obliczu wszystkich wyzwań, radości i lęków, jakie niesie życie. Nagle poczuła obezwładniającą miłość do najbliższych sobie kobiet.

– Nigdy się stąd nie wyprowadzę – powiedziała. – Chcę, żebyśmy były na zawsze razem. Nie zniosłabym utraty was.

Poczuła, że Annabelle z uczuciem szturcha ją palcem.

– Daisy... Prawdziwej przyjaciółki nie da się utracić.

ROZDZIAŁ 9

Gdy popołudnie przeszło we wczesny wieczór, burza rozszalała się na dobre. Wiatr chłostał deszczem szyby w oknach i miotał schludnie przyciętymi krzewami i drzewami, podczas gdy jaskrawe błyskawice rozdzierały niebo. Cztery przyjaciółki wciąż przesiadywały w saloniku Marsdenów, mierząc odstęp między skurczami Lillian; już zaczęła je odczuwać regularnie co dziesięć minut. Była przygaszona i zdenerwowana, choć starała się to ukryć. Daisy podejrzewała, że siostrze trudno jest poddać się nieuniknionemu procesowi, który przejmował kontrolę nad jej ciałem.

– Niemożliwe, żeby było ci wygodnie na tej kanapie – stwierdziła Annabelle, pomagając Lillian się podnieść. – Chodź, moja droga. Musisz się położyć.

– Czy mam... – Daisy pomyślała, że czas już wezwać Westcliffa.

– Tak, chyba tak – odparła Annabelle.

Ucieszona perspektywą, że zrobi coś pożytecznego, zamiast siedzieć beczynn timer, Daisy dodała:

– A co dalej? Potrzebujemy prześcieradeł? Ręczników?

– Tak – rzuciła Annabelle przez ramię, obejmując Lillian. – Potrzebne będą też nożyczki i butelka z gorącą wodą. Przekaż gospodyni, by przysłała na górę olejek walerianowy i napar z suszonego serdecznika i tasznika.

Gdy Annabelle i Evie pomagały Lillian dojść do sypialni, Daisy pobiegła na dół. Weszła do pokoju bilardowego, gdzie już było pusto, potem zajrzała do biblioteki i jednego z głównych salonów. Westcliffa nigdzie jednak nie znalazła. Tupiąc niecierpliwie, zmusiła się, by spokojnie minąć w korytarzu kilkoro gości, po czym skręciła w stronę gabinetu. Odczuła ulgę, natknąwszy się tam na ojca, pana Hunta i Matthew Swifta. Toczyli ożywioną rozmowę, w której pobrzmiewały takie frazy, jak na przykład „niedostatki w sieci dystrybucyjnej” i „zyski jednostkowe”.

Na jej widok mężczyźni podnieśli głowy. Westcliff, który siedział na skraju biurka, wstał.

– Milordzie – powiedziała – czy mogę zamienić z panem słowo?

Choć mówiła spokojnie, jej mina musiała coś zdradzić, bo Westcliff od razu do niej podszedł.

– Tak, Daisy?

– Poród się rozpoczął – szepnęła.

Wiadomość wywołała u niego szok.

– Ale to za wcześnie.

– Dziecko musi być innego zdania.

– Ale... nie taki był plan. – Wydawał się szczerze oburzony, że jego potomek nie skonsultował z nim tej decyzji.

– Nie do końca – odparła Daisy rozsądnie. – Możliwe przecież, że lekarz źle obliczył datę. To się zdarza.

Twarz mu wykrzywił grymas niezadowolenia.

– Oczekiwałem większej dokładności! Prawie o miesiąc wcześniej niż... – Coś musiało mu przyjść

do głowy, bo nagle zbladł jak ściana. – Czy poród odbywa się przedwcześnie?

Choć Daisy dręczyły podobne obawy, dla dobra hrabiego pokręciła głową.

– U niektórych kobiet ciąża jest bardziej widoczna, u innych mniej. A moja siostra zawsze była szczupła. Jestem pewna, że dziecku nic nie grozi. – Uśmiechnęła się, by dodać mu otuchy. – Lillian odczuwa bóle od mniej więcej czterech lub pięciu godzin, a skurcze już co dziesięć minut, co według Annabelle świadczy...

– Moja żona rodzi od pięciu godzin i nikt mi nie powiedział?! – wykrzyknął.

– Cóż, nie można mówić o porodzie, dopóki skurcze nie następują po sobie regularnie, a Lillian prosiła, by pana nie niepokoić, dopóki...

Przeklął soczyście, co zdumiało Daisy. Odwrócił się i wbił drżący palec w Simona Hunta.

– Lekarz – warknął, po czym wypadł biegiem z gabinetu.

Na Huncie zachowanie Westcliffa nie zrobiło najmniejszego wrażenia.

– Biedak – mruknął z lekkim uśmiechem, po czym sięgnął po pióro stojące w kałamarzu na biurku.

– Dlaczego nazwał cię lekarzem? – zapytał Thomas Bowman, który zaczął już odczuwać działanie popołudniowej lampki brandy.

– Mam wrażenie, że pragnie, bym posłał po lekarza – odparł Hunt. – Co zamierzam niezwłocznie uczynić.

Niestety, pojawiły się trudności w sprowadzeniu sędziwego lekarza, który mieszkał w wiosce. Wysłany po niego lokaj wrócił z nieszczęśliwą nowiną – gdy szli do powozu Westcliffów, starszek doznał urazu.

– Jak? – rzucił gniewnie Westcliff, wychodząc z sypialni tylko po to, by wysłuchać raportu lokaja.

W korytarzu zebrał się już mały tłum: Daisy, Evie, St. Vincent, pan Hunt i pan Swift. Annabelle czuwała przy łożu Lillian.

– Milordzie – wyjaśniał lokaj ze smutkiem. – Lekarz pośliznął się na mokrych kamieniach i upadł, zanim zdołałem go podtrzymać. Skręcił nogę. Stwierdził, że to na pewno nie jest złamanie, lecz uraz uniemożliwia mu udzielenie pomocy lady Westcliff.

W oczach hrabiego pojawił się dziki błysk.

– Nie trzymałeś lekarza pod ramię? Na litość boską, przecież jest stary jak świat! Wszyscy wiedzą, że nie powinien sam chodzić po mokrych kamieniach.

– Jeśli jest taki stary – zauważył rozsądnie Simon Hunt – to jaki pożytek miałaby z niego lady Westcliff?

Hrabia nie krył złości.

– Ten lekarz wie o porodach więcej niż jakikolwiek mieszkaniec hrabstwa. Sprowadził na świat wiele pokoleń Marsdenów.

– W tym tempie – mruknął lord St. Vincent – najnowszy Marsden będzie musiał poradzić sobie sam.

– Zwrócił się do lokaja. – Lekarz zasugerował, kto może go zastąpić?

– Tak, milordzie. – Lokaj zawahał się. – Podobno we wsi mieszka położna.

– No to jedź po nią! – wrzasnął Westcliff.

– Już u niej byłem, milordzie. Położna... jest na lekkim rauszu.

Westcliff zmrużył powieki.

– Przywieź ją. W takiej sytuacji nie będę jej czynił wyrzutów z powodu kieliszka wina.

– Hm, milordzie... to jednak coś więcej niż tylko rausz.

Hrabia spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Do cholery, jak bardzo jest pijana?

– Uważa się za królową. Nakrzyczała na mnie za to, że nadepnałem na jej tren.

Zapadła cisza, gdy zgromadzeni przyswajali tę informację.

– Zaraz kogoś zabiję – mruknął hrabia. Gdy z sypialni dobiegł krzyk Lillian, gwałtownie pobladł.

– Marcus!

– Idę – zawołał, po czym zwrócił się do lokaja i wbił w niego złowrogie spojrzenie. – Znajdź mi kogoś – wysyczał. – Lekarza. Położną. Przekłętą wróżkę z jarmarku. Po prostu... kogoś... tu przywieź.

Gdy tylko zniknął w sypialni, rozległ się grzmot, który wprowadził w ruch żyrandole i podłogę pod ich stopami.

Lokaj miał łzy w oczach.

– Dziesięć lat na służbie u jego lordowskiej mości, a teraz mnie zwolnią...

– Wracaj do lekarza – nakazał mu Simon Hunt. – Sprawdź, czy nie poczuł się lepiej. Jeśli nie, zapytaj, czy nie ma jakiegoś czeladnika lub ucznia... Kogoś, kto mógłby go zastąpić. Ja tymczasem pojedę szukać do następnej wioski.

Matthew Swift, który dotychczas milczał, zapytał cicho:

– Którą drogę obierzesz?

– Na wschód – odparł Hunt.

– W takim razie ja pojedę na zachód.

Daisy spojrzała na niego ze zdumieniem i wdzięcznością. Burza mogła bardzo utrudnić takie zadanie, nie mówiąc już nawet o innych niedogodnościach. Fakt, że Matthew podjął je z myślą o Lillian, która nie kryła antypatii do niego, dobrze świadczył o tym mężczyźnie.

– To pewnie znaczy, że ja mam jechać na południe – odezwał się lord St. Vincent. – Tylko ona mogła zacząć rodzić podczas niemal biblijnej powodzi.

– A może wolałbyś zostać tutaj z Westcliffem? – zapytał Simon Hunt kpiąco.

St. Vincent spojrzał na niego z rozbawieniem.

– Pójdę po kapelusz.

Upłynęły dwie godziny od ich wyjścia, akcja porodowa postępowała. Ból stał się tak ostry, że pozbawiał Lillian tchu. Ścisnęła dłoń męża z miażdżącą siłą, czego on zdawał się niemal nie odczuwać. Okazywał jej cierpliwość i troskę, ocierał twarz chłodnym wilgotnym ręcznikiem, podawał napar z serdecznika do picia, masował krzyż i nogi, by pomóc się jej zrelaksować.

Annabelle zadziwiła kompetencją, zdaniem Daisy nawet położna nie poradziłaby sobie lepiej. Ułożyła butelki z gorącą wodą na plecach i brzuchu Lillian, a gdy nadchodziły skurcze, powtarzała przyjaciółce, że jeśli ona to przeżyła, Lillian też sobie poradzi.

Po każdym ataku bóleści Lillian dygotała.

Annabelle mocno ujęła jej dłoń.

– Możesz krzyczeć, kochanie. Wrzeszcz i przeklinaj, jeśli ci to pomoże.

Lillian słabo pokręciła głową.

– Nie mam siły krzyczeć. Lepiej się czuję, gdy cierpię w milczeniu.

– Ja też tak miałam. Choć ostrzegam cię, nie spotkasz się ze współczuciem, jeśli zniesiesz bóle ze stoickim spokojem.

– Nie chcę współczucia. – Krzyknęła cicho i zamknęła oczy, gdy nadszedł kolejny skurcz. – Chcę

tylko... żeby to się skończyło.

Widząc napiętą twarz Westcliffa, Daisy pomyślała, że nawet jeśli Lillian nie chce współczucia, z jej męża ono dosłownie się wylewa.

– Nie powinno cię tu być – powiedziała Lillian Westcliffowi, gdy skurcz minął. Trzymała jego dłoń tak kurczowo, jakby to była lina ratunkowa. – Powinieneś spacerować po salonie na dole i pić alkohol.

– Dobry Boże, kobieto. – Westcliff otarł jej spoconą twarz czystym ręcznikiem. – Ja ci to zrobiłem. Nie zostawię cię teraz sam na sam z konsekwencjami.

Uśmiechnęła się blado.

Gdy ktoś zapukał do drzwi, Daisy pobiegła, by otworzyć. Na progu stał Matthew Swift, zdyszany, mokry i ubłocony. Poczowała ulgę.

– Dzięki Bogu – zawołała. – Nikt inny dotąd nie wrócił. Znalazł pan kogoś?

– Tak i nie.

Doświadczenie nauczyło Daisy, że taka odpowiedź rzadko znamionuje pożądany rezultat.

– To znaczy?

– On zaraz tu będzie... Właśnie się myje. Drogi zamieniły się w potoki błota, wszędzie są dziury. Leje jak z cebra. To cud, że koń nie stanął dęba ani nie złamał nogi. – Zdjął kapelusz i otarł czoło rękawem, pozostała po tym smuga brudu.

– Ale znalazł pan lekarza? – Daisy wyciągnęła czysty ręcznik z kosza przy drzwiach i podała mu.

– Nie. Sąsiedzi powiedzieli, że lekarz wyjechał na dwa tygodnie do Brighton.

– A położna...

– Zajęta – odparł Swift szorstko. – Pomaga w wiosce dwóm innym kobietom. Powiedziała, że to się zdarza podczas takich gwałtownych burz... Jest w powietrzu coś, co sprawia, że dzieci przychodzą na świat wcześniej.

Daisy była skonsternowana.

– To kogo pan przywiózł?

U boku Swifta pojawił się łysiejący mężczyzna o łagodnych brązowych oczach. Też przemoknięty na wskroś, ale czysty – czystszy w każdym razie niż Swift – a do tego budził zaufanie swoim wyglądem.

– Dobry wieczór, panienko – przywitał się skromnie.

– Nazywa się Merritt – dodał Swift. – Jest weterynarzem.

– Słucham?

Choć drzwi były przymknięte, konwersacja toczyła się na tyle głośno, by usłyszały ją osoby w sypialni. Rozległ się ostry głos Lillian:

– Przywiozłeś mi lekarza od zwierząt?

– Wszyscy go polecali – wyjaśnił Swift.

Lillian była przykryta, więc Daisy otworzyła drzwi szerzej, aby siostra mogła spojrzeć na przybyłych.

– Jakie ma pan doświadczenie? – zapytała Lillian nagłaco.

– Wczoraj sprowadziłem na świat szczeniaki buldoga. A wcześniej...

– Wystarczy. – Westcliff przerwał Merrittowi, gdy Lillian ścisnęła jego dłoń, czując nadchodzący skurcz. – Proszę wejść.

Daisy wpuściła mężczyznę do pokoju, a sama wyszła na zewnątrz z kolejnym czystym ręcznikiem.

– Pojechałbym do następnej wioski – zapewnił ją Swift z nutą przeprosin w głosie. – Nie wiem, czy Merritt zdoła pomóc. Bagna i strumienie wylały, a drogi stały się nieprzejezdne. Nie mogłem wrócić sam.

Zamknął na chwilę oczy, a Daisy uświadomiła sobie nagle, jaka męcząca musiała być podróż podczas takiej nawałnicy.

Niezawodny, pomyślała. Ujęła w palce rozek czystego ręcznika i otarła nim błoto z jego twarzy oraz wilgoć, jaka zatrzymała się na jego jednodniowym zarostcie. Fascynowała ją ciemna szczecina na szczęce. Zapragnęła jej dotknąć.

Swift znieruchomiał i pochylił głowę.

– Oby inni mieli więcej szczęścia niż ja.

– Możliwe, że nie zdążą na czas – odparła Daisy. – Szybko następują kolejne fazy porodu.

Cofnął głowę, jakby jej delikatne zabiegi nagle zaczęły mu przeszkadzać.

– Nie wraca tam pani?

Pokręciła głową.

– Moja obecność jest *de trop*, jak to mówią. Siostra nie znosi tłumów wokół siebie, a Annabelle o wiele lepiej pomoże Lillian niż ja. Chcę jednak czekać w pobliżu na wypadek... na wypadek, gdyby mnie wołała.

Swift wziął od niej ręcznik, by wytrzeć sobie przemoknięte włosy, które stały się czarne i błyszczące jak futro foki.

– Zaraz wracam – powiedział. – Umyję się tylko i przebiorę.

– Moi rodzice i lady St. Vincent czekają w saloniku Marsdenów – poinformowała go. – Może pan zaczekać z nimi... Tam będzie panu wygodniej niż tutaj.

Ale gdy wrócił, nie poszedł do saloniku. Został z Daisy.

Siedziała po turecku na korytarzu, opierając się plecami o ścianę. Tak się zamyśliła, że nie zauważyła go, dopóki nie stanął tuż obok niej. Miał na sobie czyste ubranie, lecz włosy wciąż wilgotne.

– Mogę?

Nie była pewna, o co ją pyta, lecz pokiwała głową. Osunął się na podłogę i usiadł w identycznej pozycji jak ona. Nigdy nie siedziała w ten sposób z dżentelmenem i na pewno nigdy nie podejrzewała, że będzie tak siedzieć z Matthew Swiftem. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie i podał jej mały kieliszek wypełniony gęstym, śliwkowoczerwonym płynem.

Zaskoczona Daisy wzięła kieliszek, podniosła go do nosa i powąchała z wahaniem.

– Madera – stwierdziła z uśmiechem. – Dziękuję. Choć na świętowanie jeszcze za wcześnie, skoro dziecka wciąż nie ma.

– To nie ma być toast, lecz środek, który pomoże się pani uspokoić.

– Skąd pan wiedział, jakie wino lubię najbardziej?

Wzruszył ramionami.

– Zgadłem.

Ona jednak wiedziała, że to nie był tylko łut szczęścia.

Nie rozmawiali dużo, przede wszystkim siedzieli obok siebie w zgodnym milczeniu.

– Która godzina? – pytała od czasu do czasu Daisy, a wtedy Matthew wyjmował zegarek.

Zaintrygowana pobrzękiwaniem, jakie dobywało się przy tym z jego kieszeni, poprosiła, by pokazał jej, co przy sobie nosi.

– Będzie pani rozczarowana. – Swift wyciągnął osobliwą kolekcję drobiazgów. Ułożył wszystko na jej kolanach, a Daisy zaczęła to przeglądać.

– Jest pan gorszy niż chomik – mruknęła z uśmiechem. Znalazła składany scyzoryk, żyłkę wędkarską, kilka monet, stalówkę do pióra, okulary, małą puszkę mydła Bowmanów, a także zwitek woskowanego papieru, w którym był proszek z kory wierzby. Ujęła zwitek pomiędzy palce i zapytała: – Miewa pan migreny, panie Swift?

– Nie. Ale pani ojca często boli głowa, gdy otrzymuje niepomysłne wieści. Zazwyczaj to ja jestem wtedy posłańcem.

Roześmiała się i sięgnęła po małe srebrne pudełko na zapalniczki.

– A skąd zapalniczki? Myślałam, że pan nie pali.

– Nie sposób przewidzieć, kiedy przyda się ogień.

Na widok kompletu wsuwek do włosów uniosła pytająco brwi.

– Spinam nimi dokumenty – wyjaśnił. – Ale przydają się też przy innych okazjach.

W jej głosie pojawiła się żartobliwa nuta.

– Czy jest jakiś wypadek, na który nie jest pan przygotowany, panie Swift?

– Panno Bowman, gdybym miał dość kieszeni, mógłbym uratować świat.

Sposób, w jaki to powiedział – z tęskną arogancją w głosie, która w zamierzeniu miała ją rozbawić – sprawił, że Daisy wyzbyła się resztek rezerwy. Roześmiała się, czując ciepło w całym ciele, choć wiedziała, że jeśli go polubi, nie poprawi swojej sytuacji. Pochyliła głowę i spojrzała na plik kartoników związanych nicią.

– Powiedziano mi, że mam zabrać do Anglii zarówno bilety wizytowe służbowe, jak i prywatne – wyjaśnił jej – choć tak naprawdę nie do końca wiem, na czym polega różnica.

– Nie wolno wręczać biletu służbowego, jeśli składa się wizytę Anglikowi – pouczyła go. – Tutaj jest to uważane za brak taktu... Sugeruje, że przyszedł pan upomnieć się o pieniądze lub coś takiego.

– Zazwyczaj tak właśnie jest.

Uśmiechnęła się. Kolejny przedmiot ją zaintrygował i podniosła go do oczu, by mu się lepiej przyjrzeć.

Guzik.

Zmarszczyła brwi, wpatrując się w wygrawerowany na nim rysunek wiatraka. W guziku za cienką szklaną płytką kryło się też pasemko czarnych włosów podtrzymywane miedzianą obrączką.

Swift zbladł i sięgnął po guzik, lecz Daisy zacisnęła na nim palce.

Puls jej gwałtownie przyspieszył.

– Już to kiedyś widziałam – powiedziała. – To część kompletu. Moja matka kazała uszyć dla ojca kamizelkę z pięcioma guzikami. Na jednym wygrawerowano młyn, na innym drzewo, na jeszcze innym most... Obcięła pasmo włosów każdemu z dzieci i włożyła je do guzików. Pamiętam, jak ucięła mi kosmyk z tyłu głowy, żeby nic nie było widać.

Nie patrząc na nią, Swift zaczął zbierać swoje skarby i metodycznie chować je do kieszeni.

Cisza się przedłużała, a Daisy na próżno czekała na odpowiedź. Wreszcie pociągnęła go za rękaw. Znieruchomiał i spojrzał na jej palce zaciśnięte na materiale surduta.

– Skąd pan go ma? – szepnęła.

Nie odpowiedział, pomyślała nawet, że chyba nigdy tego się nie dowie.

Po długiej chwili milczenia przemówił z łagodną opryskliwością, ten ton chwycił Daisy za serce.

– Pani ojciec nosił tę kamizelkę do biura. Wszyscy ją podziwiali. Pewnego dnia jednak wpadł

w złość, cisnął kałamarzem i przez przypadek ochlapał się atramentem. Zniszczył kamizelkę. Zamiast powiedzieć o tym pani matce, podał kamizelkę mnie i nakazał, żeby się jej pozbyć.

– A pan zatrzymał jeden guzik. – Nie mogła oddychać, czuła ucisk w piersi, a jej serce łomotało dziko. – Wiatrak. To mój guzik. Czy pan... czy pan nosił przy sobie pasmo moich włosów przez te wszystkie lata?

Znów zapadła cisza. Nie poznała odpowiedzi na swoje pytanie, ponieważ nagle dobiegł ją głos Lillian.

– Daisy!

Wciąż ściskając guzik w dłoni, wstała pospiesznie. Swift również się podniósł, wziął ją za rękę i zacisnął palce na nadgarstku. Wyciągnął do niej drugą dłoń i patrzył badawczo.

Uświadomiła sobie, że domaga się zwrotu guzika, i nagle wybuchnęła pełnym niedowierzania śmiechem.

– Należy do mnie – zaprotestowała. Nie dlatego, że chciała mieć ten przeklęty guzik, lecz dlatego, że dziwnie się czuła ze świadomością, iż on posiadał tę niewielką jej część i nosił w kieszeni przez lata. Obawiała się, co to może znaczyć.

Swift nie poruszył się, nic nie powiedział, tylko czekał z niewzruszoną cierpliwością, wreszcie Daisy rozprostowała palce, a guzik upadł mu na dłoń. Schował go szybko do kieszeni niczym zaborczy chomik i uwolnił jej nadgarstek.

Nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia, pobiegła do pokoju siostry. Gdy usłyszała płacz dziecka, jej serce podskoczyło z radości. Tylko kilka kroków dzieliło ją od drzwi, ale dla niej to było jak parę kilometrów.

Przy drzwiach czekała już na nią Annabelle, zmęczona i zdenerwowana, lecz z olśniewającym uśmiechem na twarzy. W ramionach trzymała zawiniątko z czystego płótna i ręczników. Daisy przycisnęła palce do ust i lekko pokręciła głową. Śmiała się, choć czuła pieczenie łez pod powiekami.

– Ojej – powiedziała, wpatrując się w dziecko o gęstych czarnych włosach i czerwonych policzkach.

– Przywitaj się ze swoją siostrzenicą. – Annabelle ostrożnie podała jej maleństwo.

Daisy wzięła dziecko na ręce, zdumiona jego lekkością.

– Lillian...

– Czuje się dobrze – zapewniła ją od razu Annabelle. – Świetnie się spisała.

Przemawiając pieszczotliwie do dziecka, Daisy weszła do pokoju. Lillian opierała się wysoko na poduszkach, miała zamknięte oczy. Wydawała się maleńka w ogromnym łóżku, włosy miała splecione w dwa warkocze, jak u młodej dziewczyny. Westcliff był w pokoju, a minę miał taką, jakby właśnie w pojedynkę stoczył bitwę pod Waterloo.

Weterynarz stał przy umywalni i mył ręce. Uśmiechnął się do Daisy przyjaźnie, a ona odpowiedziała mu tym samym.

– Gratulacje, panie Merritt. Wygląda na to, że może pan dodać nowy gatunek do swojego repertuaru.

Lillian poruszyła się, słysząc jej głos.

– Daisy?

Podeszła do niej z dzieckiem na rękach.

– Och, Lillian, to najpiękniejsze stworzenie, jakie w życiu widziałam.

Lillian uśmiechnęła się sennie.

– Podzielał twoje zdanie. Czy możesz... – urwała, by ziewnąć – pokazać ją matce i ojcu?

– Tak, oczywiście. Jak ma na imię?

– Merritt.

– Dałaś jej imię po weterynarzu?

– Okazał się całkiem pomocny. A Westcliff mi pozwolił.

Hrabia szczerzej otulił żonę narzutą i pocałował w czoło.

– Nadal nie masz dziedzica – szepnęła Lillian, wciąż się uśmiechając. – Chyba musimy postarać się o kolejne.

– Mowy nie ma – mruknął Westcliff ochryple. – Nie zamierzam znów przez to przechodzić.

Rozbawiona Daisy spojrzała na małą, śpiącą słodko w jej ramionach.

– Pokażę Merritt gościom – powiedziała cicho.

Wyszła na korytarz i ze zdumieniem odkryła, że jest pusty.

Matthew Swift zniknął.

Gdy Daisy obudziła się następnego ranka, doniesiono jej, że pan Hunt i lord St. Vincent bezpiecznie wrócili do Stony Cross Park. St. Vincent utknął po drodze, ponieważ południowy trakt okazał się nieprzejezdny, pan Hunt miał więcej szczęścia. Znalazł lekarza w sąsiedniej wiosce, lecz ten odmówił podróży w taką pogodę. Hunt musiał się bardzo postarać, by go przekonać. Gdy wreszcie zjawili się w Stony Cross Manor, lekarz zbadał Lillian i Merritt, po czym oświadczył, że obie są w doskonałej kondycji. Dodał, że dziecko jest małe, ale bardzo foremne i ma idealnie wykształcone płuca.

Goście powitali nowinę o porodzie z rezerwą, spodziewano się chłopca. Widząc jednak minę Westcliffa, gdy trzymał w ramionach córeczkę i obiecywał szeptem, że kupi jej kucyki, zamki i całe królestwa, Daisy wiedziała, że nie mógłby być szczęśliwszy, nawet gdyby Merritt okazała się chłopcem.

Tego poranka zasiadła do śniadania z Evie, czując w sobie osobliwą mieszaninę emocji. Poza wzruszeniem z powodu narodzin siostrzenicy i ulgą, że Lillian uniknęła powikłań, czuła też... zdenerwowanie. Zawroty głowy. Radość.

A wszystko to z powodu Matthew Swifta.

Dobrze, że jeszcze tego dnia się nie spotkali. Po odkryciach poczynionych poprzedniej nocy nie była pewna swojej reakcji.

– Evie – szepnęła ukradkiem – muszę z tobą porozmawiać. Pójdiesz ze mną na spacer do ogrodu?

– Na szczęście burza już przeszła, a blade promienie słońca przedzierały się przez chmury.

– Oczywiście. Choć ze względu na błoto wolałabym...

– Będziemy się trzymać utwardzonych ścieżek. Ale musimy stąd wyjść. Mam zbyt osobistą sprawę, by omawiać ją w domu.

Evie zrobiła wielkie oczy, po czym dopiła herbatę tak szybko, że niemal oparzyła sobie język.

W ogrodzie pozostały ślady po burzy – wszędzie leżały liście i zielone pączki, gałęzie i grubsze konary. W powietrzu unosił się za to zapach wilgotnej ziemi i mokrych od deszczu płatków kwiatów. Wdychając głęboko ożywczy aromat, przechadzały się po żwirowej ścieżce. Otuliły ramiona szalami, by chronić się przed wiatrem, popychał je bowiem z niecierpliwością charakterystyczną dla małego dziecka pragnącego, by przyspieszyły kroku.

Daisy odczuła ogromną ulgę, gdy zwierzyła się ze wszystkiego Evie. Opowiedziała jej między innymi o pocałunku, a zakończyła znalezieniem guzika w kieszeni Swifta. Evie potrafiła słuchać jak nikt, być może dlatego, że sama musiała zмагаć się z jękami.

– Nie wiem, co mam myśleć. – Daisy westchnęła ciężko. – Nie wiem właściwie, co czuję. Nie wiem, dlaczego pan Swift wydaje mi się teraz inny niż kiedyś, nie wiem, dlaczego mnie tak pociąga. O wiele łatwiej było go nienawidzić. Ale gdy zobaczyłam wczoraj ten przeklęty guzik...

– Nigdy dotąd nie przyszło ci do głowy, że może żywić do ciebie jakieś uczucia – szepnęła Evie.

– Właśnie.

– Daisy... To możliwe, by jego czyny wynikały z wyrachowania? I że cię zwodzi, a g-guzik w jego kieszeni to jakaś sztuczka?

– Nie. Gdybyś tylko mogła zobaczyć jego minę. Rozpaczliwie starał się to przede mną ukryć. Och, Evie... – Kopnęła kamyk na ścieżce. – Dręczy mnie straszliwe podejrzenie, że Matthew Swift uosabia wszystko, czego mogłabym pragnąć, będąc w związku z mężczyzną.

– Ale jeśli go poślubisz, zabierze cię do Nowego Jorku – zauważyła Evie.

– Tak, na pewno, ale ja nie mogę wyjechać. Nie chcę żyć z dala od siostry i od was. Kocham Anglię... Tutaj czuję się bardziej sobą niż w Nowym Jorku.

Evie się zamyśliła.

– A gdyby pan Swift zgodził się rozważyć p-przeprowadzkę tutaj na stałe?

– To niemożliwe. W Nowym Jorku ma większe możliwości. Gdyby został tutaj, już zawsze działałoby na jego niekorzyść, że nie jest arystokratą.

– Ale gdyby zechciał spróbować...

– Nawet wtedy nie mogłabym się stać taką żoną, jakiej by potrzebował.

– Musicie odbyć szczerą rozmowę – zawyrokowała Evie. – Pan Swift to dojrzały, inteligentny mężczyzna... Na pewno nie spodziewa się, że staniesz się kimś, kim nie jesteś.

– Czcze gadanie – mruknęła Daisy ponuro. – Dał mi jasno do zrozumienia, że nigdy mnie nie poślubi. Wprost mi to powiedział.

– Nie chce ożenić się z tobą czy sprzeciwia się samej idei małżeństwa?

– Nie wiem. Wiem tylko, że musi coś do mnie czuć, skoro nosi pasmo moich włosów w kieszeni. – Na myśl o tym, jak zaborczo zacisnął palce na guziku, poczuła przelotny, lecz nie nieprzyjemny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. – Evie – zapytała – kiedy wiadomo, że kogoś kochasz?

Przyjaciółka zastanawiała się nad odpowiedzią, gdy mijały niski żywopłot okalający rabatę, gdzie rosły wielobarwne prymule.

– Pewnie teraz chciałabyś usłyszeć coś mądrego i pomocnego – mówiła z kpiącym uśmiechem – ale moja sytuacja różniła się od twojej, Daisy. Nie spodziewaliśmy się z St. Vincentem miłości. Spadła na nas znienacka.

– Tak, ale skąd wiedziałaś, że to miłość?

– Uświadomiłam sobie w chwili, kiedy postanowił oddać za mnie życie. Chyba nikt, nawet on sam, nie wierzył, że jest zdolny do takiej ofiary. To mnie nauczyło, że możesz zakładać, iż dobrze kogoś znasz... ale ta osoba m-może cię zaskoczyć. Miałam wrażenie, że wszystko zmieniło się w jednej chwili... Nagle stał się dla mnie najważniejszy na świecie. Nie, nie najważniejszy... Niezbędny. Och, tak bardzo chciałabym mieć łatwość w posługiwaniu się słowami...

– Rozumiem – zapewniła ją Daisy, choć wcale nie była tego pewna. Ogarnęła ją melancholia. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła pokochać w ten sposób mężczyznę. Może za dużo emocji

zaangażowała w relację z siostrą i przyjaciółkami... Może nie zostało ich już dla nikogo więcej.

Podeszły do rzędu wysokich jałowców, które oddzielały je od ścieżki prowadzącej wzdłuż ściany posiadłości. Już miały wyjść zza krzewów, gdy nagle usłyszały męskie głosy. Panowie nie rozmawiali głośno. Chyba celowo zniżyli głos, co znaczyło, że omawiają coś w tajemnicy... Czyli że temat jest intrygujący. Daisy przystanęła i gestem nakazała Evie, by też się zatrzymała.

– ...nie wygląda mi na potencjalną wieloródkę... – mówił jeden z mężczyzn.

Jego rozmówca zareagował na te słowa cichym, lecz zapalczywym sprzeciwem.

– Nieśmiała? Do diabła, ta kobieta ma w sobie dość śmiałości, by wspiąć się na Mont Blanc ze scyzorykiem i kłębkami nici. Jej dzieci będą diabłami wcielonymi.

Daisy i Evie wymieniły zdumione spojrzenia. Od razu rozpoznały oba głosy – należały do lorda Llandrindona i Matthew Swifta.

– Czyżby? – mruknął Llandrindon sceptycznie. – Moim zdaniem ona to raczej mól książkowy. Sawantka.

– Owszem, kocha książki. Ale tak się składa, że kocha również przygody. Cechuje ją wspaniała wyobraźnia, której towarzyszy pasja życia i żelazne zdrowie. Nie znajdziesz drugiej takiej ani po swojej, ani po mojej stronie Atlantyku.

– Nie zamierzam szukać po twojej stronie – odparł Llandrindon sucho. – Angielki posiadają wszystkie cechy, jakie pragnę widzieć w żonie.

Rozmawiając o mnie, uświadomiła sobie Daisy i ze zdumienia otworzyła usta. Czuła się rozdarta pomiędzy zachwytem, że Matthew Swift tak dobrze się o niej wyraża, a oburzeniem, że próbuje ją sprzedać Llandrindonowi, jakby była butelką opatentowanego leku w asortymencie domokrażcy.

– Mnie jest potrzebna żona opanowana – kontynuował Llandrindon – skromna, spokojna...

– Spokojna? A nie lepiej, by była naturalna i inteligentna? Nie wolałbyś dziewczyny na tyle pewnej siebie, by nie musiała naśladować jakiegoś bezbarwnego ideału uległej kobiecości?

– Mam pytanie – wtrącił Llandrindon.

– Tak?

– Jeśli jest taka wspaniała, dlaczego sam się z nią nie ożenisz, do cholery?

Daisy wstrzymała oddech i nadstawiła ucha, pragnąc usłyszeć odpowiedź Swifta. Jałowce zagłuszyły jednak dalszą rozmowę.

– Do diaska. – Ruszyła powoli w stronę ścieżki.

Evie szarpnęła ją za rękę.

– Nie – szepnęła ostro. – Nie wystawiaj na próbę naszego szczęścia, Daisy. To cud, że dotąd nas nie zauważyli.

– Ale ja chciałam usłyszeć resztę!

– Ja też. – Spojrzały na siebie, szeroko otwierając oczy. – Daisy... – dodała Evie ze zdumieniem – wydaje mi się, że Matthew Swift jest w tobie zakochany.

ROZDZIAŁ 10

Daisy nie sądziła, by wzmianka o tym, że Matthew Swift jest w niej zakochany, mogła wywrócić cały jej świat do góry nogami. Ale tak się właśnie stało.

– Jeśli jest – szepnęła drżącym głosem – dlaczego z taką determinacją stara się mnie wyswatać z lordem Llandrindonem? Mógłby przecież z łatwością doprowadzić do realizacji planu mojego ojca. Za co zostałby hojnie wynagrodzony. Jeśli do tego wszystkiego naprawdę mu na mnie zależy, co go powstrzymuje?

– Może pragnie się najpierw upewnić, że ty również go kochasz? – zastanawiała się Evie głośno.

– Nie, umysł pana Swifta nie pracuje w ten sposób, raczej tak, jak umysł mojego ojca. To ludzie interesów. Drapieżcy. Gdyby pan Swift mnie pragnął, nie pytałby mnie o pozwolenie, tak jak lew nie pyta antylopy, czy zgodziłaby się zostać jego kolacją.

– Myślę, że powinniście szczerze porozmawiać.

– Och, pan Swift będzie unikał rozmowy i wykręcał się od odpowiedzi, jak dotychczas. Chyba że...

– Chyba że?

– Gdyby udało mi się znaleźć jakiś sposób, aby się przede mną odstąpił. Gdybym mogła zmusić go do szczerego wyznania uczuć, jeśli takowe wobec mnie żywi...

– A jak zamierzasz to osiągnąć?

– Nie wiem. Do diaska, Evie, znasz mężczyzn sto razy lepiej niż ja. Przecież jesteś żoną jednego z nich. Otaczają cię w klubie. Twoim zdaniem, jak najszybciej można doprowadzić mężczyznę do takiej wściekłości, by wyznał coś, czego wyznać nie chce?

Zachwycona wizerunkiem siebie jako kobiety światowej przez chwilę rozważała pytanie.

– Najlepiej chyba obudzić w nim zazdrość. Widziałam szarmanckich dżentelmenów, którzy walczyli jak zwierzęta w alejce za klubem o w-względy dam.

– Hm. Zastanawiam się, czy w panu Swifcie da się obudzić zazdrość.

– Myślę, że tak – zapewniła przyjaciółkę Evie. – Przecież to mężczyzna.

Po południu Daisy zdybała w bibliotece lorda Llandrindona, który przyszedł odłożyć książkę na półkę.

– Dzień dobry, milordzie – powitała go wesoło, udając, że nie zauważa błysku przerażenia w jego oczach. Ukryła uśmiech na myśl, że po kampanii przeprowadzonej w jej imieniu przez Matthew Swifta biedak musi się czuć jak lis schwyty w pułapkę.

Llandrindon szybko jednak doszedł do siebie i uśmiechnął się uprzejmie.

– Dzień dobry, panno Bowman. Czy mogę zapytać, jak się czują pani siostra i dziecko?

– Obie czują się dobrze, dziękuję. – Podeszła bliżej i spojrzała na książkę w jego dłoni. – *Historia kartografii militarnej*. Cóż. Tytuł... hm, intrygujący.

– Och, i taka jest książka – zapewnił Llandrindon. – A także wspaniale pouczająca. Choć obawiam

się pewnych błędów w przekładzie. Należy przeczytać tę pozycję w niemieckim oryginale, aby w pełni docenić jej znaczenie dla nauki.

– Czytuje pan powieści, milordzie?

Zrobił taką minę, jakby pytanie go oburzyło.

– Och, nigdy nie czytuję powieści. Od dzieciństwa byłem uczony, że należy czytać tylko takie książki, które rozwijają umysł lub wzmacniają charakter.

Jego protekcjonalny ton wzbudził w niej irytację.

– Okropne – mruknęła pod nosem.

– Hm?

– Podziwu godne – poprawiła się szybko, udając, że studiuje grawerunki na skórzanej oprawie. Posłała wicehrabiemu skromny uśmiech. – Jest pan zapalonym czytelnikiem, milordzie?

– Staram się nie zapalać do niczego. „Umiar przede wszystkim” to moje życiowe motto.

– Ja nie kieruję się w życiu żadnym mottem. Gdybym sobie jakieś wybrała, natychmiast pewnie zaczęłabym postępować wbrew niemu.

Roześmiał się cicho.

– Przyznaje się pani do zmiennej natury?

– Wolę myśleć, że jestem otwarta na nowości. Dostrzegam mądrość w różnorodnych przekonaniach.

– Ach.

Nie musiał nic mówić, czuła bowiem, że czyta mu w myślach – swoją tak zwaną otwartością sprawiła, że w jego oczach wypada w niekorzystnym świetle.

– Bardzo chciałabym porozmawiać o innych pańskich mottach, milordzie. Może podczas spaceru w ogrodzie?

– Ja... Hm... – Był zaszokowany jej śmiałością, to niedopuszczalne, by dziewczyna zapraszała dżentelmena na spacer do ogrodu zamiast na odwrót. Szarmanckość nie pozwalała jednak Llandrindonowi odmówić. – Oczywiście, panno Bowman. Może jutro...

– Najlepiej teraz – wtrąciła wesoło.

– Teraz – padła słaba odpowiedź. – Tak. Cudownie.

Ujęła wicehrabiego pod ramię, zanim zdołał jej to zaproponować, po czym pociągnęła go do drzwi.

– Chodźmy.

Nie mając innego wyboru, pozwolił się prowadzić przebojowej młodej damie. Po paru minutach byli już na schodach prowadzących z tylnego tarasu na trawnik.

– Milordzie – zaczęła Daisy. – Muszę coś panu wyznać. Ukułam pewien spisek i mam nadzieję, że pan pomoże mi w jego realizacji.

– Pewien spisek – wychrypiął z przerażeniem. – Ja mam pomóc. Cóż. To znaczy, hm...

– Nic strasznego, oczywiście – kontynuowała Daisy. – Postanowiłam zachęcić pewnego dżentelmena do zalotów, on chyba ma co do tego pewne obiekcje.

– Obiekcje? – powtórzył Llandrindon piskliwie.

Daisy imponowała jego inteligencją, ale zmieniła o nim zdanie, gdy okazało się, że wicehrabia potrafi tylko powtarzać jej słowa jak papuga.

– Tak, obiekcje. Mam jednak wrażenie, że za fasadą niechęci kryje się inne uczucie.

Llandrindon, zazwyczaj uosobienie gracji, teraz potknął się na nierównej ścieżce.

– Skąd... skąd takie wrażenie, panno Bowman?

– Tak mi podpowiada kobieca intuicja.

– Panno Bowman – wyjąkał – jeśli powiedziałem lub uczyniłem coś, co obudziło w pani błędne przekonanie, że ja... że ja...

– Nie mówię o panu – ucięła.

– Nie? A o kim...

– Miałam na myśli pana Swifta.

Nagła radość Llandrindona była wręcz namacalna.

– Pan Swift. Tak. Tak. Panno Bowman, on nie mógł się dzisiaj pani nachwalić... Nie, żebym nie zgadzał się z jego opinią o pani, rzecz jasna.

Uśmiechnęła się.

– Obawiam się, że pan Swift nie zdecyduje się na pierwszy krok, dopóki coś go do tego nie zmusi. Gdyby zgodził się pan udawać, że faktycznie się mną interesuje... może przejażdżka powozem, spacer, taniec lub dwa... Może to popchnęłoby pana Swifta do deklaracji.

– Z radością pani pomogę – oświadczył Llandrindon. Jak widać, wolał być spiskowcem niż obiektem matrymonialnych zapędów. – Zapewniam panią, panno Bowman, że bardzo przekonująco potrafię udawać zaloty.

– Proszę, byś opóźnił o tydzień swój wyjazd.

Matthew, który właśnie spinał wsuwką pięć kartek papieru, drgnął, bo wbił sobie ostro zakończony kawałek metalu w palec. Wyjął go, zignorował kroplę krwi na skórze i spojrzał na Westcliffa, nic nie rozumiejąc. Ten człowiek zamknął się z żoną i córką w pokoju na trzydzieści sześć godzin, po czym nagle wyłonił się z niebytu w przeddzień wyjazdu Matthew do Bristolu i zaczął wydawać bezsensowne rozkazy.

Z trudem nad sobą zapanował.

– Czy mogę zapytać o powód, milordzie?

– Postanowiłem ci towarzyszyć. A mój grafik nie zezwala na wyjazd jutro rano.

Z tego, co wiedział Matthew, obecnie dla hrabiego najważniejsza była rodzina.

– Nie ma potrzeby, by jechał pan ze mną – oświadczył, urażony sugestią, że sam sobie nie poradzi.

– Znam się lepiej niż ktokolwiek inny na różnych aspektach tego biznesu i na tym, co będzie potrzebne...

– Niemniej jesteś obcokrajowcem – oświadczył Westcliff z nieprzeniknioną miną. – A moje nazwisko otworzy przed tobą drzwi, które inaczej pozostałyby zamknięte.

– Jeśli wątpi pan w moją umiejętność negocjacji...

– Nie o to chodzi. Pokładam całkowitą wiarę w twoje umiejętności, w Ameryce na pewno by wystarczyły. Tutaj jednak, biorąc pod uwagę skalę przedsięwzięcia, potrzebny ci będzie patronat kogoś wysoko postawionego. Kogoś takiego jak ja.

– Nie żyjemy w średniowieczu, milordzie. Prędzej skonam, niż zacznę uciekać się do jarmarcznych sztuczek, żeby ubić interes.

– Mnie również to się nie podoba – mruknął Westcliff. – Zwłaszcza że niedawno urodziła mi się córka, a moja żona jeszcze nie doszła do siebie po porodzie. Ale takie są realia.

– Nie mogę czekać tydzień – powiedział Matthew twardo, nie kryjąc złości. – Już poumawiałem spotkania ze wszystkimi, od zarządcy portu do przedstawicieli miejscowej sieci wodociągowej...

– W takim razie trzeba przełożyć.

– Jeśli uważa pan, że nie będzie skarg...

– Wieść o tym, że będę ci towarzyszył, na pewno uciszy skargi.

W ustach każdego innego człowieka zabrzmiałoby to arogancko. Westcliff natomiast tylko stwierdzał fakt.

– Pan Bowman wie o tym? – zapytał Matthew.

– Tak. I wysłuchawszy mojej opinii w tej sprawie, zgodził się.

– A co ja mam tutaj robić przez cały tydzień?

Hrabia uniósł ciemną brew w geście człowieka, którego gościnności nikt nie ośmielił się dotąd kwestionować. Ludzie w każdym wieku, każdej narodowości i z każdej grupy społecznej błagali o zaproszenie do Stony Cross Park. Matthew był zapewne jedynym człowiekiem w Anglii, który się z takiego wyróżnienia nie cieszył.

Nie dbał o to. Za długo już musiał obywać się bez pracy – męczyły go próżniacze rozrywki, błahe pogawędki, piękne krajobrazy, świeże wiejskie powietrze, spokój i cisza. Chciał coś robić, do diabła. Tęsknił za pachnącym węglem miastem i ulicznym hałasem.

Nade wszystko jednak pragnął uciec jak najdalej od Daisy Bowman. Cierpiał fizyczne męki, miał ją tak blisko i nie mógł dotknąć. Nie potrafił traktować jej z chłodną uprzejmością, gdy marzył tylko o tym, by wziąć Daisy w ramiona, uwieść i obsypać pocałunkami. A to był dopiero początek. Pragnął spędzać z nią sam na sam całe godziny, dni, tygodnie... Pragnął wszystkich jej myśli, uśmiechów i sekretów. Pragnął złożyć swą duszę u jej stóp.

To wszystko było jednak niemożliwe.

– W posiadłości i okolicach można znaleźć wiele rozrywek – odpowiedział Westcliff na jego pytanie. – Jeśli pragniesz kobiecego towarzystwa, sugeruję wycieczkę do karczmy we wsi.

Matthew słyszał już przechwałki innych dżentelmenów o wieczorach poświęconych na hulanki w towarzystwie dwóch hojnie obdarzonych przez naturę dziewczek pracujących w oberży. Gdyby tylko mogło go zadowolić coś tak prostego. Postawna wiejska dziewczka zamiast kuszącej czarodziejki, która rzuciła urok na jego umysł i serce.

Miłość miała w założeniu być szczęśliwa i beztraska. Jak wszystkie te wierszyki na kartkach walentynkowych ozdobionych piórami, farbami i koronką. On jednak czuł coś zupełnie innego. Udrękę, gorączkę, desperację... Uzależnienie, od którego nie potrafił się uwolnić.

Była to czysta lekkomyślna żądza. A on przecież uważał, że jest dojrzałym, poważnym mężczyzną.

Wiedział, że jeśli zostanie w Stony Cross, wydarzy się coś strasznego.

– Jadę do Bristolu – zadeklarował rozpaczliwie. – Przełożę spotkania. Nie zrobię nic bez pańskiego pozwolenia. Ale zdołam przynajmniej zebrać informacje... Odwiedzę miejscową firmę transportową, rzucę okiem na ich konie...

– Swift – przerwał mu hrabia. W jego spokojnym głosie pojawiła się nuta sympatii, a może współczucia, która sprawiła, że Matthew zeszytniał. – Rozumiem, co stoi za twoim pragnieniem wyjazdu...

– Nic pan nie rozumie.

– Rozumiem więcej, niż podejrzewasz. Z mojego doświadczenia wynika jednak, że nie rozwiążesz tego problemu, unikając go. Nie zdołasz uciec.

Matthew znieruchomiał i wbił wzrok w Westcliffa. Hrabia miał zapewne na myśli raczej Daisy niż jego niechlubną przeszłość. Tak czy inaczej zapewne się nie mylił.

Nie, żeby to cokolwiek zmieniło.

– Czasami ucieczka to jedyny wybór – odparł szorstko, po czym wyszedł z pokoju, nie oglądając

się za siebie.

Jak się okazało, Matthew nie wyjechał do Bristolu. Wiedział, że pożałuje tej decyzji... nie podejrzewał jednak nawet, jak bardzo.

Kolejne dni miał zapamiętać do końca życia jako tydzień niewyobrażalnych męczarni.

W dzieciństwie wiele przeżył – poznał ból fizyczny, niedostatek, głód i przeszywający strach. Nic jednak nie mogło równać się z agonią, którą czuł, widząc, jak lord Llandrindon zaleca się do Daisy Bowman.

Ziarno, które zasiał w umyśle Llandrindona, opowiadając mu o zaletach Daisy, z powodzeniem wypuściło korzenie. Hrabia towarzyszył Daisy bezustannie, rozmawiał z nią, flirtował, błędził oczami po jej ciele z obelżywą bezpośredniością. A Daisy wydawała się nim równie zainteresowana – wsłuchiwała się w każde jego słowo i rzucała wszystko, gdy tylko się pojawił.

W poniedziałek wybrali się na piknik.

We wtorek udali się na wycieczkę powozem.

W środę zbierali razem dzwonki.

W czwartek łowili ryby w jeziorze. Wrócili mokrzy i opaleni, śmiejąc się z żartu, którym z nikim się nie podzielili.

W piątek tańczyli razem na improwizowanym wieczorku muzycznym – wyglądali na tak dobraną parę, że jeden z gości zauważył, iż to przyjemność patrzeć na nich.

W sobotę Matthew obudził się owładnięty żądzą mordy.

Jego nastrój wcale się nie poprawił, gdy Thomas Bowman mruknął kwaśno po śniadaniu:

– On wygrywa.

Zaciągnął go do gabinetu na rozmowę na osobności.

– Ten szkocki łajdak Llandrindon codziennie spędza z Daisy długie godziny, emanuje czarem i plecie te wszystkie bzdury, których kobiety lubią słuchać. Jeśli kiedykolwiek zamierzałeś poślubić moją córkę, twoje szanse spadły właśnie niemal do zera. Wychodziłeś z siebie, żeby jej unikać, byłeś małomówny i chłodny, przez cały tydzień miałeś taką minę, jakbyś lubił straszyć dzieci i zwierzęta. Twoje podejście do uwodzenia potwierdza wszystko, co słyszałem o bostończykach.

– Może Llandrindon to dla niej najlepsza partia – oświadczył Matthew sztywno. – Wygląda, że darzą się uczuciem.

– Tu nie chodzi o uczucie, lecz o małżeństwo! – Czubek głowy Bowmana poczerwieniał. – Rozumiesz, co leży na szali?

– Poza pieniędzmi?

– A co jeszcze się liczy?

Zerknął kpiąco na swego mentora.

– Serce pańskiej córki? Jej szczęście? Jej...

– Bzdura! Ludzie nie pobierają się dla szczęścia. A jeśli nawet, szybko odkrywają, że to wszystko mrzonki.

Pomimo ponurego nastroju Matthew uśmiechnął się lekko.

– Jeśli miał pan zamiar obudzić we mnie pragnienie wstąpienia w związek małżeński – powiedział – ponosi pan sromotną porażkę.

– A to cię nie przekonuje? – Bowman sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął z niej błyszczącego srebrnego dolara i go podrzucił. Moneta, zataczając łuk, poszybowała w stronę Matthew. Odruchowo

złapał ją i zamknął w dłoni. – Ożeń się z Daisy – dodał Bowman – a dostaniesz tego więcej. Więcej, niż zdołasz za życia wydać.

Gdy od progu rozległ się głos, obaj odwrócili głowy w tamtą stronę.

– Uroczę.

Była to Lillian w różowej sukni dziennej i szalu na ramionach. Patrzyła na ojca z niemal nieskrywaną nienawiścią, jej oczy pociemniały niczym obsydiany.

– Czy ktokolwiek w twoim życiu jest dla ciebie kimś więcej niż tylko pionkiem, ojczu? – zapytała kwaśno.

– To męska rozmowa – zripostował Bowman, oblewając się rumieńcem z powodu poczucia winy, gniewu lub kombinacji tych dwóch czynników. – Ciebie to nie dotyczy.

– Ale dotyczy Daisy – odparła Lillian lodowatym tonem. – Prędeż zabiję was obu, niż pozwolę, byście ją unieszczęśliwili. – Zanim ojciec zdołał odpowiedzieć, odwróciła się i poszła dalej.

Przeklinając, Bowman opuścił pokój i udał się w przeciwną stronę.

A Matthew, który został sam, cisnął monetę na biurko.

– Tyle trudu dla mężczyzny, który ma to w nosie – mruknęła do siebie Daisy, w myślach obrzucając Matthew Swifta obelgami.

Llandrindon siedział parę metrów dalej na brzegu ogrodowej fontanny i trwał nieruchomo, podczas gdy ona szkicowała jego portret. Nigdy nie była szczególnie uzdolniona w tym kierunku, lecz powoli zaczynało brakować jej propozycji wspólnych rozrywek.

– Słucham? – zawołał szkocki lord.

– Powiedziałam, że ma pan piękne włosy!

Llandrindon był doprawdy bardzo miły, uprzejmy, przeciętny i boleśnie konwencjonalny. Daisy naszała ponura refleksja, że próbując doprowadzić Matthew Swifta do szaleństwa zazdrością, osiągnęła tylko tyle, że niemal sama oszalała z nudów.

Przerwała rysowanie, by unieść dłoń do ust i ukryć ziewnięcie, choć cały czas starała się sprawiać wrażenie pochłoniętej szkicowaniem.

Miała za sobą najokropniejszy tydzień swojego życia. Dzień po dniu śmiertelnej nudy i udawania, że cieszy się towarzystwem mężczyzny, który nie mógłby jej mniej interesować. Nie była to wina Llandrindona – naprawdę się starał – ale Daisy uświadomiła sobie, że absolutnie nic ich nie łączy i nigdy by nie połączyło.

Hrabiemu to jednak wcale nie przeszkadzało. Potrafił godzinami rozmawiać o niczym. Mógłby zapełnić szpalty gazet plotkami o ludziach, których Daisy nigdy nie spotkała. Wdawał się w długie przemowy na temat poszukiwania idealnego koloru do pokoju myśliwskiego w swojej posiadłości w Thurso i w męczące opisy kursów, które przechodził w szkole. Żadna z tych historii nie miała najmniejszego sensu.

Nie interesowało go też, co ma do powiedzenia Daisy. Nie śmiał się, gdy opowiadała, jakie psikusy płatały w dzieciństwie z Lillian, a jeśli zachęcała go, by przyjrzał się chmurze, która wygląda jak kogut, zerkał na nią tak, jakby postradała rozum.

Nie lubił też rozmawiać o prawach dla biedoty ani gdy Daisy kwestionowała jego rozróżnienie pomiędzy „biedotą, która na coś zasługuje”, a „biedotą, która jest nic niewarta”.

– Wydaje mi się, milordzie – skwitowała – że to prawo powstało, by ukarać ludzi, którzy najbardziej potrzebują pomocy.

– Niektórzy cierpią biedę, ponieważ dokonują wyborów powodowani własną słabością moralną i dlatego nie sposób im pomóc.

– Na przykład kobiety upadłe? A jeśli nie mają one żadnego innego...

– Nie będę z panią rozmawiał o kobietach upadłych – przerwał jej z przerażoną miną.

Konwersacje z nim w najlepszym wypadku można by nazwać bezsensownymi. Zwłaszcza że nie potrafił nadażyć za Daisy, która szybko przeskakiwała z tematu na temat. Zdarzało się, że dawno skończyła o czymś mówić, gdy on ciągle jeszcze o to dopytywał.

– Myślałem, że wciąż rozmawiamy o pudlu pani ciotki – mruknął skonsternowany pewnego ranka.

– Nie, skończyliśmy tę rozmowę pięć minut temu. Teraz opowiadam panu o wizycie w operze – odparła z irytacją.

– Ale jak to możliwe, że od pudła przeszliśmy do opery?

Żałowała, że to jego poprosiła o pomoc w realizacji swojego planu, jak widać całkowicie nieskutecznego. Matthew Swift nie okazał nawet cienia zazdrości – przez cały czas ukrywał się za swoją granitową fasadą, nawet na Daisy nie patrząc.

– Czemu marszczysz brwi, moja słodka? – Llandrindon wpatrywał się w jej twarz.

Moja słodka? Nigdy jeszcze nie zwracał się do niej tak pieszczotliwie. Zerknęła na niego znad szkicownika. Spojrzenie hrabiego wzbudziło w niej niepokój.

– Proszę nic nie mówić – powiedziała oschle. – Właśnie szkicuję pański podbródek.

Koncentrując się na rysunku, doszła do wniosku, że wcale nie jest taki zły... ale zaraz, czy głowa wicehrabiego naprawdę jest taka jajowata? A jego oczy tak blisko osadzone? Jakie to dziwne, że człowiek na pozór jest atrakcyjny, ale jeśli przyjrzeć mu się bliżej, jego urok blednie. Uznała, że portrety nie są jej mocną stroną. Od teraz będzie wierna martwym naturom.

– Ten tydzień wywarł na mnie osobliwy wpływ – rozmyślał głośno Llandrindon. – Czuję się... inaczej.

– Jest pan chory? – zapytała Daisy z troską, zamykając szkicownik. – Przepraszam, przeze mnie za długo siedział pan na słońcu.

– Nie, nie to miałem na myśli. Chciałem powiedzieć, że czuję się... wspaniale. – Znowu posłał jej to osobliwe spojrzenie. – Lepiej niż kiedykolwiek dotąd.

– Zapewne służy panu świeże wiejskie powietrze. – Wstała, otrzepała spódnicę i podeszła do niego. – Wiadomo, że działa bardzo ożywczo.

– Nie wiejskie powietrze działa na mnie ożywczo – powiedział Llandrindon niskim głosem – lecz pani, panno Bowman.

Otworzyła usta.

– Ja?

– Pani. – Wstał i położył dłonie na jej ramionach.

– Ja... ja... Milordzie... – wyjąkała oszołomiona.

– Te kilka dni w pani towarzystwie skłoniły mnie do głębokiej refleksji.

Rozejrzała się bacznie, próbując dojrzeć, czy ktoś skrywa się w schludnie przyciętych krzewach lub pomiędzy pnączami róż.

– Pan Swift się zbliża? – szepnęła. – Dlatego mówi pan w taki sposób?

– Nie, przemawiam w swoim imieniu. – Przyciągnął Daisy do siebie z takim zapałem, że zgniótł szkicownik w jej dłoniach. – Otworzyła mi pani oczy, panno Bowman. Dzięki pani postrzegam wszystko zupełnie inaczej. Pragnę szukać chmur o dziwacznym kształcie i robić rzeczy, o których

warto napisać wiersz. Chcę czytać powieści. Chcę, by moje życie stało się przygodą...

– To bardzo miło. – Próbowwała się uwolnić z jego objęć.

– Z panią.

O nie.

– Pan żartuje – szepnęła słabo.

– Jestem oczarowany.

– Jestem zajęta.

– Jestem zdeterminowany.

– A ja... zaskoczona.

– Moja słodka! – zawołał. – Jesteś dokładnie taka, jak mówił. Magia. Błyskawice owinięte w tęcze. Jesteś mądra, urocza i godna pożądania...

– Chwileczkę. – Wbiła w niego zdumione spojrzenie. – Matt... To znaczy, pan Swift tak powiedział? – Z wrażenia upuściła szkicownik.

– Tak, tak, tak...

Zanim zdołała poruszyć się, dodać coś lub chociaż odetchnąć, Llandrindon zamknął jej usta pocałunkiem.

Pozostała obojętna w jego uścisku, zastanawiając się, czy cokolwiek poczuje.

Obiektywnie, pocałunek był poprawny. Nie okazał się ani suchy, ani też zbyt mokry. Ani za miękki, ani za mocny. Był po prostu...

Nudny.

Do diaska. Odsunęła się i zmarszczyła brwi. Obwiniła siebie, że tak mało radości przyniósł jej ten pocałunek. A jeszcze większe wyrzuty sumienia wywołała w niej świadomość, że Llandrindonowi spodobał się bardzo.

– Moja droga panno Bowman – wymruczał uwodzicielsko. – Nie mówiła mi pani, że tak słodko smakuje.

Kiedy znów wyciągnął ku niej ręce, krzyknęła cicho, cofając się.

– Milordzie, proszę się opanować!

– Nie mogę! – Szedł za nią powoli wokół fontanny, aż zaczęli przypominać parę okrążających się kotów. Nagle przyspieszył i złapał ją za rękaw sukni. Daisy odepchnęła go mocno, wykręciła się i poczuła, że delikatny biały muślin pęka na szwie ramienia.

Rozległ się głośny plusk, a ona poczuła krople wody na skórze.

Mrugając z konsternacją, spojrzała na miejsce, w którym stał Llandrindon, a potem zakryła oczy dłońmi jak ktoś, kto pragnie, by wszystko wokół niego zniknęło.

– Milordzie? – odezwała się z wahaniem. – Czy pan... czy pan właśnie wpadł do fontanny?

– Nie – usłyszała. – To pani mnie do niej wepchnęła.

– Zapewniam pana, że nie miałam takiego zamiaru. – Zmusiła się, by na niego spojrzeć.

Llandrindon wstał, ociekając wodą. Miał mokre włosy, ubranie, chlupotało mu w kieszeniach. Zimny prysznic ostudził jego namiętność.

W milczeniu wpatrywał się w nią z urazą. Nagle szeroko otworzył oczy, sięgając niepewnie do ciężkiej od wody kieszeni. Wskoczyła z niej mała żaba i z cichym pluskiem zanurkowała w fontannie.

Daisy próbowała się nie roześmiać, lecz im bardziej się starała, tym okazywało się to trudniejsze, wreszcie wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

– Przepraszam – wysapała, przyciskając dłonie do ust. – Tak bardzo... O Boże... – Pochyliła się i niemal płakała ze śmiechu.

Napięcie powoli opadało, Llandrindon sam zaczął się niechętnie uśmiechać. Wszedł z fontanny, ociekając wodą.

– Podobno gdy pocałuje się żabę – mruknął – ta zamienia się w księcia. Niestety, widać w moim wypadku nie podziałało.

Daisy poczuła przypływ współczucia i sympatii, nawet jeśli jeszcze kilka razy parsknęła śmiechem. Podeszła do niego ostrożnie, objęła jego mokrą twarz dłońmi i wycisnęła na jego ustach przyjacielski, przelotny pocałunek.

Zrobił wielkie oczy.

– Jest pan na pewno czyimś przystojnym księciem – uśmiechnęła się przepaszająco – ale nie moim. Pewnego dnia jednak odnajdzie pana właściwa kobieta... i stanie się dzięki temu bardzo szczęśliwa.

Podniosła szkicownik i ruszyła w stronę posiadłości.

Tak się osobliwie złożyło, że droga, którą wybrała, prowadziła obok domku kawalera. Mała rezydencja leżała opodal głównego budynku, na tyle blisko klifu, by z jej okien rozciągał się wspaniały widok na wodę. Niektórzy goście płci męskiej woleli mieszkać tutaj, gdyż lokalizacja zapewniała im prywatność. Teraz jednak domek stał pusty, polowanie zakończyło się wczoraj i większość zaproszonych rozjechała się już do swoich domów.

W zasadzie wyjechali wszyscy poza Matthew Swiftem.

Daisy weszła na ścieżkę wzdłuż muru, oddzielającego ogrody od przepaści. Jej rozbawienie ustąpiło pod naciskiem ponurej refleksji. Ojciec zamierzał wydać ją za Matthew Swifta... Lillian pragnęła, by poślubiła każdego, tylko nie Swifta... A matki nie zadowoliliby nikt poza arystokratą. Mercedes nie będzie szczęśliwa, jeśli się dowie, że córka odprawiła Llandrindona.

Rozmyślając o wydarzeniach minionego tygodnia, uświadomiła sobie, że jej wysiłki, by przykuć uwagę Matthew, nie były dla niej zabawą. Nigdy nie pragnęła niczego bardziej niż okazji, by porozmawiać z nim szczerze, uczciwie, bez przemilczeń. Zamiast jednak zmusić go do wyznania uczuć, zdołała tylko poznać własne.

Gdy była z nim, czuła obietnicę czegoś wspanialszego, bardziej ekscytującego niż wszystko, o czym dotychczas czytała i marzyła.

Obietnicę czegoś prawdziwego.

Nie do wiary, że człowiek, którego zawsze uważała za zimnego i pozbawionego uczuć, okazał się pełen łagodności, zmysłowości i czułości. W tajemnicy przed wszystkimi nosił w kieszeni kosmyk jej włosów.

Słyszając czyjeś kroki, podniosła głowę i nagle zadrżała.

Od strony posiadłości szedł Matthew.

Szedł szybko, choć przecież donikąd się nie spieszył.

Zatrzymał się gwałtownie na jej widok, wyraz jego twarzy nie zdradzał żadnych emocji.

Chwilę mierzyli się wzrokiem.

Daisy zmarszczyła brwi w gniewnym grymasie. Inaczej musiałyby rzucić się mu na szyję i wybuchnąć płaczem. Głębia jej pragnienia ją zdumiewała.

– Panie Swift – odezwała się drżącym głosem.

– Panno Bowman. – Patrzył na nią tak, jakby wolał znaleźć się w każdym innym miejscu, byle nie

z nią.

Oblał ją żar, gdy Matthew sięgnął po szkicownik, który niosła pod pachą.

Bez wahania pozwoliła mu go wziąć.

Zmrużył powieki, przeglądając kartki pełne wizerunków Llandrindona.

– Dlaczego narysowała go pani z brodą?

– To nie jest broda. Cieniowanie.

– Wygląda, jakby się od trzech miesięcy nie golił.

– Nie prosiłam pana o opinię na temat mojej sztuki – syknęła. Chwyciła szkicownik, lecz Matthew nie pozwolił go sobie odebrać. – Oddawaj – zażądała, szarpiąc z całej siły – bo inaczej...

– Bo inaczej co? Narysujesz mój portret? – Wypuścił szkicownik tak nagle, że aż się zatoczyła.

Uniósł ręce w obronnym geście. – Nie. Wszystko, tylko nie to.

Podbiegła do niego i z całej siły zdzieliła go szkicownikiem. Nienawidziła tego, że przy nim czuje się pobudzona. Dosłownie upija się samą jego obecnością, jak sucha ziemia deszczem. Nienawidziła jego przystojnej twarzy i męskiego ciała, a także ust bardziej kuszących niż usta jakiegokolwiek innego mężczyzny.

Przestał się uśmiechać, gdy spojrzał na nią i dostrzegł naderwany szew na rękawie.

– Co ci się stało?

– Nic takiego. Wdałam się w... cóż, w przepychankę, można by powiedzieć, z lordem Llandrindonem.

Chciała opisać przygodę możliwie niewinnie, przecież nic się nie stało. Uznała, że nie sposób przypisać żadnych mrocznych konotacji słowu „przepychanka”.

Swift musiał jednak posługiwać się inną definicją tego terminu. Nagle jego twarz przerażająco pociemniała, a oczy zapłonęły.

– Zabiję go – mruknął gardłowo. – Ośmielił się... Gdzie on jest?

– Nie, nie – wtrąciła Daisy pospiesznie. – Źle mnie pan zrozumiał, to nie tak... – Upuściła szkicownik i rzuciła mu się na szyję, próbując powstrzymać go całym swoim ciężarem, gdy zawrócił w stronę ogrodu. Tak samo skutecznie mogłaby jednak próbować powstrzymać szarżującego byka. Po prostu poniósł ją ze sobą. – Zaraz! A co panu daje prawo stawać w mojej obronie?

Dyszząc ciężko, zatrzymał się i spojrzał na jej zaróżowioną twarz.

– Dotykał cię? Zmusił cię do...

– Jesteś jak pies ogrodnika – zawołała Daisy zapalczywie. – Sam mnie nie chcesz... Więc co cię to obchodzi, że ktoś inny chce? Zostaw mnie w spokoju i wracaj do swoich planów budowy tej wielkiej, przeklętej fabryki, dzięki której zarobisz górę pieniędzy! Mam nadzieję, że zostaniesz najbogatszym człowiekiem na świecie. Mam nadzieję, że zdobędziesz wszystko, czego pragniesz, a pewnego dnia rozejrzysz się wokół i zaczniesz się zastanawiać, dlaczego nikt cię nie kocha, i dlaczego jesteś taki...

Została gwałtownie uciszona, gdy Matthew pocałował ją mocno, karząco. Przeszył ją dreszcz, zanim z okrzykiem odwróciła twarz.

– Nieszczęśliwy – zdołała dokończyć, zanim ujął jej twarz w dłonie i znów pocałował. Tym razem łagodniej.

Przesuwając ustami po jej ustach w zmysłowej pieśczoce, próbował odnaleźć najlepsze dopasowanie ich warg. Serce Daisy uderzeniami młota wtłoczyło falę rozpalonej rozkoszą krwi w nabrzmiące żyły. Chwyciła go za umięśnione nadgarstki, przyciskając palce do miejsca, gdzie krew

pulsowała gorączkowo.

Ilekcioć pomysłała, że Matthew przerwie pocałunek, on go pogłębiał. Odpowiadała mu z oddaniem. Uginały się pod nią kolana, jeszcze chwila, a osunie się na ziemię niczym szmaciana lalka.

Odrywając wargi, wyszeptała z udręką:

– Matthew... zabierz mnie gdzieś.

– Nie.

– Tak. Muszę... muszę być z tobą sama.

Oddech mu się rwał, gdy wziął Daisy w ramiona i przytulił do twardej piersi. Poczła rozpaczliwy nacisk jego warg na włosach.

– Nie zdołam na tyle zaufać samemu sobie – wyznał.

– Chcę tylko porozmawiać. Proszę. Nie możemy tutaj stać. A jeśli mnie teraz zostawisz, umrę.

Nawet podniecony i w rozterce, nie zdołał powstrzymać wybuchu śmiechu, słysząc jej pełną dramatyzmu deklarację.

– Nie umrzesz.

– Chcę tylko porozmawiać – powtórzyła, tuląc się do niego. – Nie będę... Nie będę cię kusić.

– Kochanie. – Powoli wypuścił powietrze z płuc. – Wystarczy, żebyśmy się znaleźli razem w pokoju, a ja już odczuwam pokusę.

Poczła gorący ucisk w gardle, jakby nałykała się słonecznego blasku. Wyczuwając, że słowa zachęty obudzą w nim sprzeciw, milczała. Tuliła się tylko do niego, pozwalając niemej komunikacji pomiędzy ich ciałami osłabić jego protesty.

Z cichym jękiem Matthew wziął ją za rękę i pociągnął w stronę domku kawalera.

– Niech Bóg nam pomoże, jeśli ktoś to zobaczy.

Już miała zażartować, że w takim wypadku musiałby się z nią ożenić, ale ugryzła się w język i weszła za nim na schody.

ROZDZIAŁ 11

Wewnątrz było ciemno i chłodno. Ściany domu wyłożono błyszczącym drewnem różanym, a na wyposażenie składały się ciężkie meble. Aksamitne story z jedwabnymi frędzlami, zasłaniające okna, mieniły się barwami kamieni szlachetnych. Matthew wziął Daisy za rękę i poprowadził do pokoju na tyłach.

Gdy przekroczyła próg, uświadomiła sobie, że to jego sypialnia. Poczwała podniecające mrowienie na skórze pod gorsetem. Pokój był czysty, pachniał pszczelim woskiem i pastą do drewna. Kremowe, koronkowe firanki w oknach przepuszczały do środka światło dnia.

Na toaletce zauważyła schludnie poukładane osobiste drobiazgi: grzebień, szczoteczkę do zębów, puszkę z proszkiem do zębów i mydłem, a na umywalni leżały brzytwa i pasek do ostrzenia. Żadnych pomad, wosków, wód kolońskich ani kremów, żadnych szpilek do krawata ani sygnetów. Matthew Swift z pewnością nie był dandysem.

Zamknął drzwi i odwrócił się do niej twarzą. Wydawał się potężny w tym małym pomieszczeniu, wysoki i barczysty zabierał tyle miejsca. Daisy zaschło w ustach, gdy na niego patrzyła. Pragnęła być blisko niego... Pragnęła poczuć jego skórę na swojej.

– Co cię łączy z Llandrindonem? – zapytał gniewnie.

– Nic. Tylko przyjaźń. To znaczy, z mojej strony.

– A z jego strony...

– Podejrzewam... Cóż, dał mi do zrozumienia, że nie byłby przeciwny... No wiesz...

– Tak, wiem – prychnął. – I nawet jeśli nie znoszę tego łajdaka, nie mogę go winić za to, że ciebie pragnie. Nie po tym, gdy go prowokowałaś i kusiałaś przez cały tydzień.

– Jeśli sugerujesz, że zachowywałam się jak jakaś femme fatale...

– Nie zaprzeczaj. Widziałem, jak z nim flirtowałaś. Jak się ku niemu pochylałaś, gdy mówił... Te wszystkie uśmiechy, wyzywające suknie...

– Wyzywające suknie? – Osłupiała.

– Takie jak ta.

Spojrzała na skromną białą sukienkę, która zakrywała cały dekolt i niemal całe ramiona. Zakonnica nie miałaby jej co zarzucić. Uśmiechnęła się do Matthew sarkastycznie.

– Od tygodnia próbuję obudzić w tobie zazdrość. Zaoszczędziłbyś mi mnóstwo kłopotów, gdybyś się po prostu do niej przyznał.

– Celowo próbowałaś mnie sprowokować? – eksplodował. – Co ci, na Boga, strzeliło do głowy? Doprowadzanie mnie do szaleństwa to teraz twoja ulubiona rozrywka?

Oblała się krwistym rumieńcem.

– Myślałam, że coś do mnie czujesz... i miałam nadzieję, że mi to wyznasz.

Matthew tylko otworzył i zamknął usta. Milczał. Daisy zastanawiała się z niepokojem, jakie emocje nim teraz kierują. Po chwili pokręcił głową i oparł się o toaletkę, jakby z obawy, że zaraz się

przewróci.

– Jesteś zły?

Jego głos miał dziwne brzmienie, drżał.

– W dziesięciu procentach jestem zły.

– A w pozostałych dziewięćdziesięciu procentach?

– Ta część mnie jest o włos od rzucenia cię na to łóżko i... – Urwał i z trudem przełknął ślinę. –

Daisy, jesteś zbyt niewinna, by zrozumieć niebezpieczeństwo, w jakim się znalazłaś. Z całych sił staram się trzymać od ciebie jak najdalej. Nie igraj ze mną, kochanie. Zbyt łatwo przychodzi ci torturowanie mnie, a ja jestem u kresu wytrzymałości. Żeby uspokoić wszystkie dręczące cię wątpliwości, powiem... Że jestem zazdrosny o każdego mężczyznę, który znajdzie się blisko ciebie. Zazdroszczę ubraniom na twojej skórze i powietrzu, którym oddychasz. Jestem zazdrosny o każdą chwilę, jaką spędzasz poza zasięgiem mojego wzroku.

Oszołomiona Daisy szepnęła:

– Ty... nic po sobie nie pokazywałeś.

– Latami kolekcjonowałem wspomnienia o tobie, ukradkowe spojrzenia, wszystkie słowa, które do mnie skierowałaś. Wszystkie te wizyty w twoim domu rodzinnym, te kolacje i święta... Nie mogłem się doczekać, by wejść do środka i cię zobaczyć. – Kąciki jego ust uniosły się z rozbawieniem pod wpływem wspomnień. – Ty w gronie tych aroganckich, upartych ludzi... Uwielbiam obserwować, jak radzisz sobie ze swoją rodziną. Od zawsze byłeś dla mnie uosobieniem kobiecego ideału. Pragnąłem cię w każdej sekundzie życia od chwili, kiedy się poznaliśmy.

Poczuła, jak przepełnia ją bolesny żal.

– Nawet nie byłem dla ciebie miła. – Posmutniała.

– Cholernie mnie to cieszyło. Gdybyś do tego wszystkiego była dla mnie miła, pewnie padłbym trupem na miejscu. – Powstrzymał ją gestem, gdy podchodziła do niego. – Nie. Nie rób tego. Jak już powiedziałem, nie mogę się z tobą ożenić. I zdania nie zmienię. Nie znaczy to jednak, że ciebie nie kocham. – Oczy mu błyszczały jak szafiry, gdy wodził po niej wzrokiem. – Mój Boże, tak bardzo cię pożądam – szepnął.

Daisy marzyła, by znaleźć się w jego ramionach.

– Ja też cię pragnę. Tak bardzo, że chyba nie będę mogła cię stąd wypuścić, dopóki nie poznam powodu.

– Gdybym mógł ci go wyjawić, uwierz mi, już dawno bym to zrobił.

Zmusiła się, by zadać mu pytanie, którego najbardziej się obawiała.

– Masz już żonę?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Boże. Nie.

Poczuła obezwładniającą ulgę.

– W takim razie wszystko inne da się załatwić, jeśli tylko powiesz...

– Gdybyś знаła świat nieco lepiej – przerwał jej, marszcząc brwi – nie używałabyś fraz takich jak „wszystko inne da się załatwić”. – Przeszedł na drugą stronę toaletki, odsuwając się od drzwi.

Długo milczał, jakby rozważał bardzo istotną kwestię.

Daisy trwała nieruchomo, wciąż patrząc mu w oczy. Mogła ofiarować mu tylko swoją cierpliwość. Czekała bez słowa.

Matthew wreszcie odwrócił wzrok, twarz miał nieprzeniknioną, spojrzenie posępne. Jego oczy były

jak surowe odłamki wypolerowanego kobaltu.

– Dawno temu – zaczął – zyskałem potężnego wroga, choć nie ze swojej winy. Z powodu jego rozległych wpływów zostałem zmuszony do wyjazdu z Bostonu. Mam podstawy, by wierzyć, że pretensje tego człowieka pewnego dnia znów mnie dopadną. Żyję z tym mieczem nad głową od wielu lat. Nie chcę, byś była w pobliżu, gdy spadnie na mój kark.

– Na pewno da się coś zrobić – stwierdziła z przekonaniem. Była gotowa zmierzyć się z tym anonimowym wrogiem, unieszkodliwić go wszelkimi dostępnymi środkami. – Gdybyś tylko mi to wyjaśnił, podałem nazwisko...

– Nie – powiedział cicho, lecz z taką stanowczością, że natychmiast umilkła. – Byłem z tobą tak szczery, jak tylko mogłem, Daisy. Mam nadzieję, że nie zawiedziesz mojego zaufania. – Wskazał jej gestem drzwi. – A teraz czas już na ciebie.

– Tak po prostu? Po wszystkim, co mi właśnie powiedziałaś, oczekujesz, że tak po prostu wyjdę?

– Tak. Uważaj, by nikt cię nie zobaczył.

– To niesprawiedliwe, że uzurpujesz sobie prawo do decyzji, nie pozwalając mi...

– Życie rzadko bywa sprawiedliwe – uciął. – Nawet dla Bowmanów.

Miała w głowie gonitwę myśli, gdy wpatrywała się w jego zaciętą twarz. To nie był ze strony Matthew zwykły upór, lecz raczej głębokie przekonanie. Nie dał jej żadnej szansy na sprzeciw, nie pozostawił żadnego miejsca na negocjacje.

– Mam w takim razie przyjąć Llandrindona? – zapytała z nadzieją, że go tym sprowokuje.

– Tak.

Wykrzywiła twarz w gniewnym grymasie.

– Wolałabym, byś był konsekwentny. Przed chwilą byłeś gotów go zabić.

– Jeśli go pragniesz, nie mam prawa się sprzeciwiać.

– Jeśli mnie pragniesz, masz prawo coś powiedzieć! – Podeszła do drzwi. – Dlaczego wszyscy powtarzają, że kobietom brak logiki, skoro właśnie mężczyźni są pod tym względem po stokroć gorsi? Najpierw czegoś chcą, potem nie, następnie podejmują irracjonalne decyzje w oparciu o tajemnice, których nie chcą wyjawiać, i na dodatek nikt nie ma prawa im się sprzeciwiać, bo słowo mężczyzny jest ostateczne.

Sięgając do klamki, zauważyła klucz w zamku i nagle znieruchomiała.

Zerknęła na Matthew, który wciąż stał po drugiej stronie toaletki, pragnąc zachować pomiędzy nimi bezpieczny dystans.

Choć Daisy miała ze wszystkich Bowmanów najłagodniejszy charakter, nie była tchórzem. I nie zamierzała skapitulować teraz bez walki.

– Zmuszasz mnie do sięgnięcia po radykalne środki – oświadczyła.

– Nic nie możesz zrobić – odpowiedział cicho.

Nie pozostawił jej wyboru.

Przekręciła klucz w zamku i ostrożnie go wyjęła.

W pokoju panowała cisza i kliknięcie zapadek zabrzmiało zaskakująco donośnie.

Daisy spokojnie pociągnęła za brzeg stanika przy dekolcie i uniosła klucz.

Matthew otworzył szeroko oczy, gdy zrozumiał, co ona zamierza.

– Nie ośmielisz się.

Gdy podchodził do niej, wrzuciła klucz do stanika za gorset. Wciągnęła brzuch, by zsunął się aż do pępka.

– Niech to szlag! – Znalazł się przy niej błyskawicznie. Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, po czym szybko cofnął, jakby natrafił na otwarty ogień.

– Wyjmij go. – Twarz miał pociemniałą z gniewu.

– Nie mogę.

– Mówię poważnie, Daisy!

– Za daleko się zsunął. Musiałabym zdjąć suknię.

Wyraz twarzy Matthew zdradzał mordercze instynkty. Wyczuwała też jednak siłę jego pożądania. Płuca pracowały mu jak miechy kowalskie, z ciała emanował żar.

Jego szept miał w sobie brutalność krzyku.

– Nie rób mi tego.

Czekała cierpliwie.

Następny krok należał do Matthew.

Odwrócił się do niej plecami, a jego surdut naprężył się na stężałych mięśniach. Zacisnął dłonie w pięści, tocząc wewnętrzną walkę. Z trudem wziął jeden głęboki oddech, potem drugi, a gdy wreszcie się odezwał, głos miał ochrypły, jakby właśnie obudził się z głębokiego snu.

– Zdejmij suknię.

Żeby nie prowokować go bardziej, niż to konieczne, odparła przeprasząco:

– Sama sobie nie poradzę. Guziki są z tyłu.

Powiedział słumionym głosem coś, co zabrzmiało bardzo brzydko. Po długiej chwili milczenia odwrócił się do niej. Jego twarz wyglądała jak odlana z żelaza.

– Nie ulegnę tak łatwo. Potrafię ci się oprzeć, Daisy. Mam za sobą lata praktyki. Odwróć się.

Posłusznie wykonała polecenie. Gdy pochyliła głowę do przodu, niemal fizycznie poczuła, jak on wędruje wzrokiem po długim rzędzie perłowych guzików.

– Jak ty się rozbierasz? – mruknął. – Nigdy jeszcze nie widziałem tylu cholernych guzików na jednym elemencie garderoby.

– Taka moda.

– To śmieszne.

– Możesz wysłać skargę do miesięcznika dla pań „Godey’s Lady’s Book” – zasugerowała.

Prychnąwszy z pogardą, sięgnął do pierwszego guzika. Próbował rozpiąć, unikając jednocześnie kontaktu z jej ciałem.

– Będzie ci łatwiej, jeśli wsuniesz palce pod plisę – poradziła. – Dzięki temu zdołasz guzik...

– Cisza – syknął.

Zamknęła usta.

Mocował się z guzikami kolejną minutę. Wreszcie z westchnieniem rozpaczy posłuchał rady Daisy i wsunął dwa palce pod suknię, dotykając skóry. Gdy poczuła jego knykcie na kręgosłupie, przeniknął ją rozkoszny dreszcz.

Postępy w rozpinaniu guzików okazały się boleśnie powolne. Matthew raz po raz coś poprawiał.

– Mogę usiąść? Zmęczyłam się.

– Tu nie ma gdzie usiąść.

– Ależ jest. – Odsunęła się od niego i podeszła do łoża z baldachimem, żeby się na nie wspiąć. Niestety, był to zabytkowy model sheratona na tyle wysoki, by chronił przed zimowymi przeciągami. Góra materaca znajdowała się na poziomie jej piersi. Podparła się na ramionach, próbując unieść biodra.

Grawitacja ją pokonała.

– Zazwyczaj – wspinała się mozolnie, machając nogami w powietrzu – jest jakiś stopień... – Zacisnęła dłonie na narzucie. – ...jeśli łóżko jest takie wysokie. – Zarzuciła kolano na materac. – Dobry Boże... upadek nocą z tej wysokości może skutkować śmiercią.

Poczuła, że Matthew zaciska dłonie na jej talii.

– Łóżko wcale nie jest wysokie – mruknął. Podniósł ją jak dziecko i posadził na materacu. – To ty jesteś niska.

– Nie jestem niska. Jestem... wertykalnie pokrzywdzona przez los.

– Dobrze. Siadaj.

Materac ugiął się pod ciężarem mężczyzny za jej plecami, a jego dłonie znów wróciły do guzików.

Daisy czuła lekkie drżenie jego palców.

– Wiesz, nigdy nie pociągali mnie wysocy mężczyźni. Przy tobie jednak...

– Jeśli zaraz nie zamilkiesz – przerwał jej szorstko – osobiście cię uduszę.

Umilkła więc, wsłuchując się w rytm jego oddechu, który się pogłębił i był urywany. Palce natomiast stały się pewniejsze, rozpięły guzik po guziku, aż suknia rozchyliła się od góry, a rękawy zsunęły się z ramion.

– Gdzie go masz? – spytał.

– Klucz?

– Tak. Daisy. Klucz – odparł z komicznym spokojem.

– Wpadł mi za gorset. Co znaczy, że... gorset też muszę zdjąć.

W żaden sposób nie zareagował – nie odezwał się ani nie poruszył. Odwróciła głowę, by na niego spojrzeć.

Wydawał się oszołomiony. Jego oczy przybrały nienaturalnie błękitny odcień na tle zaczerwienionej twarzy. Uświadomiła sobie, że Matthew toczy zażartą walkę, by jej nie dotknąć.

Czując na skórze rumieniec wstydu, wyjęła ręce z rękawów. Zsunęła suknię z bioder, zwiwna biała tkanina opadła na podłogę.

Matthew wbił wzrok w porzuconą suknię, jakby miał przed sobą jakieś egzotyczne zwierzę, którego nigdy wcześniej nie widział. Powoli wrócił wzrokiem do Daisy, jęknął, gdy zaczęła rozpinąć gorset.

Czuła się onieśmielona i zepsuta, rozbierając się na jego oczach. Dodawała sobie odwagi tym, że Matthew nie jest w stanie oderwać wzroku od każdego kawałka odsłanianego ciała. Gdy ustąpiła ostatnia metalowa haftka, rzuciła konstrukcję z fiszbin i koronki na podłogę. Piersi zakrywała już tylko pomięta halka.

Klucz upadł na jej kolana. Zacisnęła na nim palce i ostrożnie zerknęła na Matthew.

Miał zamknięte oczy, posępnie, jakby boleśnie zmarszczone czoło.

– Do niczego nie dojdzie – powiedział bardziej do siebie niż do niej.

Pochyliła się ku niemu i wsunęła klucz do kieszeni jego surduta. Ściągnęła halkę przez głowę. Przebiegł po niej dreszcz. Była zdenerwowana, aż zaczęła szcząć zębami.

– Właśnie zdjęłam halkę. Nie chcesz spojrzeć?

– Nie.

Mimo tej deklaracji otworzył oczy, a gdy zatrzymał wzrok na jej kształtnych, zakończonych różowymi brodawkami piersiach, gwałtownie wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Siedział nieruchomo i patrzył na nią, gdy rozwiązała mu fular i rozpięła kamizelkę oraz koszulę. Oblała się rumieńcem, lecz kontynuowała z uporem swoją misję. Uklękła, by zsunąć surdut z jego ramion.

Poruszył się jak we śnie, powoli wyciągnął ręce z rękawów i pozbył się kamizelki.

Z niezręczną determinacją rozchyliła poły jego koszuli, by upajać się widokiem piersi i torsu. Skóra błyszczała jak satyna naprężona na szerokich płaszczyznach mięśni. Dotknęła mocnej klatki żeber i przesunęła opuszkami palców po twardym brzuchu.

Nagle złapał Daisy za rękę, jakby nie mógł się zdecydować, czy ją odepchnąć, czy przycisnąć mocniej.

Ścisnęła jego palce i spojrzała mu w oczy.

– Matthew – szepnęła. – Jestem tutaj. Jestem twoja. Pragnę, byś zrobił ze mną wszystko, co dotąd tylko sobie wyobrażałeś...

Oddech uwiązał mu w gardle. Nagle przestało się liczyć wszystko poza podszeptami pożądania, które ignorował zbyt długo. Skapitulował. Jęknął głucho i posadził ją sobie na kolanach. Żar przenikał ich ubranie. Daisy pisnęła cicho, gdy jej miękka kobiecość zamknęła się wokół nieznanym twardości.

Zawładnął jej ustami, dłońmi jednocześnie poznając ciało. Gdy otoczył palcami jędrną pierś, Daisy przeszył ostry, gwałtowny dreszcz.

Ułożył ją na materacu, pochylił się nad nią, a ona jęknęła z rozkoszy, czując dotyk jego nagiej skóry. Upojona znajomym zapachem wdychała rozkoszny aromat czystej męskości. Wodził czule dłońmi po jej ciele i całował zmysłowo. Delikatnie drażnił kciukiem pierś, aż sutek stwardniał. Daisy wygięła się w bezradnym poddaniu.

Na tę niemą prośbę wziął sutek do ust. Ssał lekko, a ona poczuła ciepło na skórze, jakby językiem krzesał iskry. Przywarła do niego, dygocąc. Jej zmysły przesyłały mocne sygnały do całego ciała, podczas gdy Matthew pieścił drugą pierś, całował i lizał twardy czubeczek.

– Wiesz, czego od ciebie chcę? – zapytał ochryple. – Rozumiesz, co się stanie, jeśli nie przestaniemy?

– Tak.

Uniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

– Nie jestem taka niewinna, jak sądzisz – odparła szczerze. – Bardzo dużo czytam.

Odwrócił twarz, jakby walczył z uśmiechem, po czym znów spojrzał na nią.

– Daisy Bowman – powiedział szorstko – zgodziłbym się spędzić całą wieczność w piekle za jedną godzinę z tobą.

– Tyle właśnie to potrwa? Godzinę?

– Kochanie, na tym etapie cudem będzie dla mnie minuta – odparł z żalem.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Musisz się ze mną kochać. Jeśli tego nie zrobisz, nigdy nie przestanę narzekać.

Przytulił ją, pocałował w czoło i na długo popadł w zadumę, aż obawiała się odmowy. Lecz zsunął ciepłą dłoń niżej, a serce Daisy podskoczyło z radości. Zacisnął palce na tasiemkach jej reform i pociągnął.

Oddychała urywanie palona wstydem, gdy Matthew wsunął rękę pod cienki materiał. Dotknął miękkich włosków łonowych, gładził je i stroszył. Opuszkę palca serdecznego przesunął po miejscu tak wrażliwym, że aż zadrżała w rozkosznym uniesieniu. Wpatrując się w jej zaczerwienioną twarz, delikatnie rozdzielił fałdki skóry.

– Daisy, kochanie – szepnął. – Jesteś taka miękka... taka smakowita... Gdzie mam cię dotykać? Tutaj? Czy tutaj?

– Tam – zaszlochała, gdy odnalazł to właściwe miejsce. – Tak... Och, tam...

Całował jej szyję, piersi, wsuwając palce coraz głębiej w jej wnętrze. Ta pieszczota sprawiła, że poczuła niepokojącą wilgoć w sekretnym miejscu. Nie spodziewała się tego, pomyślała nawet, czy rzeczywiście jest tak dobrze poinformowana, jak sama uważa.

Skonsternowana, zaczęła coś mówić, lecz urwała niemal natychmiast, znów bowiem poczuła w sobie jego palec. Tego również się nie spodziewała.

Matthew oderwał usta od jej piersi i spojrzał na nią oczami pełnymi sennego żaru. Obserwował jej twarz, poznawał wnętrze ciała i masował je lekko w rytmie, który wznosił Daisy na nieznane wyżyny rozkoszy. Wyprężyła się i jęknęła cicho, odwzajemniając pocałunki z niekontrolowaną gwałtownością.

– Podoba ci się? – szepnął.

– Tak, ja... – Próbowana mówić, mimo iż gardło miała ściśnięte. – Myślałam... że to będzie bolało.

– To nie. – Uśmiechnął się lekko. – Później jednak możesz mieć powód do narzekań. – Na jego twarzy zebrał się pot, gdy badał jej wnętrze palcem. – Nie wiem, czy zdołam być delikatny – dodał szorstko. – Zbyt długo cię już pragnę.

– Ufam ci – wyszeptała.

Pokręcił głową i odsunął rękę.

– W ogóle nie znasz się na ludziach. Znalazłaś się w łóżku z ostatnim mężczyzną na ziemi, któremu powinnaś ufać, i zamierzasz popełnić największy błąd swojego życia.

– W taki sposób zazwyczaj uwodzisz kobiety?

– Uznałem, że należy ci się ostatnie ostrzeżenie. Teraz jesteś stracona.

– Och, to cudownie. – Podniosła biodra, by mu pomóc, gdy zdarł z niej reformy i pończochy.

Otworzyła szeroko oczy, kiedy zaczął rozpinać bryczesy. Z zaciekawieniem, lecz i nieśmiałością postanowiła mu pomóc. Szepnął coś do niej czule, gdy poczuł, że jej mała, chłodna dłoń wsuwa się w spodnie. Głaskała ostrożnie, oswajając się z jego długością i twardością.

– Jak mam cię dotykać? – szepnęła.

Pokręcił głową i roześmiał się niepewnie.

– Daisy... Wolałbym, żebyś mnie teraz nie dotykała.

– Zrobiłam coś złego? – zapytała z niepokojem.

– Nie, nie... – Wziął ją w ramiona, ucałował policzek, ucho i włosy. – Robisz to za dobrze.

Objął ją czule i popchnął z powrotem na poduszki. Rozebrał się, ułożył nad nią, a Daisy zadygotała, czując rozkoszną szorstkość jego włosów, gładkość skóry i żar. Zbyt wiele doznań atakowało ją jednocześnie – nie potrafiła się w nich odnaleźć – wilgoć, gorący powiew jego oddechu, jego długie, czule palce, muśnięcia jego włosów na piersiach i brzuchu...

W żyłach zapłonął ogień, gdy połaskotał jedwabistym językiem pępek. Jak przez mgłę wyczuła, dokąd zmierzają jego usta, i poruszyła się niespokojnie.

Matthew zsuwał się coraz niżej, aż krzyknęła cicho i odepchnęła jego głowę.

– Co się stało? – Uniósł się na łokciach.

Czerwona ze wstydu nie mogła się zmusić, by mu to wyjaśnić.

– Byłeś za blisko mojej... No, zapewne przypadkiem...

Gdy umilkła, Matthew pojął jej dylemat. Szybko pochylił głowę, aby ukryć wyraz twarzy. Wstrząsnął nim dreszcz. Odpowiedział jej z wielką powagą, wciąż na nią nie patrząc:

– To nie był przypadek. Taki miałem plan.

Ośłupiała.

– Ale przecież prawie pocałowałeś mnie w... – Urwała, bo gdy ich oczy się spotkały, dostrzegła w jego niebieskich tęczęwkach rozbawienie.

Wcale nie był zawstydzony – on się z niej śmiał.

– Chyba cię to nie szokuje, prawda? Podobno bardzo dużo czytasz.

– Cóż, przecież nikt nie ośmieliłby się pisać o czymś takim.

Wzruszył ramionami, oczy mu błyszczały.

– To ty dużo czytasz.

– Kpisz sobie ze mnie.

– Tylko odrobinę. – Objął ją i znów całował brzuch. Wierzgnęła, próbując wyrwać się z uścisku.

Zaczęła nerwowo mówić, czując, że zbacza ustami na jej biodro.

– W niektórych p-powieściach, które czytałam, były pewne fragmenty, rzecz jasna... – Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy zębami skubnął wnętrze jej uda. – Ale... Były napisane tak eufemistycznie, że nie całkiem zrozumiałam... Och, proszę. Chyba nie powinieneś tego robić...

– A tego?

– Na pewno też nie. – Wykręciła się, próbując go odsunąć.

On jednak chwycił ją za kolana i rozsunął je, jednocześnie wyczyniając grzeszne rzeczy językiem. Zaczęła dygotać, gdy odnalazł wrażliwe miejsce, już wcześniej odkryte. Jego wargi były nieustępliwe, miękkie i gorące. Ssał tak długo, aż z sekretnego źródła wylała się rozkosz. Błagała, by przestał, ale zniewolił ją pieszczotami: lizał, muskał coraz głębiej i głębiej, aż nagle uderzyła w nią fala rozkoszy nie do zniesienia. Daisy krzyknęła, doznając obezwładniającej ulgi.

Po dłuższej chwili Matthew przesunął się wyżej, wziął ją w ramiona. Zarzuciła mu ręce na szyję i opłota nogami. Ułożył się pomiędzy jej udami, drząc z wstrzymywanej żądz. Wszedł w nią, całował i szeptał miłosne słowa, próbując ukoić, gdy wchodził rytmicznie coraz głębiej, biorąc ją w posiadanie.

Gdy połączyli się całkowicie, znieruchomiał, nie chcąc dłużej zadawać jej bólu. Był bardzo twardy, a Daisy z ciekawością syciła się uczuciem bycia braną, absolutnie bezradną, a zarazem... W tej chwili stał się całkowicie jej. Czowała, że wypełnia jego umysł i serce tak, jak on wypełniał jej ciało. Pragnąc dać mu taką samą rozkosz jak ta, która stała się jej udziałem, wypchnęła biodra do góry.

– Daisy... Nie, zaczekaj...

Uniosła się znów, pragnąc być bliżej niego. Trzymała go mocno w sobie, Matthew jęknął głucho, spowolnił ruchy i kochali się namiętnie w subtelnym rytmie. Zmiażdżył wargami jej wargi i zadygotał na fali intensywnego orgazmu.

Oboje długo milczeli, gdy tulił Daisy do siebie. Położyła głowę na jego ramieniu. Wycofał się z niej ostrożnie, uciszając jej protest pocałunkiem.

– Pozwól, że się tobą zaopiekuję.

Nie rozumiała, co ma na myśli. Czowała się osłabiona, zamknęła oczy, kiedy wstał z łóżka. Po chwili wrócił z wilgotnym ręcznikiem, wytarł jej spocone ciało i piekące miejsce pomiędzy udami.

Kiedy znów położył się obok niej, wtuliła się w niego i westchnęła z rozkoszy, gdy okrył ich narzutą. Ułożyła głowę tak, by słyszeć miarowe bicie jego serca.

Powinna się wstydzić, że zamknęła się z nim w sypialni i zażądała, by ją uwiódł. Zamiast tego triumfowała, choć czowała też niepewność wywołaną nowym rodzajem intymności, który wykraczał

poza aspekt fizyczny.

Pragnęła dowiedzieć się o nim wszystkiego – jeszcze nigdy nie dręczyła jej taka ciekawość drugiej osoby. Uznała jednak, że konieczna jest cierpliwość, by oboje mogli się przystosować do nowych okoliczności.

Gdy żar ich ciał mieszał się pod narzutą, ogarnęła ją przemożna senność. Nie podejrzewała dotąd, jak cudownie się leży, milcząc, w ramionach mężczyzny, oddycha jego zapachem i rozkoszuje jego siłą.

– Nie zasypiaj – usłyszała ostrzegawczy szept. – Trzeba cię jakoś stąd wyprowadzić.
– Ja nie śpię... Tylko... – urwała, by ziewnąć szeroko – ...pozwalam oczom odpocząć.
– Dobrze, ale tylko chwilę. – Poglądził ją po włosach i plecach. To wystarczyło, by popadła w słodkie mroki niebytu.

Obudziło ją bębnienie deszczu w dach i powiew ciężkiego od wilgoci powietrza, które wpadło do środka przez otwarte okno. Pogodowy kaprys w postaci przelotnego deszczu ochłodził popołudnie i sprawił, że ziemia nasiąknęła niczym gąbka.

Daisy zamrugała, nie rozpoznając obcego otoczenia męskiej sypialni, czuła też osobliwy ciężar męskiego ciała na plecach. Czyś oddech poruszał jej włosami. Stężała zaskoczona i leżała cicho, zastanawiając się, czy Matthew śpi. Oddychał miarowo, lecz po chwili wsunął rękę pod nią i masował piersi.

Przytulił ją, by razem mogli w milczeniu obserwować deszcz. Próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu czuła się taka bezpieczna i zadowolona. Nie. Nic nie mogło się z tym równać.

Czując na ramieniu, że usta Daisy rozciągają się w uśmiechu, wymruczał:

– Lubisz deszcz.
– Tak. – Musnęła jego owłosioną nogę palcami, zdumiona, jakie ma długie łydki. – Niektóre rzeczy stają się lepsze, gdy pada. Na przykład czytanie. Albo spanie. Lub to.

– Leżenie ze mną w łóżku? – Rozbawiła go.

Pokiwała głową.

– Mam wrażenie, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na ziemi.

Obwiódł palcem linię jej obojczyka i szyi.

– Sprawilem ci ból, Daisy? – szepnął.

– Cóż, nie było to miłe, gdy... – Zaczerwieniła się. – Ale spodziewałam się tego. Przyjaciółki powiedziały mi, że po pierwszym razie jest lepiej.

Powędrował palcami po jej uchu, a potem po gorącej od rumieńca wypukłości policzka. W jego głosie rozbrzmiewała wesołość, gdy mruknął:

– Zrobię, co w mojej mocy, by tak właśnie było.

– Żałujesz, że do tego doszło? – W napięciu czekała na odpowiedź.

– Dobry Boże, nigdy. – Uniósł jej małą zaciśniętą w pięść dłoń do ust, ucałował i przytulił do swego policzka. – Pragnąłem tego przez większość życia. I myślałem, że nigdy nie będę mógł mieć. Jestem zaskoczony. Zszokowany wręcz. Ale nie żałuję.

Odwróciła się i przywarła do niego, wsuwając jego udo pomiędzy swoje.

Krople deszczu wybijały rytm zwawej piosenki na murze. Myśląc o tym, że powinna wstać, Daisy zadrżała lekko i nagle poczuła, że Matthew okrywa narzutą jej nagie ramiona.

– Daisy, gdzie jest ten przeklęty klucz?

– Włożyłam ci do kieszeni – odparła uprzejmie. – Nie zauważyłeś? Nie? Cóż... Chyba zaprzętało cię wtedy coś innego. – Poglaskała go po piersi i musnęła dłonią brodawkę. – Pewnie jesteś zły, że zamknęłam nas w sypialni.

– Wściekły. Będę nalegał, byś robiła to po ślubie każdej nocy.

– Pobierzemy się więc? – szepnęła, unosząc głowę.

Oczy błyszczały mu ciepło, lecz w głosie nie słyhać było radości.

– Tak, pobierzemy się. Choć pewnie znienawidzisz mnie za to kiedyś.

– Dlaczego, na litość boską, miałabym... Och. – Przypomniała sobie, jak mówił, że przeszłość kiedyś go dopadnie. – Nie mogłabym cię znienawidzić. I nie obawiam się twoich tajemnic, Matthew. Cokolwiek się stanie, razem z tobą stawię temu czoło. Wiedz jednak, że mnie irytuje, gdy mówisz takie rzeczy, a potem odmawiasz wyjaśnienia.

Roześmiał się cicho.

– To zapewne tylko jedna z wielu moich irytujących cię cech.

– Też tak myślę. – Położyła się na nim i zaczęła ocierać o jego tors jak ciekawskie kocię. – Ale odkryłam, że wolę towarzystwo mężczyzn irytujących niż tych miłych.

Zmarszczył brwi.

– Takich jak Llandrindon?

– Tak, jest miłszy od ciebie. – Na próbę objęła wargami jego brodawkę, po czym dotknęła jej językiem. – Czujesz teraz to samo co ja?

– Nie. Choć doceniam wysiłki. – Uniósł jej twarz. – Llandrindon cię pocałował?

Pokiwała powoli głową.

– Tylko raz.

– Podobało ci się? – Nie mógł ukryć zazdrości.

– Chciałam, by mi się podobało. Próbowałam się zmusić. – Zamknęła oczy i wtuliła w jego dłoń policzek. – Ale to w niczym nie przypominało twoich pocałunków.

– Daisy – szepnął, odwracając się tak, by znów znalazła się pod nim. – Próbowałem temu zapobiec. – Obwiódł palcami delikatny owal jej twarzy i łuki uśmiechniętych warg. – Teraz natomiast wydaje mi się niemożliwe, że aż tyle wytrzymałem.

Jej zmysły, choć nasyczone, znów obudziły się pod wpływem pieszczoty.

– Matthew... Co teraz będzie? Porozmawiasz z moim ojcem?

– Jeszcze nie. Aby zachować choć pozory przyzwoitości, wstrzymam się z tym do powrotu z Bristolu. Do tej pory większość gości wyjedzie, więc rodzina będzie mogła poradzić sobie z sytuacją w zaciszu domowym.

– Ojciec oszaleje z radości. Matka dostanie ataku szału. A Lillian...

– Eksploduje.

Daisy westchnęła.

– Moi bracia także nie darzą cię sympatią.

– Czyżby? – Udał zaskoczenie.

Spojrzała z obawą na jego ukrytą w cieniu twarz.

– A jeśli zmienisz zdanie? Jeżeli po powrocie powiesz mi, że się pomyliłeś, nie chcesz mnie poślubić i...

– Nie. – Poglądził ją po zmierzwionych włosach. – Nie ma odwrotu. Odebrałem ci niewinność. Nie zamierzam uchylić się od odpowiedzialności.

Urażona tym doborem słów zmarszczyła brwi.

– Co się stało?

– Tak to ująłeś... Odpowiedzialność... Jakbyś musiał odpokutować jakiś straszliwy grzech.

Niezbyt romantyczna deklaracja, zwłaszcza w tych okolicznościach.

– Och. – Uśmiechnął się szeroko. – Ja nie jestem romantycznym mężczyzną, kochanie. Przecież wiesz. – Pochylił głowę, ucałował jej policzek i skubnął ucho zębami. – Ale jestem teraz za ciebie odpowiedzialny. – Musnął ustami ramię. – Za twoje bezpieczeństwo... Twój dobrobyt... Twoją rozkosz... A ja bardzo poważnie traktuję swoje obowiązki...

Całował jej piersi, zaciskając gorące usta na nabrzmiałych sutkach. Rozsunął jej uda dłonią i delikatnie, ostrożnie dotknął wilgotnego wnętrza.

Uśmiechnął się, gdy z gardła Daisy dobył się jęk rozkoszy.

– Wydajesz takie cudowne dźwięki – wymruczał. – Gdy dotykam cię tak... lub tak... I gdy krzyczysz, dochodząc dla mnie...

Splonęła rumieńcem. Próbowwała być cicho, lecz po chwili znów sprowokował ją do bezradnego jęku.

– Matthew? – Podwinęła palce stóp, gdy zsunął się niżej i połaskotał językiem pępek.

– Tak, trajkotko? – Narzuta nad jego głowę niemal całkowicie tłumiała głos.

– Czy ty zamierzasz zrobić... – urwała z krzykiem, gdy poczuła, że rozchyła jej kolana – to, co zrobiłeś wcześniej?

– Na to wygląda.

– Ale my już przecież... – Nagle przestała się zastanawiać, dlaczego chciałby się z nią kochać dwa razy z rzędu. Poczuła jego usta w pachwinie, potem niżej i nagle osłabła. Delikatne, wprawne skubnięcia... leniwe liźnięcia... pieszczoty palców w jej obolałym wnętrzu... Gdy przesunął palce wyżej, dotykając najczulszego miejsca, jęczała w ekstatycznym uniesieniu. Tak, tam, tak...

Prowokował ją z oszałamiającą delikatnością, odsuwał się, po czym wracał i kusił ciepłymi, szybkimi muśnięciami... Objęła jego głowę udami i zatrzymała tam, a on sprawił, że każda komórka jej ciała pulsowała rozkoszą.

Z łatwością doprowadził Daisy na sam szczyt. Ponad burzę, w niebo... Gdy odzyskała świadomość, spoczywała w jego ramionach, a rozszalałe serce uspokajało się w rytm łagodnego wiosennego deszczu.

ROZDZIAŁ 12

Jako że większość gości wyjeżdżała nazajutrz, tego wieczoru zaplanowano długą, uroczystą kolację. Dwa stoły nakryte kryształami i sewrską porcelaną błyszcząły w świetle żyrandoli i kandelabrow. Lokaje w niebiesko-musztardowo-czarnych liberiach ze złotym szamerunkiem zwinnie przechadzali się pomiędzy gośćmi, z cichą precyzją dolewali wody i wina do kieliszków oraz serwowali kolejne dania.

Uczta była wspaniała. Niestety, tego wieczoru Daisy nieszczególnie interesowało jedzenie. Żałowała, iż nie może oddać sprawiedliwości posiłkowi złożonemu ze szkockiego łososia, aromatycznej pieczeni, sarniego udźca podanego z kiełbaskami i słodkimi bułeczkami oraz wieloskładnikowych zapiekaneek z warzyw podlanych śmietaną, masłem i sosem truflowym. Na deser podano owoce: maliny, nektaryny, czereśnie, brzoskwinie i ananasy, a także szeroki wybór ciast, tart oraz kremów.

Zmuszała się, by jeść, śmiać się i rozmawiać całkiem naturalnie. Nie było to jednak łatwe. Matthew siedział kilka krzeseł dalej po drugiej stronie stołu, więc ilekroć ich spojrzenia się spotykały, krztusiła się tym, co akurat miała w ustach.

Wokół niej toczyły się ożywione rozmowy, a ona uczestniczyła w nich z roztargnieniem, wciąż wspominając to, co wydarzyło się kilka godzin wcześniej. Ci, którzy ją znali – przede wszystkim siostra i przyjaciółki – zauważyli, że nie jest sobą. Nawet Westcliff posłał jej kilka pytających spojrzeń.

W zalanym światłem, dusznym pokoju było gorąco. Krew uderzała Daisy na policzki. Ciało reagowało na każdy bodziec – bielizna ocierała, gorset uciskał nieznośnie, podwiązki wpijały się w uda. Każdy ruch niósł ze sobą wspomnienie popołudnia z Matthew: ból ud, pieczenie i skurcze w intymnych miejscach. Mimo to pragnęła więcej... więcej rąk Matthew, więcej jego niezmordowanych ust, twardości w jej wnętrzu...

Znów czując rumieniec na policzkach, skupiła się na smarowaniu masłem kromki chleba. Zerknęła na Matthew, który konwersował z damą po jego lewej stronie.

Czując na sobie wzrok Daisy, spojrzał prosto na nią. Jego błękitne oczy zapłonęły, a pierś poruszyła się, gdy odetchnął głęboko. Z trudem znów skupił uwagę na swojej towarzyszce z taką intensywnością, że dama zaczęła nerwowo chichotać.

Daisy uniosła do ust kieliszek wina i nakazała sobie wziąć udział w rozmowie, która toczyła się po jej prawej stronie... Coś o podróży nad szkockie jeziora. Szybko jednak wróciła do rozmyślań o swojej sytuacji.

Nie żałowała tej decyzji, lecz nie była aż tak naiwna, by wierzyć, że teraz już wszystko będzie łatwe. Przeciwnie. Nie brakowało problemów, nie wiadomo, gdzie zamieszkają i kiedy Matthew zapragnie wrócić do Nowego Jorku. Czy zdoła być szczęśliwa z dala od siostry i przyjaciółek? Zastanawiała się też, czy będzie odpowiednią żoną dla mężczyzny funkcjonującego w świecie,

w którym nigdy nie potrafiła znaleźć dla siebie miejsca. I wreszcie, jakie sekrety skrywa Matthew?

Przypomniała sobie jednak, z jaką łagodną, szczerą nutą w głosie zadeklarował, że dla niego od zawsze stanowiła uosobienie kobiecego ideału.

Tylko on pragnął jej takiej, jaką była. Llandrindon się nie liczył, jego uczucie wybuchło za szybko i zapewne też szybko by zgasło.

Pod tym względem, rozmyślała, ich małżeństwo na pewno okaże się inne niż małżeństwo Lillian z Westcliffem. Oboje mieli silne charaktery, lecz różny poziom wrażliwości, często kłócili się i negocjowali... co wcale nie osłabiało ich małżeństwa, nawet zdawało się umacniać związek.

Przywołała w myślach małżeństwa przyjaciółek... Annabelle i pan Hunt żyli w harmonii podobnych usposobień, podczas gdy Evie i lord St. Vincent bardzo się różnili, lecz byli sobie tak potrzebni, jak dzień i noc. Nie potrafiła stwierdzić, który z tych układów góruje nad innymi.

Może pomimo wszystkiego, co słyszała o idealnym małżeństwie, tak naprawdę takowe nie istniało. Może każde małżeństwo jest unikalne z natury.

Ta pocieszająca myśl napełniła ją nadzieją.

Po trwającej całą wieczność kolacji Daisy, by uniknąć rytuału herbaty i plotek, wymówiła się bólem głowy. Po części mówiła prawdę – połączenie światła, hałasu i emocjonalnego napięcia wywołało u niej bolesne pulsowanie w skroniach. Przeprosiła damy, uśmiechając się słabo, i poszła na górę.

Była już w holu, gdy usłyszała głos siostry.

– Daisy? Chcę z tobą porozmawiać.

Znała Lillian na tyle dobrze, by rozpoznać ten ton. Starsza siostra miała jakieś podejrzenia, martwiła się i chciała wszystko omówić.

Daisy czuła się jednak zbyt zmęczona.

– Proszę, nie teraz. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Czy to nie może poczekać?

– Nie.

– Boli mnie głowa.

– Mnie również. Ale musimy porozmawiać.

Ogarnęła ją irytacja. Biorąc pod uwagę cierpliwość, którą okazywała Lillian przez wszystkie te lata niekwestionowanego wsparcia i lojalności, nie prosiła chyba o wiele, domagając się, by siostra dała jej spokój.

– Idę spać – oświadczyła spokojnie. – Nie chcę nic wyjaśniać, zwłaszcza że widać, iż ty nie masz zamiaru słuchać. Dobranoc. – Dostrzegając jej zbolaną minę, dodała łagodniej: – Kocham cię. – Wspięła się na palce, ucałowała ją w policzek i weszła na schody.

Lillian z trudem zwalczyła pokusę, by pójść za nią. Poczwała, że ktoś staje obok niej, a gdy się odwróciła, zobaczyła Annabelle i Evie. Patrzyły na nią ze współczuciem.

– Nie chce ze mną rozmawiać – powiedziała z niedowierzaniem.

Evie, która rzadko ośmielała się jej dotykać, tym razem ujęła Lillian pod rękę.

– Chodźmy d-do oranżerii – zasugerowała.

W całym domu ulubionym pomieszczeniem Lillian była oranżeria. Ściany miała ze szkła, a podłogę z żelaznych krat, które przepuszczały ogrzane powietrze z palenisk poniżej. Drzewka pomarańczowe i cytrynowe nasyciły powietrze świeżym cytrusowym aromatem, egzotycznych nut dodawały jeszcze

tropikalne rośliny zawieszono na rusztowaniach. Światło padające z zewnętrznych pochodni rzucało wokół zawile cienie.

Przyjaciółki usiadły na stojących w rzędzie krzesłach. Lillian zwiesiła ramiona.

– Myślę, że to zrobili – oświadczyła ponuro.

– Kto co zrobił? – zapytała Evie.

– Daisy i pan Swift – mruknęła Annabelle z rozbawieniem. – Domyślamy się, że posiadli... cielesną wiedzę na swój temat.

– Dlaczego tak uważacie? – zdumiała się Evie.

– Cóż, siedziałaś przy drugim stole, moja droga, więc tego nie widziałaś, lecz podczas kolacji były pewne... – Annabelle uniosła znacząco brwi – podteksty.

– Och. – Evie wzruszyła ramionami. – Nic by się nie zmieniło, nawet gdybym usiadła przy właściwym stole. Nie jestem biegła w czytaniu podtekstów.

– Podteksty były wyraźne – mruknęła Lillian posępnie. – Tak samo pan Swift mógłby wskoczyć na stół i obwieścić to wszem wobec.

– Pan Swift nigdy nie zachowałby się tak wulgarnie – zaproponowała Evie stanowczo. – Nawet jeśli jest Amerykaninem.

Lillian wykrzywiła twarz w gniewnym grymasie.

– A co się stało z „nie mogłabym być szczęśliwa z bezdusznym przemysłowcem”? Co z „chcę, byśmy we cztery były zawsze razem”? Do diabła z tym wszystkim. Nie mogę uwierzyć, że Daisy naprawdę to zrobiła! Tak dobrze szło jej z Llandrindonem. Co ją opętało, by przespać się z Matthew Swiftem?

– Wątpię, żeby w ogóle spali – wtrąciła Annabelle z wesołym błyskiem w oku.

Lillian spojrzała na nią, mrużąc powieki.

– Jeśli masz na tyle zły gust, że ciebie to bawi, Annabelle...

– Lord Llandrindon nigdy nie interesował Daisy. – Evie pospiesznie pragnęła zapobiec kłótni. – Wykorzystywała go tylko, by sprowokować pana Swifta.

– Skąd wiesz? – zapytały Lillian i Annabelle chórem.

– Cóż, j-ja... – Bezradnie pomachała rękami. – Tydzień temu m-mogłam jej nieopatrznie zasugerować, by postarała się obudzić w nim zazdrość. I podziałało.

Lillian kilka razy z trudem przełknęła ślinę, zanim zdołała wykrztusić:

– Ze wszystkich niedorzecznych, głupich, idiotycznych...

– Dlaczego, Evie? – zapytała Annabelle o wiele miłszym tonem.

– Podśledzałyśmy z Daisy rozmowę pana Swifta z lordem Llandrindonem. Próbował przekonać Llandrindona do zalotów, a z jego słów wynikało wyraźnie, że pragnie jej dla siebie.

– Na pewno to sobie zaplanował – syknęła Lillian. – Musiał wiedzieć, że słuchacie. Uknuł chytry, nikczemny spisek, a ty dałaś się nabrać!

– Nie sądzę. – Evie spojrzała na poczerwieniałą twarz Lillian i zapytała z wahaniem: – Czy teraz będziesz na mnie krzyczeć?

Lillian pokręciła głową i ukryła twarz w dłoniach.

– Wrzeszczałabym jak opętana – mówiła przez palce – gdybym sądziła, że to coś da. Jestem jednak niemal pewna, że Daisy nawiązała intymne relacje z tym gadem, więc nie można jej już ocalić.

– Może ona nie chce być ocalona – zauważyła Evie.

– To dlatego, że całkiem postradała rozum – warknęła Lillian głucho.

Annabelle pokiwała głową.

– Oczywiście. Daisy przespała się z przystojnym, młodym, zamożnym, inteligentnym mężczyzną, który, jak widać, ją kocha. Co ona sobie, na miłość boską, myślała? – Uśmiechnęła się współczująco, gdy usłyszała, jak Lillian przeklina w odpowiedzi, po czym położyła szczupłą dłoń na ramieniu przyjaciółki. – Najdroższa – szepnęła – jak dobrze wiesz, był taki czas, kiedy nie miało dla mnie znaczenia, czy wyjdę za mąż z miłości... Uważałam, iż wystarczy mi, że wydobędę moją rodzinę z rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znalazła. Gdy jednak pomyślałam, jak by to było dzielić łóżko z mężem... spędzić z nim resztę życia... Simon okazał się jedynym wyborem. – Urwała, a w jej oczach błysnęły łzy. Piękna, opanowana Annabelle rzadko sobie na nie pozwalała. – Gdy jestem chora – ciągnęła – gdy się boję, gdy czegoś potrzebuję, wiem, że poruszy niebo i ziemię, by wszystko naprawić. Ufam mu każdą cząstką swego istnienia. A gdy widzę dziecko, które stworzyliśmy, w którym się wymieszaliśmy... Mój Boże, jestem taka wdzięczna losowi, że poślubiłam Simona. Wszystkie mogłyśmy wybrać sobie mężów, Lillian. Musisz pozwolić Daisy na to samo.

Lillian z irytacją strząsnęła jej dłoń.

– On nie jest taki jak nasi mężowie. Jest gorszy nawet od St. Vincenta, który może i uganiał się za spódniczkami, knuł i się łajdaczył, ale przynajmniej ma serce. – Po chwili dodała: – Bez urazy, Evie.

– Nie obrażę się. – Evie drżały wargi, jakby próbowała ukryć śmiech.

– Chodzi mi o to – podjęła Lillian – że oczywiście pragnę, by Daisy dokonała własnego wyboru, ale chciałabym ją uchronić przed tym niewłaściwym.

– Kochanie... – zaczęła Annabelle, chcąc wskazać przyjaciółce błędy w jej rozumowaniu, lecz Evie przerwała jej łagodnie.

– M-myślę, że Daisy ma prawo do błędów. My możemy ofiarować jej tylko naszą pomoc, jeśli o nią poprosi.

– Nie zdołamy jej pomóc, jeśli wyląduje w cholernym Nowym Jorku! – zaoponowała Lillian.

Evie i Annabelle nie sprzeczały się z nią dłużej, przyznając w duchu, że są takie problemy, których nie rozwiąże się słowami, i że pewnych niepokojów nie da się ukoić. Zrobiły więc to, co robią wszystkie przyjaciółki, gdy inne środki zawiodą... Dotrzymywały jej towarzystwa w przyjaznym milczeniu... bez słów udowadniając Lillian, jak bardzo ją kochają.

Gorąca kąpiel pomogła Daisy się uspokoić i ułagodzić rozstrojone nerwy. Siedziała w wodzie tak długo, aż poczuła się osłabiona i rozgrzana, a ból głowy ustąpił. Gdy odzyskała siły, włożyła białą, koronkową koszulę nocną i rozczesywała włosy, podczas gdy dwie pokojówki wyniosły wannę.

Czesłała włosy, aż spłynęły do pasa lśniąca mahoniową falą. Wpatrywała się przy tym w otwarte okno balkonowe, za którym rozpościerała się wilgotna wiosenna noc. Bezgwiazdne niebo przybrało odcień ciemnych śliwek.

Uśmiechając się lekko, usłyszała kliknięcie zamka za plecami. Pewna, że pokojówka przyszła po ręcznik lub mydło, nie odwróciła głowy.

Nagle poczuła na ramieniu dotyk, a zaraz na jej pierś zsunęła się ciepła dłoń. Poderwała się z krzesła i znalazła się w twardych męskich ramionach.

Głęboki głos Matthew połaskotał ją w ucho.

– O czym myślałaś?

– O tobie, rzecz jasna. – Oparła się na nim i pogładziła palcami jego owłosione przedramię aż do brzegów podwiniętego rękawa koszuli. Znów wyjrzała na zewnątrz. – Ten pokój należał do jednej

z siostr hrabiego – powiedziała. – Podobno jej kochanek... chłopak stajenny... wspinał się na balkon, by ją odwiedzić. Jak Romeo.

– Mam nadzieję, że nagroda warta była ryzyka.

– Ty podjąłbyś się dla mnie takiego wyczynu?

– Gdyby był to jedyny sposób. Ale nie ma sensu wspinać się dwa piętra na balkon, jeśli można skorzystać z drzwi.

– Korzystanie z drzwi nie jest nawet w połowie tak romantyczne.

– Złamanie karku też nie.

– Jak pragmatycznie. – Roześmiała się, odwracając w jego ramionach. Pachniał świeżym powietrzem i gryzącym tytoniem. Zapewne udał się po kolacji na tylny taras z innymi dżentelmenami.

Przytulona do niego odetchnęła zapachem wykrochmalonej koszuli i czystym, znajomym aromatem skóry. – Uwielbiam twój zapach – wyznała. – Mogłabym wejść z opaską na oczach do pokoju

wypełnionego setką mężczyzn i znalazłabym cię od razu.

– Kolejna gra salonowa – mruknął.

Wybuchnęli śmiechem.

Chwyliła go za rękę i pociągnęła w stronę łóżka.

– Połóż się ze mną.

Pokręcił głową, opierając się.

– Zostanę tylko parę minut. O świcie wyjeżdżam z Westcliffem. – Przesunął wygłodniałym wzrokiem po skromnej koronkowej koszuli. – A jeśli zbliżymy się do łóżka, nie zdołam się powstrzymać i będziemy się kochać.

– Nie miałabym nic przeciwko temu.

Wziął ją w ramiona i przytulił z uczuciem.

– Nie tak szybko po pierwszym razie. Musisz odpocząć.

– To dlaczego tutaj jesteś?

Poczuła, że Matthew pociera policzkiem czubek jej głowy. Nawet po wszystkim, co pomiędzy nimi zaszło, nie potrafiła uwierzyć, że pieści ją tak czule.

– Chciałem powiedzieć ci dobranoc – wymruczał. – I jeszcze...

Spojrzała na niego pytająco, a on pocałował ją namiętnie.

– Że nie musisz się martwić, nie zmienię zdania co do ślubu – dokończył. – Szczerze mówiąc, teraz już się mnie nie pozbędziesz.

– Tak. – Uśmiechnęła się do niego. – Wiem, że można na tobie polegać.

Zmuszając się, by wypuścić ją z objęć, z wahaniem podszedł do drzwi. Uchylił je ostrożnie i wyjrzał na zewnątrz, by się upewnić, że korytarz jest pusty.

– Matthew – szepnęła.

Zerknął na nią przez ramię.

– Tak?

– Wróć do mnie szybko.

Wyraz twarzy Daisy sprawił, że jego oczy zapłonęły w mroku. Krótko skinął głową i wyszedł, dopóki mógł się na to zdobyć.

ROZDZIAŁ 13

Matthew szybko się przekonał, że podróż do Bristolu z lordem Westcliffem to całkiem inne doświadczenie niż poruszanie się po mieście portowym w pojedynkę. Planował zatrzymać się w zajęździe położonym blisko centrum. Mając jednak Westcliffa za towarzysza, trafił do posiadłości zamożnej rodziny armatorów. Domyślił się, że wiele domów w okolicy pragnęłoby gościć hrabiego wystawnie.

Wszyscy należeli, albo też aspirowali, do grona przyjaciół Westcliffa. Taką moc miało arystokratyczne nazwisko. Mówiąc szczerze jednak, to nie nazwisko i tytuł zjednywały Westcliffowi ludzi... Słyszał on ze swoich postępowych przekonań, a także z biegłości w interesach, co czyniło go pożądanym gościem w Bristolu.

Miasto, drugie po Londynie pod względem obrotów handlowych, było właśnie w okresie gwałtownego rozwoju. Strefy przemysłowe powiększały się, burząc mury otaczające starówkę, poszerzano wąskie drogi i budowano nowe niemal każdego dnia. Co najistotniejsze, właśnie ukończona została nadbrzeżna linia kolejowa łącząca stację Temple Mead z dokami. W rezultacie nie było lepszego miejsca w Europie, by wprowadzić nową formę produkcji przemysłowej – manufakturę.

Niechętnie przyznał, że obecność Westcliffa ułatwiała spotkania i negocjacje. Jego nazwisko nie tylko otwierało drzwi, lecz niemal przekonywało ludzi, by oddawali mu cały budynek. W głębi ducha Matthew cieszył się, że dużo może się nauczyć od hrabiego, który wiedział wszystko o prowadzeniu interesów i tendencjach rozwojowych różnych gałęzi przemysłu.

Gdy rozmawiali na przykład o produkcji lokomotyw, hrabia nie tylko omawiał tematy projektowania i konstrukcji, znał także nazwy tuzina różnych śrub, wykorzystywanych w najnowszym modelu lokomotywy szerokotorowej.

Matthew nigdy jeszcze nie spotkał człowieka, który mógłby się z nim równać pod kątem rozumienia i przyswajania rozległej wiedzy technicznej. W Westcliffie odnalazł równego sobie entuzjastę. Dzięki temu mogli toczyć fascynujące rozmowy, przynajmniej dla nich. Wszyscy inni zaczęli chrapać po pięciu minutach.

Marcus udał się w tygodniową podróż do Bristolu w dwojakim celu. Oficjalnie po to, by osiągnąć określone cele biznesowe, nieoficjalnie natomiast – by lepiej poznać Matthew Swifta.

Nie było mu łatwo zostawić Lillian. Odkrył, że poród i okres niemowlęcy to najzwyczajniejsze sprawy na świecie, jeśli dotyczą innych ludzi, natomiast stają się szalenie ważne, gdy w grę wchodzi twoja żona i twoje dziecko. Zafascynowany córką interesował się wszystkim: jej porami snu i pobudek, pierwszą kąpielą, tym, jak wygina paluszki podczas karmienia piersią.

Choć zdarzało się, że arystokratki karmiły swoje dzieci, o wiele powszechniejsze było zatrudnianie mamki. Lillian zmieniła jednak zdanie w tej kwestii po narodzinach Merritt.

– Ona chce mnie – oświadczyła mężowi.

Nie ośmielił się powiedzieć, że dziecko nie jest zdolne do podejmowania decyzji w tej kwestii i że zapewne byłoby tak samo zadowolone z mamki.

Jego obawa, że Lillian zapadnie na gorączkę połogową, słabła z każdym dniem, gdy żona wracała do dawnej formy, była zdrowa, szczupła i pełna energii. To przyniosło mu ulgę. Nigdy jeszcze nie odczuwał takiej obezwładniającej miłości ani też nie przewidywał, że Lillian stanie się dla niego niezbędnym składnikiem szczęścia. Był gotów zrobić dla niej wszystko, co w jego mocy. A w świetle jej obaw o przyszłość siostry postanowił sformułować jakieś ostateczne wnioski co do osoby Matthew Swifta.

Gdy spotykali się z przedstawicielami linii kolejowej, zarządcą portu, miejskimi radnymi i administratorami, Swift imponował mu swoim zachowaniem. Dotychczas widywał go tylko w towarzystwie swoich wysoko postawionych gości w Stony Cross, lecz szybko stało się dla niego jasne, że Swift potrafi nawiązać relację z każdym, od starzejącego się arystokraty po krzepkiego, młodego robotnika portowego. Potrafił targować się zajadle, lecz nigdy nie zapominał, że jest dżentelmenem. Zachowywał się spokojnie, był opanowany, rozsądny i umiejętnie wykorzystywał swoje ironiczne poczucie humoru.

Marcus wyczuwał też wpływ Thomasa Bowmana w nieustępliwości Swifta i w jego wierności własnym przekonaniom. W przeciwieństwie do Bowmana jednak Swifta cechowała naturalność i pewność siebie, na którą ludzie reagowali instynktownie. Wiedział, że Matthew poradzi sobie w Bristolu. To było atrakcyjne miejsce z dobrymi perspektywami na przyszłość dla ambitnego młodego mężczyzny. Może nawet lepsze niż Londyn.

Natomiast czy Swift pasowałby do Daisy... Cóż, to wciąż zagadka. Marcus nie lubił ferować opinii w takich sprawach, doświadczenie nauczyło go bowiem, że nie jest nieomylny. Początkowo sprzeciwiał się przecież małżeństwu Annabelle i Simona Huntów. Jakąś opinię musiał jednak powziąć. Daisy zasługiwała na męża, który będzie dla niej dobry.

Po spotkaniu z przedstawicielami kolei obaj postanowili przespacerować się po Corn Street wzdłuż kramów pełnych owoców i warzyw. Niedawno podniesiono tu chodniki, by chronić pieszych przed ruchem ulicznym i ochlapaniem błotem. Po obu stronach ulicy otwierały się sklepy z książkami, przyborami toaletowymi i szklanymi ozdobami wykonanymi z miejscowego piaskowca.

Uzgodnili, że zjedzą prosty posiłek w oberży, która cieszyła się popularnością nie tylko wśród zamożnych kupców, ale także zwykłych pracowników stoczniowych.

Odprężając się w hałaśliwej atmosferze, Marcus uniósł do ust kufel ciemnego bristolskiego ale. Było zimne i gorzkie, spływało do gardła gryzącą falą, ale pozostawiało po sobie łagodny posmak.

Podczas gdy rozważał rozmaite sposoby zainicjowania tematu Daisy, Swift zaskoczył go, śmiało przechodząc do rzeczy.

– Milordzie, muszę z panem o czymś porozmawiać.

Marcus zrobił uprzejmie zachęcającą minę.

– Słucham.

– Okazuje się, że razem z panną Bowman doszliśmy do... porozumienia. Rozważywszy wszelkie logiczne zalety tego związku, podjąłem rozsądną, pragmatyczną decyzję, że...

– Długo jesteś w niej zakochany? – przerwał mu Marcus, czując rozbawienie.

Swift odetchnął ciężko.

– Od lat – wyznał. Przeczesał palcami krótkie, gęste włosy, mierzwiąc je. – Ale dopiero niedawno to zrozumiałem.

– Moja szwagierka odwzajemnia uczucie?

– Myślę... – Urwał, by upić duży łyk ale. Wyglądał młodo i niepewnie, kontynuując: – Nie wiem. Mam nadzieję, że z czasem... Niech to szlag.

– Moim zdaniem nie byłoby ci trudno zdobyć uczucie Daisy – zapewnił go Marcus nieco miłszym tonem, niż pierwotnie zamierzał. – Z tego, co zaobserwowałem, to korzystny związek dla obu stron.

Swift uśmiechnął się drwiąco.

– Nie sądzi pan, że lepiej by jej było z recytującym poezję przy każdej okazji wiejskim dżentelmenem?

– To byłaby tragedia. Daisy nie potrzeba męża tak oderwanego od rzeczywistości, jak ona. – Sięgnął po drewniany talerz stojący pomiędzy nimi, odkroił porcję jasnego sera Wensleydale, po czym włożył go pomiędzy dwie pajdy chleba. Spojrzał na Swifta pytająco, zastanawiając się, dlaczego ten młody człowiek tak mało radości czerpie z tej sytuacji. Mężczyźni wykazywali zazwyczaj większy entuzjazm na myśl o małżeństwie z ukochaną kobietą.

– Bowman będzie zadowolony – zauważył, uważnie obserwując reakcję Swifta.

– Zadowolenie go nigdy się nie liczyło. Każda implikacja, że jest inaczej, to dowód na nieznamość zalet panny Bowman.

– Nie musisz stawać w jej obronie – odparł Marcus. – Daisy to czarujące, słodkie stworzenie. Gdyby miała więcej pewności siebie i mniej wrażliwości, już dawno nauczyłaby się, jak podbijać męskie serca. Na jej korzyść przemawia to, że nie traktuje miłości jak zabawy. A niewielu mężczyzn ma dość rozumu, by docenić szczerą u kobiety.

– Ja mam – mruknął Swift.

– Na to wygląda. – Marcus poczuł sympatię do młodego kolegi, widząc, jak ten ze sobą walczy. Jako człowiek rozsądny, pałający godną pochwałą niechęcią do melodramatów Swift czuł się zawstydzony tym, że został trafiony strzałą Kupidyna. – Choć nie poprosiłeś mnie jeszcze o błogosławieństwo dla tego związku – kontynuował – zapewniam cię, że je masz.

– Nawet jeśli lady Westcliff będzie protestować?

Na wzmiankę o Lillian Marcus poczuł ukłucie bólu. Tęsknił za nią nawet bardziej, niż się spodziewał.

– Lady Westcliff – odparł sucho – będzie musiała pogodzić się z faktem, że raz na jakiś czas dzieje się coś nie po jej myśli. A jeśli okażesz się dobrym mężem dla Daisy, moja żona z czasem zmieni zdanie. Będzie sprawiedliwa.

Swift wciąż czuł niepokój.

– Milordzie... – Zacisnął palce na uchu kufła i utkwiał w nim wzrok.

Dostrzegając ponury cień na jego twarzy, Marcus przestał jeść. Instynkt podpowiedział mu, że dzieje się coś bardzo złego. Do diabła, pomyślał, czy w wypadku Bowmanów wszystko musi być takie trudne?

– Co by pan powiedział o człowieku, który buduje swoje życie na kłamstwie... a jednak życie to ma większą wartość, niż kiedykolwiek mogłoby mieć życie mu przeznaczone?

Marcus na nowo zaczął przeżuwać, przełknął, po czym uniósł do ust swój kufel, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Ale wszystko to opiera się na kłamstwie? – zapytał.

– Tak.

– Ten człowiek ograbił kogoś z czegoś, co mu się prawnie należało? Skrzywdził kogoś fizycznie lub

emocjonalnie?

– Nie. – Swift patrzył mu prosto w oczy. – Ale w grę wchodzi zatarg z prawem.

To nieco polepszyło nastrój Marcusa. Doświadczenie uczyło, że nawet najlepsi ludzie nie są w stanie uniknąć okazjonalnych problemów z prawem takiego czy innego rodzaju. Może Swift dał się skusić jakimś podejrzanym interesom lub też zaangażował się w młodzieńcze niedyskrecje, które okryłyby go wstydem, gdyby wyszły teraz na światło dzienne.

Oczywiście Marcus nie traktował spraw honorowych lekko, a mało kto powitałby z radością nowinę, że potencjalny szwagier miał w przeszłości kłopoty z prawem. Z drugiej strony jednak Swift okazał się człowiekiem o nienagannyh manierach i dobrym charakterze. A Marcus naprawdę go polubił.

– Obawiam się, że będę musiał wstrzymać się jednak z błogosławieństwem dla tego związku – oświadczył z powagą – przynajmniej dopóki nie poznam szczegółów. Jest coś więcej, co możesz zdradzić?

Swift pokręcił głową.

– Przykro mi. Boże, żałuję, że nie mogę nic powiedzieć.

– A jeśli dam ci słowo, że nie zdradzę twego zaufania?

– Nie – szepnął Swift. – Naprawdę mi przykro.

Marcus westchnął ciężko i odchylił się na oparcie krzesła.

– Niestety, nie mogę rozwiązać ani nawet załagodzić problemu, jeśli nie mam pojęcia, na czym on polega. Z drugiej strony wierzę, że ludzie zasługują na kolejną szansę. I jestem gotów oceniać ich po tym, jacy się stali, a nie po tym, jacy byli. Biorąc jednak wszystko pod uwagę... żądam od ciebie obietnicy.

Swift oderwał wzrok od kufła i spojrzał na hrabiego nieufnie.

– Jakiej, milordzie?

– Opowiesz Daisy wszystko, zanim ją poślubisz. Kiedy wyjawisz swoje problemy, niech ona zdecyduje. Nie ożenisz się z nią, dopóki nie pozna całej i nieupiększonej prawdy.

Swift nawet nie mrugnął.

– Ma pan moje słowo.

– Dobrze. – Marcus gestem wezwał do stolika służącą.

Po tej rozmowie potrzebował czegoś mocniejszego niż piwo.

ROZDZIAŁ 14

Po wyjeździe Westcliffa i Matthew Swifta do Bristolu w posiadłości zapanował wyjątkowy spokój. Lillian i Daisy odetchnęły z ulgą, Westcliff bowiem przekonał ich rodziców, by wybrali się razem z sąsiadami na wycieczkę do Stratford-on-Avon. Przez tydzień mieli brać udział w bankietach, przedstawieniach i wydarzeniach muzycznych, będących częścią festiwalu organizowanego z okazji dwieście osiemdziesiątej rocznicy urodzin Szekspira. Daisy zastanawiała się, jak hrabiemu udało się przekonać rodziców do udziału w tym wydarzeniu.

– Matka i ojciec nie mogliby być mniej zainteresowani twórczością barda ze Stratfordu – oświadczyła, gdy tylko powóz rodziców odjechał. – Nie wierzę też, by ojciec wolał jechać na festiwal niż do Bristolu.

– Westcliff nie miał zamiaru pozwolić, żeby ojciec im towarzyszył – wyjaśniła Lillian z uśmiechem.

– Dlaczego nie? To przecież firma ojca.

– Tak, ale gdy przychodzi do negocjacji, ojciec bywa zbyt bezpośredni jak na brytyjski gust... i utrudnia wszystkim dojście do porozumienia. Westcliff w pośpiechu zaplanował więc podróż do Stratfordu, by ojciec nie miał okazji zaoponować. A gdy wspomniał przy matce, ile arystokratycznych rodzin weźmie udział w festiwalu, ojciec nie miał najmniejszych szans.

– Zakładam, że Westcliff i pan Swift doskonale poradzą sobie w Bristolu – oświadczyła Daisy.

Lillian przybrała powściągliwą minę.

– Bez wątpienia.

Daisy zauważyła, że bez bufora w postaci przyjaciółek popadły z Lillian w osobliwą manierę unikania przesadnej szczerości w rozmowach. Nie podobało jej się to. Zawsze przecież były ze sobą swobodne i szczerze. Nagle jednak musiały nauczyć się unikać pewnych tematów.

Lillian nie zapytała siostry, czy ta spała z Matthew. Prawdę mówiąc, nie chciała w ogóle o nim rozmawiać. Nie zapytała też, dlaczego nic nie wynikło z relacji Daisy z lordem Llandrindonem ani dlaczego Daisy nie wybiera się do Londynu, by tam dokończyć sezon.

Daisy również nie paliła się do poruszania tych tematów. Pomimo zapewnień Matthew czuła się niespokojna i podenerwowana, ostatnie, czego pragnęła, to kłótnia z siostrą.

Zamiast tego obie skoncentrowały się na Merritt – na zmianę brały ją na ręce, ubierały i kąpały niczym laleczkę. Choć Lillian miała do dyspozycji dwie nianie, niechętnie powierzała im dziecko. Po prostu lubiła się nim zajmować.

Przed swoim wyjazdem Mercedes ostrzegła córkę, że mała może za bardzo przyzwycząić się do noszenia na rękach.

– Rozpieścisz ją, potem już nikt nie zdoła jej położyć.

Lillian odparła, że w Stony Cross Manor nie brakuje rąk i Merritt będzie kołysana tak często, jak tylko zechce.

– Pragnę, by miała zupełnie inne dzieciństwo niż my – wyjawiała później siostrze, gdy razem pchały wózek po ogrodowej ścieżce. – Ja pamiętam tylko, jak nasza matka ubierała się na wieczorne wyjścia i jak chodziłyśmy do gabinetu ojca, by spowiadać się z najnowszych przewinień, za które nas karano.

– A pamiętasz – Daisy się uśmiechnęła – jak matka krzyczała, gdy jeździłyśmy na wrotkach po chodniku i wpadałyśmy na ludzi?

Lillian zachichotała.

– Chyba że wpadałyśmy na Astorów. Wtedy nam wybaczła.

– A gdy bliźniaki zasadziły mały ogródek, a my wykopałyśmy wszystkie ziemniaki, zanim dojrzały?

– Albo jak chodziłyśmy na kraby i ryby na Long Island...

– Jak grałyśmy w palanta...

Sesja wspomnień obu siostrzom poprawiła humor.

– Kto by pomyślał – Daisy pokiwała głową – że ostatecznie poślubisz brytyjskiego arystokratę, a ja... – zawahała się – ...zostanę starą panną.

– Nie wygłupiaj się – odparła Lillian cicho. – Przecież wszyscy wiemy, że nie zostaniesz starą panną.

Nigdy jeszcze nie znalazły się tak blisko tematu związku Daisy z Matthew Swiftem. Daisy uświadomiła sobie jednak, że zaskakujące opanowanie siostry wynika z jej pragnienia uniknięcia rozłamu pomiędzy nimi. Jeśli pociągało to za sobą akceptację dla Matthew Swifta jako członka rodziny, Lillian zamierzała go tolerować. Wiedząc, że trudne jest dla niej powściągnięcie własnych opinii, Daisy zapragnęła rzucić się jej na szyję. Zamiast tego stanęła przy wózku.

– Teraz moja kolej – powiedziała.

Ruszyły dalej.

Daisy wróciła do wspomnień.

– A pamiętasz, jak przewróciłyśmy łódź na jeziorze?

– Z guwernantką w środku – dodała Lillian. Obie parsknęły śmiechem.

Pierwsi wrócili Bowmanowie, w sobotę. Jak można było przewidzieć, festiwal szekspirowski okazał się straszliwą torturą dla Thomasa.

– A gdzie Swift? – zapytał gniewnie, gdy tylko przekroczył próg. – Gdzie Westcliff? Jaki jest stan negocjacji?

– Jeszcze nie wrócili. – Lillian wyszła powitać rodziców w holu. Posłała ojcu zjadliwe spojrzenie.

– Nie zapytasz, jak ja się czuję, ojczu? Nie chcesz wiedzieć, jak sobie radzi dziecko?

– Przecież widzę, że nic ci nie jest – zripostował Bowman. – Dziecku pewnie też nie, bo od razu byś mnie o tym poinformowała. Kiedy spodziewasz się powrotu Swifta i Westcliffa?

Lillian wzniosła oczy do nieba.

– Lada chwila.

Szybko jednak stało się jasne, że doszło do opóźnienia, zapewne w związku z trudnościami, jakie wiążą się z podróżowaniem wiosną, kiedy pogoda jest nieprzewidywalna, wiejskie drogi wymagają napraw, powozy łamią koła, a konie są podatne na urazy, takie jak włogacizna i ochwat.

Gdy z nadejściem wieczoru Westcliff i Matthew się nie pojawili, Lillian oświadczyła, że powinni zasiąść do kolacji, w przeciwnym razie rozgniewają kucharkę.

W skromnej uczcie wzięli udział tylko Bowmanowie oraz dwie rodziny sąsiadów, w tym pastor

z małżonką. W trakcie posiłku do jadalni wszedł kamerdyner i szepnął coś do ucha Lillian. Ta uśmiechnęła się i oblała lekkim rumieńcem, a jej oczy rozbłysły podnieceniem, gdy poinformowała zgromadzonych, że Westcliff przyjechał i wkrótce do nich dołączy.

Daisy udało się utrzymać spokój, lecz w głębi ducha czuła poruszenie. Uświadomiwszy sobie, że sztucznie widocznie drżą w jej dłoniach, odłożyła je i opuściła ręce na kolana. Przysłuchiwała się rozmowom jednym uchem, drugim łowiła odgłosy otwieranych drzwi.

Gdy dwaj mężczyźni weszli wreszcie do jadalni umyć i przebrani po podróży, serce łomotało jej gwałtownie, nie była w stanie zaczerpnąć tchu.

Matthew objął zgromadzonych wzrokiem, po czym ukłonił się, jak Westcliff. Obaj wyglądali na opanowanych i zaskakująco wypoczętych. Można by pomyśleć, że nie było ich siedem minut, a nie siedem dni.

Zamiast zająć miejsce u szczytu stołu, Westcliff podszedł do Lillian. Nigdy nie okazywał uczuć publicznie, zaskoczył więc wszystkich, w tym również żonę, gdy ujął jej twarz w dłonie i pocałował w usta. Oblała się rumieńcem i powiedziała coś na ten temat do pastora, a Westcliff wybuchnął śmiechem.

Tymczasem Matthew usiadł na pustym krześle obok Daisy.

– Panno Bowman – powitał ją cicho.

Nie zdołała wykrztusić ani słowa. Spojrzała w jego roześmiane oczy i natychmiast ogarnęła ją fala ciepłych uczuć. Odwróciła wzrok w obawie, że zaraz zrobi coś głupiego. Pozostała jednak intensywnie świadoma bliskości jego ciała.

Westcliff i Matthew uraczyli gości opowieścią o tym, jak ich powóz utknął w błocie. Na szczęście obok przejeżdżał farmer wozem zaprzężonym w wołu i postanowił im pomóc, lecz podczas wydobywania powozu pobrudzili się od stóp do głów. Epizod ten wpłynął też negatywnie na nastrój wołu. Zanim historia dobiegła końca, wszyscy się śmiali.

Następnie podjęto temat festiwalu szekspirowskiego, co umożliwiło Thomasowi Bowmanowi wdanie się w rozwlekłą relację z jego wizyty w Stratford-on-Avon. Matthew nawet o coś zapytał, pozornie w pełni angażując się w rozmowę.

Nagle Daisy ze zdumieniem poczuła jego dłoń na swoim kolanie pod stołem. Delikatnie zacisnął palce na jej palcach. Cały czas brał udział w dyskusji – rozmawiał i uśmiechał się lekko. Wolną dłonią uniosła kieliszek z winem do ust. Upiła łyk, potem kolejny i niemal się zakrztusiła, gdy Matthew zaczął się bawić jej palcami. Emocje, w stanie uspienia przez cały tydzień, nagle obudziły się do życia.

Wciąż na nią nie patrząc, wsunął coś, aż do nasady, na jej palec serdeczny. A potem puścił jej dłoń, gdy do stołu podszedł lokaj, by napełnić kieliszki.

Daisy spojrzała na swoją dłoń i zamrugała ze zdumienia na widok błyszczącego szafiru otoczonego małymi okrągłymi diamentami. Pierścionek wyglądał jak stokrotka. Zacisnęła palce i odwróciła twarz, by ukryć rumieniec radości.

– Podoba ci się? – szepnął Matthew.

– O tak.

Podczas kolacji nie zamienili ani słowa więcej. I dobrze. Wszystko, co pragnęli sobie powiedzieć, było przecież poufne. Daisy już przygotowała się w duchu na nieskończenie długi rytuał porto i herbaty po kolacji, ale ku jej radości okazało się, że wszyscy, nawet ojciec, pragną się wcześniej położyć. Gdy tylko pastor i jego małżonka uznali, że pora wracać, goście rozeszli się bez zbędnych

ceregieli.

Wyprowadzając Daisy z jadalni, Matthew szepnął:

– Będę musiał wchodzić dzisiaj po ścianach, czy zostawisz drzwi otwarte?

– Drzwi – odparła zwięźle.

– Dzięki Bogu.

Mniej więcej po godzinie ostrożnie nacisnął klamkę i bez przeszkód wszedł do środka. Mała sypialnia tonęła w blasku lampy przy łóżku, płomień tańczył poruszany wiatrem wpadającym przez uchylony balkon.

Daisy czytała w łóżku. Włosy zebrała w schludny warkocz, który spływał na jej ramię. W skromnej białej koszuli nocnej ozdobionej koronkami na staniku wyglądała tak świeżo i niewinnie, iż Matthew odczuł wyrzuty sumienia z powodu dręczącego go pożądania. Gdy jednak oderwała wzrok od książki, jej ciemne oczy zachęciły go, by podszedł bliżej.

Odłożyła książkę. W świetle lampy jej cera wydawała się chłodna i idealna jak wypolerowana kość słoniowa. Zaprzagnął ogrzać ją dłońmi.

Uniosła kąciki ust, jakby czytała mu w myślach. Gdy odsunęła kołdrę, na palcu rozbłysnął szafir. Matthew był zaskoczony swoją reakcją na ten widok – ogarnęła go fala pierwotnej zaborczości. Powoli uległ jej zaproszeniu.

Usiadł na brzegu materaca, czując żywy ogień w całym ciele, gdy Daisy zebrała poły koszuli nocnej. Z gracją kota usiadła mu na kolana. Oszołomił go słodki aromat kobiecej skóry. Daisy otoczyła szczupłymi ramionami jego szyję i powiedziała uroczyście:

– Tęskniłam za tobą.

Dłońmi poznawał na nowo zarys jej ciała; delikatne wypukłości, szczupłą talię, jędrne pośladki w kształcie serca. Walory fizyczne, choć niezaprzeczone, nie robiły jednak na nim takiego wrażenia jak jej miękka, prosta natura i żywa inteligencja.

– Ja też za tobą tęskniłem.

Delikatnie przeczesalał palcami jego włosy, a Matthew przeszedł dreszcz rozkoszy od nasady czaszki aż po krocze.

– Poznałeś w Bristolu wiele kobiet? Westcliff wspominał coś o kolacji, o wieczorku wydanym przez waszego gospodarza... – Pytanie zabrzmiało prowokacyjnie.

– Nie zauważyłem tam żadnych kobiet. – Rozszalałe pożądanie uniemożliwiało mu zborne myślenie. – Tylko ciebie pragnę.

Pacnęła go żartobliwie w nos.

– W przeszłości nie żyłeś jednak w celibacie.

– Nie – przyznał, zamykając oczy, gdy poczuł pieszczotę jej oddechu na skórze. – To bardzo frustrujące uczucie, gdy trzymając kobietę w ramionach, marzysz o innej. Zanim opuściłem Nowy Jork, zrozumiałem, że każda kobieta, z którą byłem przez ostatnich siedem lat, pod jakimś względem przypominała ciebie. Jedna miała twoje oczy, inna twoje dłonie lub twoje włosy... Myślałem, że będę musiał spędzić resztę życia na poszukiwaniu małych fragmentów ciebie. Myślałem...

Przycisnęła usta do jego ust, absorbując to gorzkie wyznanie. Rozchyliła wargi, a on nie potrzebował innej zachęty. Łagodny nacisk jego języka pogłębił się, aż zawładnął nią w pełni. Przywarła do niego; miękkie półkule piersi ocierały się o jego tors przy każdym oddechu.

Położył Daisy na plecach, chwycił brzeg koszuli nocnej i podniósł wyżej. Pomogła mu przy zdejmowaniu koszuli przez głowę. Poruszała się z takim wdziękiem, że krew zapłonęła mu w żyłach.

Leżała przed nim naga, ciało oblewało się rumieńcem w blasku świecy. Skromnie objęła się rękami. Upijał się tym widokiem, zrzucając swoje ubranie.

Położył się obok niej i robił wszystko, by przełamać jej nieśmiałość. Pieścił barki, szyję, kruche obojczyki. Żarem swojej skóry nasycił jej chłodne członki, ciało zdawało się płonąć pod cierpliwym dotykiem. Gdy krzyknęła i owinęła się wokół niego, uciszył ją wargami, szepcząc, że okna są otwarte.

Ustami wypalał leniwe ścieżki na jej piersiach. Brał miękkie brodawki pomiędzy wargi, aż twardniały drażnione językiem. Słyszając jej stłumione jęki, uśmiechnął się, po czym polizał lekko sutek. Bawił się jej piersią, aż przycisnęła dłoń do ust, dysząc ciężko.

Wyrwała mu się, by stłumić jęk poduszką.

– Nie mogę – szepnęła drżąc. – Nie mogę być cicho.

Roześmiał się lekko i powiódł ustami po kręgosłupie.

– Ale ja nie przestanę. – Odwrócił ją na plecy. – Pomyśl, co by się stało, gdyby nas nakryli.

– Matthew, proszę...

– Sza. – Wędrował ustami po jej ciele bez zahamowań, całował, gryzł czule, aż zaczęła się wić.

Wbijała szczupłe palce w materac niczym kocie pazury, odsuwając się. Za każdym razem przytulał ją, szeptał czule słówka i obietnice, uciszał pocałunkami, łagodnie wypełniał i koił palcami spragnione wnętrze. Kiedy napięła mięśnie, a cała skóra zaśniła potem, ułożył się pomiędzy drżącymi udami.

Wyprężyła się, czując jego twardość; z łatwością się w nią wsunął... a po chwili jęknęła i oblała się rumieńcem, gdy szukał właściwego rytmu. Wiedział, że mu się to udało, gdy podciągnęła kolana do góry i instynktownie objęła nimi jego biodra.

– Tak, trzymaj się mnie... – szepnął, wchodząc w nią raz po raz. Nie zaznał dotąd takiej ekstazy jak teraz, gdy wdzierał się w jej ciasne wnętrze, zakorzeniał się w nim coraz głębiej, a ona podrywała się bezradnie w górę. Podążał za każdym jej ruchem, dawał jej, czego potrzebowała, pragnąc obojgu sprawić rozkosz.

Znów zakryła usta dłonią i szeroko otworzyła oczy. Chwycił ją za nadgarstek, odsunął dłoń i otworzył jej usta swoimi, by wedrzeć się w nie głęboko językiem. Wstrząsające nią paroksyzmy rozkoszy wywołały w nim orgazm. Z jego piersi dobył się niski jęk, gdy doszedł i zadygotał.

Gdy ostatnie dreszcze przeminęły, ogarnęła go senność bardziej obojętna niż wszystko, co dotąd znał. Tylko myśl, że przygniata Daisy, mogła go zmusić, by przetoczył się na bok. Zaprotestowała z niezadowoleniem i sięgnęła po niego, spragniona ciepła jego ciała. Przesunął się, ułożył jej głowę w zagłębieniu swego ramienia i zdołał jakoś przykryć ich oboje.

Chciało mu się spać, lecz wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Nie wierzył, by zdołał się obudzić, zanim pokojówka przyjdzie napalić w kominku. Był na to zbyt zaspokojony, a dotyk drobnego ciała Daisy, która tuliła się do niego, okazał się zbyt kuszący, by mu się oprzeć.

– Muszę iść – szepnął w jej włosy.

– Nie, zostań. – Odwróciła twarz i musnęła wargami nagą skórę jego torsu. – Zostań na całą noc.

Zostań na zawsze.

Uśmiechnął się i pocałował skroń.

– Chciałbym. Ale myślę, że twoja rodzina nie ucieszyłaby się na wieść, że cię zdeprawowałem, zanim doszło do oficjalnych zaręczyn.

– Nie czuję się zdeprawowana.

– A ja tak – mruknął.

Uśmiechnęła się.

– W takim razie powinnam cię chyba poślubić. – Z wahaniem przesunęła dłonią po jego ciele. – Jak na ironię – dodała – będzie to mój pierwszy uczynek, który zadowoli ojca.

Szepnął coś współczująco i wziął ją w ramiona. O Bowmanie wiedział więcej niż ktokolwiek, dobrze poznał jego zmienne nastroje, egocentryzm, niemożliwie wysokie standardy. Rozumiał też jednak, ile musiał ten człowiek poświęcić, by zbudować od zera swoje imperium. Odrzucał wszystko, co stało mu na drodze do celu. W tym także miłość żony i dzieci.

Po raz pierwszy Matthew doszedł do wniosku, że rodzina Bowmanów zyska na obecności kogoś, kto mógłby działać jako mediator, ułatwiając komunikację pomiędzy nimi. Był gotów podjąć się tego, wiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by tak się stało.

– Ty – szepnął w jej włosy – jesteś jego największym osiągnięciem. Kiedyś to zrozumie.

Poczuł, że Daisy się uśmiecha.

– Wątpię. Ale miło słyszeć. Nie musisz się o mnie martwić, wiesz? Już dawno temu pogodziłam się z rzeczywistością.

Znów poczuł się oszołomiony ogromem uczuć, jakie w nim budziła, własnym nieograniczonym pragnieniem, by dać jej szczęście.

– Wszystko, czego potrzebujesz – szeptał. – Wszystko, czego pragniesz. Dam ci to. Tylko powiedz.

Przeciągnęła się leniwie, czując przyjemny dreszcz w kończynach. Dotknęła jego ust palcami, badając ich gładkość.

– Chcę wiedzieć, na co przeznaczyłeś swoje pięciodolarowe życzenie.

– To wszystko? – Uśmiechnął się pod jej badawczymi palcami. – Zażyczyłem sobie, byś znalazła kogoś, kto pragnąłby cię tak mocno jak ja. Ale wiedziałem, że to niemożliwe.

Blask świecy oblał jej delikatne rysy, gdy podniosła głowę, by na niego spojrzeć.

– Dlaczego nie?

– Bo nikt nie zdołałby cię pragnąć tak mocno.

Uniosła się jeszcze wyżej, aż włosy otoczyły ich ciemną zasłoną.

– A ty czego sobie zażyczyłaś? – Przeczesał lśniące pasma palcami.

– Chciałam znaleźć odpowiedniego kandydata na męża. – Czułość jej uśmiechu sprawiła, że serce mu zadrżało. – I wtedy zjawiliś się ty.

ROZDZIAŁ 15

Tej nocy Matthew spał wyjątkowo długo, a gdy się obudził, zszedł na dół. Służba zamiatała długie kilometry korytarzy wyłożonych kamiennymi płytami, dywanami i parkietami, przycinała knoty w lampach, wymieniała świece i polerowała mosiężne klamki.

Gdy tylko wszedł do jadalni, pokojówka zaproponowała, że poda mu śniadanie na tylnym tarasie, jeśli on sobie życzy. Zapowiadał się piękny dzień, więc chętnie skorzystał z jej sugestii.

Usiadł przy stoliku i obserwował małego brązowego zająca, skaczącego po wypielegnowanych trawnikach.

Jego cichy namysł przerwało skrzypienie drzwi balkonowych. Obejrzał się przez ramię i zauważył, że zamiast pokojówki z tacą śniadaniową na taras wychodzi mniej mile przez niego widziana Lillian Bowman. Jęknął w duchu, zgadując, że Westcliff powiedział żonie o jego zaręczynach z Daisy.

Hrabia musiał jednak wpłynąć jakoś na małżonkę. Nie wyglądała na szczęśliwą, rzecz jasna, ale Matthew uznał za dobry znak, że nie przysłała do niego z siekierą w dłoni. Jeszcze.

Nakazała mu gestem, by nie wstawał, gdy podeszła bliżej. I tak się podniósł.

Miała obojętną minę i panowała nad głosem:

– Nie musi pan patrzeć na mnie jak na jedną z plag egipskich. Jestem zdolna do odbywania racjonalnych dyskusji od czasu do czasu. Możemy zamienić słowo?

Usiadła, zanim odsunął dla niej krzesło.

Przyglądając się jej ostrożnie, sam na powrót usiadł, lecz nic nie powiedział, czekając, aż ona zrobi to pierwsza. Pomimo napiętej atmosfery niemal się uśmiechnął, gdy doszedł do wniosku, że często widywał tę samą minę na twarzy Thomasa Bowmana. Lillian zamierzała postawić na swoim, lecz zdawała sobie sprawę, że krzykiem, nawet gdyby okazał się satysfakcjonujący, nic nie osiągnie.

– Oboje wiemy – oświadczyła z wymuszonym spokojem – że choć nie jestem w stanie zapobiec temu cholernemu małżeństwu, mogę wszystko wszystkim bardzo utrudnić. Zwłaszcza tobie.

– Tak, jestem tego świadom – powiedział bez sarkazmu. Niezależnie od tego, co sądził o Lillian, wiedział, że jej miłość do Daisy jest niewzruszona.

– W takim razie skończmy z tymi podchodami i pogadajmy jak mężczyzna z mężczyzną.

Ostatkiem sił powściągnął uśmiech.

– Zgoda – odparł rzeczowo. Uznał, że z czasem mógłby polubić Lillian. W jej towarzystwie człowiek przynajmniej zawsze wiedział, na czym stoi.

– Jedyne powód, dla którego mogłabym tolerować ciebie w roli szwagra – kontynuowała – jest taki, że mój mąż ma o tobie dobre zdanie. A ja jestem skłonna wziąć jego opinię pod uwagę. Choć nie jest nieomylny.

– Chyba pierwszy raz ktoś powiedział tak o hrabim w mojej obecności.

– No, cóż... – Lillian zaskoczyła go nikłym uśmiechem. – To dlatego Westcliff się ze mną ożenił. Ponieważ traktując go jak zwykłego śmiertelnika, pozwalam mu odpocząć od tych bezustannych

dowodów uwielbienia. – Wbiła w niego ciemne oczy, okrągłejsze i nie tak egzotyczne, jak oczy Daisy. – Westcliff poprosił, bym zdobyła się na bezstronność. Nie jest to łatwe, kiedy na szali leży przyszłość mojej siostry.

– Milady, jeśli moje zapewnienia jakoś panią uspokoją...

– Chwileczkę. Najpierw powiem, co mam do powiedzenia.

Umilkł posłusznie.

– Zawsze stanowiąc dla mnie ucieleśnienie najgorszych cech mojego ojca. Chłód, ambicja, egoizm. Tyle że ty jesteś gorszy, ponieważ potrafisz doskonale się maskować. Jesteś tym, czym byłby mój ojciec, gdyby los pobłogosławił go męską urodą i odrobiną wyrafinowania. Moim zdaniem, zdobywszy ciebie, Daisy poczuła, że w jakiś sposób wreszcie udało się jej zadowolić ojca. – Zmarszczyła brwi. – Moja siostra zawsze obdarzała uczuciem najbardziej odstręczające istoty... zbłąkane psy, odmieńców. Gdy już kogoś pokocha, nieważne, ile razy ten ktoś zdradzi ją lub rozczaruje, ona zawsze przyjmie go z otwartymi ramionami. Ale ty zapewne nie docenisz tej cechy bardziej, niż ceni ją mój ojciec. Weźmiesz to, czego pragniesz, i nic jej nie dasz w zamian. A gdy już ją zranisz, co jest nieuniknione, pierwsza stanę w kolejce ludzi czekających, by uciąć ci łeb. Zanim z tobą skończę, nie będzie nawet co zbierać.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o bezstronność – mruknął Matthew. Szanował jej brutalną szczerość, nawet jeśli razy bolały. – Czy mogę odpowiedzieć na te zarzuty z taką samą szczerością?

– Na to liczę.

– Milady, nie zna mnie pani na tyle, by móc ocenić, na ile przypominam pani ojca. Ambicja to żadna zbrodnia, zwłaszcza jeśli ktoś zaczyna od zera. I nie jestem zimny, jestem z Bostonu. To znaczy, że nie mam inklinacji do okazywania emocji publicznie. Jeśli chodzi o egoizm, nie może pani wiedzieć, ile, jeśli w ogóle cokolwiek, uczyniłem dla innych ludzi. Ale prędzej mnie piekło pochłonie, niż zacznę recytować listę moich dobrych uczynków w nadziei, że tym zdobędę twoją aprobatę. – Zmierzył ją chłodnym spojrzeniem. – Nieważne, co sądzisz na ten temat, to małżeństwo dojdzie do skutku, ponieważ oboje z Daisy go pragniemy. Dlatego też nie muszę kłamać. Mógłbym powiedzieć, że nie dbam o uczucia Daisy, a i tak dostałbym to, czego chcę. Fakty są jednak takie, że ją kocham. Od dawna.

– W tajemnicy kochasz moją siostrę od lat? – zapytała sceptycznie. – Jakie to wygodne.

– Może nie była to od początku miłość. Powiedzmy, że miałem tę uporczywą, obeszwaną... preferencję dla jej osoby.

– Preferencję? – Zrobiła oburzoną minę, po czym wybuchnęła śmiechem, całkiem go zaskakując. – Boże, ty naprawdę jesteś z Bostonu.

– Możesz mi wierzyć lub nie, lecz gdyby to ode mnie zależało, nie zakochałbym się w Daisy. O wiele lepiej dla mnie byłoby znaleźć inną. Bóg jeden wie, że należą mi się słowa uznania za to, że godzę się na wejście do rodziny Bowmanów.

– *Touché*. – Lillian nie przestawała się uśmiechać. Oparła podbródek na dłoni i utkwiała wzrok w Matthew. Nagle w jej głosie zabrzmiała wścibska nuta, która sprawiła, że włosy na jego karku stanęły dęba. – To ciekawe, że bostoński Swift utrzymuje, iż zaczynał od zera... Czyżbym się myliła przez te wszystkie lata, wierząc, że pochodzisz z zamożnej rodziny?

Do diabła, ależ ona jest mądra. Uświadomiwszy sobie swój błąd, Matthew odparł gładko:

– Główna gałąź Swiftów jest bardzo wpływowa. Ja należę jednak do tak zwanych ubogich krewnych i właśnie z tego powodu musiałem znaleźć sobie zatrudnienie.

Uniosła lekko brwi.

– A wpływowi Swiftowie pozwolili ubogiemu krewnemu cierpieć nędzę? To sugerujesz?

– Może nieco przesadzam. Jestem jednak pewien, że nie będziesz się tym przesadnie zajmować, umknie ci bowiem główny wątek.

– Och, wierzę, że dość dobrze rozumiem główny wątek, panie Swift. – Wstała z krzesła, zmuszając go, by uczynił to samo. – Jeszcze jedno. Wierzysz, że Daisy będzie szczęśliwa, mieszkając w Nowym Jorku?

– Nie – odparł cicho. Dostrzegł błysk zdumienia w jej oczach. – To oczywiste, że ty i wasze przyjaciółki jesteście jej do szczęścia niezbędne.

– W takim razie... byłbyś gotów przenieść się tutaj na stałe? Nawet gdyby mój ojciec protestował?

– Tak, jeśli tego właśnie pragnie Daisy. – Na próżno próbował powstrzymać irytację. – Nie boję się wybuchów gniewu twojego ojca, milady, nie jestem też jego marionetką. Pracuję dla niego, ale to nie znaczy, że zrezygnowałam z wolnej woli i używania mózgu. Potrafię znaleźć sobie korzystne zatrudnienie w Wielkiej Brytanii, nawet poza Bowman Enterprises.

– Panie Swift – zadeklarowała Lillian szczerze – nawet pan nie wie, jak bardzo kusi mnie, by panu uwierzyć.

– To znaczy...?

– To znaczy chyba, że postaram się być dla pana miłsza.

– Od kiedy? – mruknął.

Uśmiechnęła się lekko.

– Może od przyszłego tygodnia.

– Nie mogę się już doczekać – wymamrotał, po czym usiadł, gdy odeszła.

Zgodnie z przewidywaniami, Mercedes Bowman przyjęła nowinę o zaręczynach Daisy z Matthew Swiftem bez zachwyty. Po sukcesie starszej córki marzyła, by drugiej też się udało. Nie uważała za istotne, że Matthew Swift bez wątpienia zdobędzie fortunę, zarządzając firmami na dwóch kontynentach. Jeszcze mniej liczyło się dla niej, że Daisy znalazła partnera, który rozumiał jej dziwactwa, a nawet się z nich cieszył.

– A kogo obchodzi to, że on umie zarabiać pieniądze? – narzekała, siedząc z córkami w saloniku Marsdenów. – W Manhattanville mnóstwo jest przedsiębiorczych mężczyzn, wielu zrobiło fortunę. Przecież przyjechałyśmy tutaj po to, by znaleźć dżentelmena, który może szcycić się czymś więcej. Och, Daisy, tak bardzo żałuję, że nie zdołałaś przykuć uwagi mężczyzny z klasą i odpowiednim rodowodem.

Lillian, która właśnie karmiła dziecko, odparła sarkastycznie:

– Mamo, nawet gdyby Daisy poślubiła księcia Luksemburga, nie zmieniłoby to faktu, że Bowmanowie wywodzą się z pospólstwa i że babcia, świeć Panie nad jej duszą, była portową praczką. Takie zafascynowanie arystokracją przybrało przesadne rozmiary, nie sądzisz? Dajmy już temu spokój i cieszymy się szczęściem Daisy.

Oburzona Mercedes wyduła policzki, przez co jej wąska twarz przybrała wygląd hutniczego miecha.

– Darzysz pana Swifta taką samą sympatią jak ja – wytknęła.

– Zgadza się – powiedziała Lillian szczerze. – Ale z bólem serca przyznaję, że to stawia nas w mniejszości. Swifta uwielbia cała północna półkula, Westcliff, jego przyjaciele, moje przyjaciółki,

służba, sąsiedzi...

– Przesadzasz...

– ...dzieci, zwierzęta i wyższe rzędy roślin – dokończyła Lillian drwiąco. – Gdyby warzywa mogły mówić, bez wątpienia również opowiedziałyby się po jego stronie.

Siedząca z książką przy oknie Daisy podniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko.

– Drób zdaje się być odporny na jego urok – oświadczyła. – Ma poważny problem z gęsiami. – Spoważniała. – Dziękuję za twoje zrozumienie, Lillian. Oczekiwałam, że będziesz robić większe zamieszanie z powodu naszych zaręczyn.

Siostra westchnęła ponuro.

– Pogodziłam się z tym, że łatwiej byłoby mi przepchnąć wielbłąda przez ucho igielne, niż stanąć na drodze temu małżeństwu. Zresztą będziesz łatwiej dostępna w Bristolu niż z lordem Llandrindonem w Thurso.

Na wzmiankę o Llandrindonie Mercedes niemal się rozpląkała.

– Mówił, że w Thurso jest mnóstwo miejsc odpowiednich do spacerów – oświadczyła z żalem. – I do tego mieszkali tam wikingowie. Chciałabym dowiedzieć się więcej o wikingach.

Lillian prychnęła śmiechem.

– A od kiedy to interesują cię wojowniczo nastawieni poganie, noszący idiotyczne nakrycia głowy?

Daisy oderwała wzrok od książki.

– Znów rozmawiamy o babci?

Matka zmierzyła obie gniewnym spojrzeniem.

– Nie pozostaje mi chyba nic innego, jak zaakceptować ten związek. Pociesza mnie tylko, że tym razem będę mogła przynajmniej należycie zaplanować wesele. – Nigdy nie wybaczyła Lillian i Marcusowi ucieczki do Gretna Green, bo pozbawiło ją to możliwości zorganizowania wielkiej fety, o jakiej zawsze marzyła.

Lillian uśmiechnęła się do siostry znacząco.

– Nie zazdroszczę ci, moja droga.

– To nie będzie przyjemne – ostrzegła Daisy Matthew tego samego dnia, gdy siedzieli na trawiastym brzegu sadzawki na zachodnim skraju wioski. – Uroczystość zostanie zaplanowana tak, by cały świat musiał dostrzec Bowmanów.

– Tylko Bowmanów? Czy ja również nie powinienem brać w tym udziału?

– Och, pan młody to najmniej istotny element – odparła radośnie.

Zamierzała rozbawić Matthew, lecz zauważyła, że z ponurą miną wbił wzrok w wody sadzawki.

Kamienny wiatrak ze skrzydłami o średnicy trzech metrów został porzucony wiele lat temu na rzecz produktywniejszych metod mielenia. Krzywy, dwuspadowy dach i drewniana fasada nadawały mu jednak szorstkiego uroku, który dodatkowo podkreślała sielska sceneria.

Matthew łowił na przynętę ryby, a Daisy moczyła gołe stopy w wodzie. Od czasu do czasu poruszała palcami, prowokując żadne przygód strzeble.

Przyglądała się narzeczonemu, który rozmyślał nad jakimś ponurym tematem. Profil miał wyrazisty – prosty nos, ostro zarysowane wargi i surowa linia szczęki. Rozkoszowała się jego wyglądem – zmoczył koszulę, spodnie były oblepione suchymi liśćmi, a gęste zmierzwiłone włosy opadały mu na czoło.

Matthew miał nieprzeciętną osobowość, Daisy fascynowała jego dwoistość. Czasami bywał

agresywnym, skupionym, sztywnym biznesmenem, który swobodnie operował faktami i liczbami. Innym razem stawał się łagodnym, wyrozumiałym kochankiem, zrzucał maskę cynizmu niczym stary płaszcz i angażował się w żartobliwe dyskusje na temat tego, która starożytna kultura miała najlepszą mitologię i jakie warzywa lubił najbardziej Thomas Jefferson. (Daisy utrzymywała, że zielony groszek, ale Matthew prawie ją przekonał swoimi argumentami do pomidorów).

Toczyli długie rozmowy o historii i polityce. Jak na mężczyznę o tak konserwatywnym pochodzeniu doskonale orientował się w kwestiach reform. Ludzie interesów często zapominali podczas swej nieustępliwej wspinaczki na szczyt drabiny społecznej o tych, którzy zostali na dnie. Zdaniem Daisy, dobrze świadczyło o jego charakterze to, że przejawiał autentyczną troskę o tych, którym się nie poszczyło.

W rozmowach zaczęli też snuć nieśmiałe plany na przyszłość... Postanowili znaleźć w Bristolu dom na tyle duży, by mogli podejmować gości. Matthew uważał, że musi być widok na morze i biblioteka na książki Daisy oraz – dodawał z powagą – wysoki mur dookoła, by mógł ją niewolić w ogrodzie bez narażania się na ciekawskie spojrzenia.

Własny dom... Do tej pory nie potrafiła go sobie wyobrazić, lecz pomysł, by wszystko urządzić dokładnie po swojemu, według własnego gustu, coraz bardziej jej się podobał.

Ich relacja miała jednak pewne niedostatki. Matthew był gotów wieloma rzeczami dzielić się z Daisy, ale równie dużo pozostawiał tylko dla siebie. Czasami rozmowa z nim przypominała spacer uroczą, krętą ścieżką w różnorodnej scenerii, który kończył się zderzeniem z kamiennym murem.

Gdy naciskała na rozmowy o przeszłości, ogólnikowo opisywał stan Massachusetts i dorastanie w okolicach Charles River. Uparcie zachowywał dla siebie wszelkie informacje o swojej rodzinie. Nie chciał nawet rozmawiać o tym, którzy członkowie klanu Swiftów wezmą udział w ceremonii ślubnej. A przecież zamierzał chyba kogoś zaprosić.

Można by pomyśleć, że w ogóle nie istniał w okresie przed rozpoczęciem pracy w wieku dwudziestu lat u jej ojca. Daisy pragnęła przełamać upór narzeczonego. Doprowadzało ją do szaleństwa, że wciąż musi się mierzyć z ulotną tajemnicą. Ich związek zdawał się ucieleśnieniem teorii Hegla... Coś znajdowało się zawsze w procesie stawania się czymś innym, nigdy nie osiągając tego ostatecznego etapu.

Wracając myślami do teraźniejszości, postanowiła przykuć uwagę narzeczonego.

– Oczywiście – napomknęła swobodnie – nie musimy w ogóle brać ślubu. Możemy przecież odwołać się do tradycji. Podaruj mojemu ojcu krowę i miejmy to za sobą. Albo zorganizujemy zrękowiny. Jest też przecież obrządek starogrecki, podług którego powinnam obciąć włosy w ofierze Artemidzie, a następnie odbyć rytualną kąpiel w świętym strumieniu...

Nagle znalazła się na plecach, a niebo nad jej głową przysłoniła częściowo sylwetka Matthew. Wybuchnęła śmiechem, gdy cisnął wędkę na bok. Niebieskie oczy błyszczały szelmowsko.

– Mógłbym się zgodzić na wymianę krów lub zrękowiny. Ale o łysej pannie młodej nie może być mowy – powiedział, rzucając się na nią.

Rozkoszowała się jego ciężarem, miękką trawą pod plecami, zapachami ziemi i ziół.

– A rytualna kąpiel? – zagađnęła.

– To się da zrobić. W sumie... – Sięgnął do guzików jej sukni. – Myślę, że powinnaś poćwiczyć. Pomogę ci.

Wyrywała się i krzyczała, gdy zaczął rozpinać jej stanik.

– To nie jest święty strumień, to błotnista stara sadzawka!

Matthew nie słuchał. Śmiał się tylko, gdy uciekała, ale udało mu się złapać Daisy i obnażyć ją do pasa. Sprzeciwiając się dyktatowi mody z powodu wyjątkowo pięknej pogody, udała się na spacer bez gorsetu. Gdy natarła na twardą jak skała pierś Matthew, przetoczył się na plecy i pociągnął ją za sobą. Świat wokół zawirował. Nagle wylądowała na jego torsie, a on nieustępliwie próbował ściągnąć z niej halkę przez głowę.

– Matthew – zaprotestowała głosem stłumionym przez materiał.

Zerwał jednak halkę i cisnął na bok. Ujął Daisy pod ramiona i podniósł, aż zawisła nad ziemią jak bezradne kocię. Oddech mu przyspieszył, gdy spojrzał na białe, zakończone różowymi brodawkami piersi.

– Postaw mnie na ziemi. – Oblała się rumieńcem, speszona żarliwością jego spojrzenia. Kochali się już dwa razy, lecz wciąż nieśmiałość nie pozwalała jej swobodnie cieszyć się swoją nagością na świeżym powietrzu.

Spełniwszy jej życzenie, stanął przed nią i zamknął usta na naprężonym sutku.

– Nie – zdołała wykrztusić – nie o to... Och...

Ssał obie piersi po kolei, pieścił zębami, językiem, bawił się nimi i koił. Przerwał igraszki, by pozbawić ją reszty ubrań, po czym pocałował głęboko. Szarpnęła jego koszulę niezdarnymi palcami.

Opuścił ręce, by łatwiej sobie z nią poradzić, i delikatnie przytulił Daisy do nagiego torsu. Ciepły nacisk skóry pozbawił ją zdolności logicznego myślenia. Rzuciła mu się na szyję i miażdżyła wargami jego wargi, mocno, namiętnie i wygłodniałe.

Otworzyła oczy ze zdumienia, słysząc stłumiony śmiech.

– Cierpliwości, kochanie – szepnął. – Próbuję posuwać się powoli.

– Dlaczego? – zapytała. Wargi miała gorące i wrażliwe. Musnęła je językiem, a on podążył wzrokiem za tym ruchem.

Jego głos stał się ochrypły.

– Bo to da ci więcej rozkoszy.

– Nie potrzebuję więcej rozkoszy. Po prostu nie zdołam znieść.

Roześmiał się cicho. Ujął jej twarz, koniuszkiem języka odnalazł subtelne wgłębienie w dolnej wardze i polizał. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Zawładnął jej ustami w zmysłowym pocałunku, pieszcząc językiem.

Powoli ułożył Daisy na ziemi na swojej koszuli. Cienki materiał pachniał nim rozkosznie i Daisy zatoneła cała w znajomym aromacie. Zamknęła oczy, by uchronić je przed blaskiem słońca, gdy Matthew przesunął się nad nią. Rozpiął spodnie od góry, lecz nogawki wciąż ocierały się o jej nogi. Podniecona tym, że jest całkiem naga, podczas gdy on wciąż ma na sobie ubranie, rozchyliła uda, pozwalając mu się pomiędzy nimi położyć.

– Chcę być częścią ciebie – szepnął. – Chcę być z tobą na zawsze.

– Tak, tak... – Owinęła się wokół niego z giętką siłą.

Wszedł w nią powoli i tam, gdzie kiedyś czuła ból, pojawiła się tylko rozkosz, gdy zaczął ją wypełniać. Stopniowo zagłębiał się coraz bardziej, opierając się, gdy go ponaglała. Wiła się pod nim i próbowała wciągnąć głębiej, dysząc ciężko z podniecenia i wysiłku. Jęknęła, gdy zacisnął dłonie na jej biodrach, by ją unieruchomić.

– Spokojnie... – Głos miał zwodniczo miękki. – Cierpliwości.

Potrzebowała go całego, teraz. Jej ciało pulsowało, nerwy nabrzmiwały doznaniem.

– Proszę... – Łaknęła nacisku jego warg. Z trudem formowała słowa. – N-nie mogę tak po prostu

leżeć, gdy ty...

– Ależ możesz.

Trwał w niej nieruchomo, dłońmi błędził badawczo po jej ciele. Wiła się pod nim, zmysłowe pieszczoty wzmagały jeszcze jej pożądanie. Z każdym jego ruchem czuła we wnętrzu płomień, wzbijał się coraz wyżej, jaśniał, aż wygięła się pod nim w łuk, unosząc biodra.

Uległ jej z tłumionym śmiechem, przejął kontrolę nad rytmem, uwodził długimi pchnięciami. Nieustępliwe ciało parzyło i napełniało ją rozkoszą.

– Nie ma pośpiechu, Daisy – wychrypiał. – Nie ma powodu... Tak, właśnie tak... Moje kochanie, tak... – Skłonił głowę na jej ramię, czuła musnięcia oddechu na skórze. Mięśnie jego barków naprężyły się, gdy wbił palce w ziemię, jakby chciał ich oboje w niej zakorzenić.

Daisy czuła się jak dzikie stworzenie, ocierając się o trawę w pierwotnym rytmie jego bioder. Znow wygięła się w łuk, przywierając do niego. Wszystkimi zmysłami chłonęła rozkosz, gdy rozlała się po jej ciele aż po koniuszki palców u rąk i nóg, z miejsca, w którym się połączyli.

Matthew zadrżał w ramionach Daisy. Gdy całował jej piersi, muskając sutki oddechem, zelektryzował swoim spełnieniem jej wnętrze.

Daisy czuła jego miłość... czuła w każdym uderzeniu jego serca, gdy się do niej przytulał. Przyznał się do niej Westcliffowi, przyznał się Lillian, lecz z jakiegoś powodu jej dotąd nie powiedział.

Ona nie uważała miłości za emocję, do której należy podchodzić z wahaniem. Pragnęła zanurzyć się w niej cała, ufając mu z dziewczęcą szczerością... ale Matthew nie był chyba jeszcze na to gotowy.

Nadejdzie jednak dzień, obiecała sobie, kiedy wszystkie przeszkody znikną. Nadejdzie taki dzień...

ROZDZIAŁ 16

Święto majowe celebrowano w Stony cross od wieków, najpierw jako pogański obrzęd końca zimy i początek okresu wegetacyjnego. Z biegiem lat uroczystości przedłużały się, by ostatecznie stać się trzydniowym wydarzeniem pełnym zabaw, ucztowania, tańców i wszelkich innych rozrywek.

Miejscowa szlachta, farmerzy i mieszczaństwo swobodnie mieszały się podczas festiwalu pomimo protestów duchowieństwa i co bardziej konserwatywnych obywateli, którzy utrzymywali, że święto majowe to nic więcej, jak wymówka do pobłażania sobie, cudzołożenia i publicznego pijaństwa. Lillian powiedziała kiedyś Daisy, że im głośniejsze narzekania na grzeszność obchodów, tym większa na nich frekwencja.

Zielony plac w wiosce oświetlono pochodniami. Nieco dalej rozpalono ogromne ognisko, nad którym aż do pochmurnego nieba unosił się słup dymu. Przez cały dzień nie było pogody, w powietrzu czuło się wilgoć i ciężar nadchodzącej burzy. Na szczęście jednak pogańskie bóstwa powstrzymały nawałnicę i wszystkie wydarzenia odbywały się zgodnie z planem.

Z Matthew u boku Daisy przechadzała się pomiędzy drewnianymi kramami ustawionymi wzdłuż High Street, gdzie sprzedawano tkaniny, zabawki, kapelusze, srebrną biżuterię i szkło. Zamierzała zobaczyć i zrobić najwięcej, jak tylko się da w tym krótkim czasie, jaki mieli do dyspozycji – Westcliff doradził im, by udali się w drogę powrotną grubo przed północą.

– Im późniejsza godzina, tym swobodniejsze rozrywki tubylców – ostrzegł ich z powagą. – Pod wpływem wina... i anonimowości, którą zapewniają maski... ludzie wąż się robić rzeczy, których nigdy by się nie dopuścili w świetle dnia.

– Och, czymże jest mały rytuał płodności tu czy tam? – prychnęła Daisy wesoło. – Nie jestem taka niewinna, by...

– Wrócimy wcześniej – zapewnił Matthew hrabiego.

Gdy przepychali się przez tłum rozbawionych wieśniaków, Daisy pojęła, co Westcliff miał na myśli. Dopiero zapadł wieczór, lecz wino już rozluźniło obyczaje. Ludzie padali sobie w ramiona, kłócili się, śmiali i bawili. Niektórzy układali wieńce z kwiatów pod pniami najstarszych dębów, podlewali winem korzenie lub...

– Dobry Boże – zawołała Daisy, gdy jej uwagę przykuł zdumiewający obrazek w oddali – co oni robią temu biednemu drzewu?

Matthew skierował ją w inną stronę.

– Nie patrz.

– To jakaś forma kultu drzew czy...

– Chodźmy obejrzyć pokaz tańca z linami – zaproponował z nagłym entuzjazmem, po czym poprowadził ją na drugą część placu.

Przeszli powoli obok połykaczy ognia, magików i akrobatów, a potem zatrzymali się, by nabyć bukłak młodego wina. Próbowwała pić ostrożnie, lecz kropla trunku spłynęła z kącika jej ust. Matthew

uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni po chusteczkę, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Pochylił głowę i scałował kropelkę.

– Powinieneś strzec mnie przed zepsuciem – powiedziała Daisy z uśmiechem – a tymczasem sprowadzasz mnie na złą drogę.

Delikatnie pogłaskał knykциями jej policzek.

– Bardzo chciałbym sprowadzić cię na złą drogę – szepnął. – W zasadzie ta droga prowadzi do lasu, gdzie... – Nagle zgubił wątek, wpatrując się w jej łagodne, ciemne oczy. – Daisy Bowman, chciałbym...

Nie poznała jednak nigdy jego życzenia, ponieważ nagle natarł na nich tłum. Wszyscy chcieli zobaczyć parę zonglerów wyposażonych w pałki i obręcze, które pomiędzy sobą wymieniali. W zamieszaniu ktoś wytrącił z rąk Daisy bukłak, który został stratowany. Matthew opiekuńczo otoczył narzeczoną ramieniem.

– Upuściłam wino – powiedziała Daisy z żalem.

– I bardzo dobrze. – Pochylił usta do jej ucha i musnął wargami delikatną maślówkę. – Mogło mi uderzyć do głowy. A wtedy ty pewnie próbowałabyś mnie wykorzystać.

Uśmiechnęła się i przytuliła do jego piersi, rozkoszując się ciepłym uściskiem.

– Czyżby moje intencje były takie oczywiste? – zapytała stłumionym głosem.

Musnął nosem miękkie zagłębienie za jej uchem.

– Obawiam się, że tak.

Przytulił ją i wyprowadził z tłumy na otwartą przestrzeń za kramami. Kupił jej papierowy rożek pełen prażonych orzechów, króliczka z marcepanu, srebrną grzechotkę dla małej Merritt i szmacianą lalkę dla córki Annabelle. Gdy wracali do powozu, Daisy zatrzymała się przy kolorowo ubranej kobiecie otulonej szalami wykonanymi z błyszczącej nici i obwieszanej biżuterią z tombaku.

Twarz kobiety wyglądała zdaniem Daisy dokładnie tak, jak oblicza laleczek z jabłek, które w dzieciństwie robiły z Lillian. Brały obrane owoce, wycinały w nich buzie, po czym suszyły je, aż całkiem się pomarszczyły. Dorabiały im oczy z czarnych koralików i włosy z miękkiej włóczki... Tak, ta kobieta wyglądała identycznie.

– Można panience powróżyć, sir? – zwróciła się staruszka do Matthew.

Zerknął na Daisy i uniósł kpiąco brew.

Uśmiechnęła się, Matthew nie wierzył w mistykę, przesady ani żadne inne zjawiska nadprzyrodzone. Miał zbyt praktyczną naturę, by dopuszczać istnienie czegoś, co nie zostało empirycznie udowodnione.

– To, że nie wierzysz w magię – zagadnęła wesoło – nie znaczy, że ona nie istnieje. Nie chcesz się przekonać, co nas czeka?

– Chcę, ale wolę to zrobić naocznie – padła rzeczowa odpowiedź.

– To tylko szyling, sir – naciskała wróżka.

Westchnął ciężko, przełożył pakunki do jednej ręki i sięgnął do kieszeni.

– Lepiej byłoby wydać tego szylinga na wstążki do włosów lub wędzonego klenia.

– I to mówi osoba, która wrzuciła pięć dolarów do studni życzeń...

– Nie liczyłem, że życzenie się spełni. Chciałem tylko zwrócić na siebie twoją uwagę.

Wybuchnęła śmiechem.

– Udało ci się. Ale – zerknęła na niego znacząco – życzenie się jednak spełniło, czyż nie? – Wzięła od niego szylinga i podała wróżce. – Jak przepowiada pani przyszłość? – zapytała kobietę beztrosko.

– Ma pani kryształową kulę? Układa tarota czy może czyta z ręki?

Wróżka wyjęła zza pazuchy srebrne lusterko i wręczyła je Daisy.

– Przejrzyj się w zwierciadle – zaintonowała uroczyście. – To okno do świata duchów. Patrz... Nie odwracaj wzroku.

Matthew znów westchnął i uniósł oczy do nieba.

Daisy posłusznie spojrzała w lusterko i dostrzegła grę blasku pochodni na swojej twarzy.

– Pani też spojrzy? – zapytała.

– Nie – odparła wróżka. – Mnie wystarczy, że widzę twoje oczy.

Zapadła cisza. Na końcu ulicy ludzie śpiewali majowe piosenki i bili w bębny. Wpatrując się w swoje oczy, Daisy dostrzegła w nich małe złote plamki odbitego światła, niczym iskry unoszące się z ogniska. Patrzyła w zwierciadło ze skupieniem, próbując przekonać samą siebie, że to faktycznie jest okno do innego, mistycznego świata. Może zadziałała jej wyobraźnia, ale w pewnej chwili naprawdę poczuła intensywność, z jaką koncentrowała się wróżka.

Kobieta przestraszyła Daisy, wyrывая jej lusterko z dłoni.

– Niedobrze – mruknęła burkliwie. – Nic nie widzę. Oddam wam szylinga.

– Nie trzeba – odparła Daisy speszona. – To nie pani wina, że mój duch nie jest klarowny.

Głos Matthew był taki szorstki, że można by go użyć jako krzesiwa.

– Będziemy tak samo usatysfakcjonowani, jeśli coś pani zmyśli – powiedział.

– Ona nie może zmyślać – zaprotestowała Daisy. – Nadużyłaby w ten sposób swojego daru.

Spojrzeła na pomarszczoną twarz wróżki i doszła do wniosku, że wygląda ona na bardzo niezadowoloną. Zapewne zobaczyła lub pomyślała coś, co ją zaniepokoiło. Może więc lepiej zostawić to w spokoju. Wiedziała jednak, że jeśli się nie dowie, o co chodzi, umrze z ciekawości.

– Nie chcemy zwrotu tego szylinga. Proszę, musi mi pani coś powiedzieć. Jeśli to złe wieści, lepiej, że się dowiem wcześniej, czyż nie?

– Nie zawsze – odburknęła kobieta.

Daisy podeszła tak blisko, że poczuła słodki zapach fig lub ziół... Może wawrzynu? A może bazylii?

– Ja chcę wiedzieć – upierała się.

Wróżka chwilę przyglądała się jej z namysłem. Wreszcie niechętnie przemówiła.

– Noc słodka dla kochanków stworzona, dzień zwiastuje złą zmianę. Obietnica w kwietniu złożona, serce w maju złamane.

Złamane serce? Nie mogła to być pomyślna wróżba.

Daisy poczuła, że Matthew staje za nią i kładzie dłoń na jej talii. Choć nie widziała jego twarzy, domyśliła się, że maluje się na niej drwina.

– Czy za dwa szylingi usłyszymy coś bardziej optymistycznego? – zapytał.

Wróżka zignorowała go. Zatknęła lusterko za pasek spódnicy, po czym zwróciła się do Daisy:

– Zaszuj goździki w kawałek materiału. On musi je nosić przy sobie dla ochrony.

– Przed czym? Co mu grozi? – pytała Daisy nerwowo.

Kobieta odeszła; wielobarwna spódnica szumiała jak trzcina nad rzeką, gdy wmieszała się w tłum na końcu ulicy, szukając kolejnych klientów.

Daisy odwróciła się do Matthew i spojrzeła na jego niewyrażającą żadnych uczuć twarz.

– Przed czym trzeba cię chronić?

– Przed pogodą. – Uniósł dłoń wnętrzem do góry, a Daisy poczuła, że na jej głowie i ramionach

rozpryskują się wielkie, zimne krople deszczu.

– Miałaś rację – powiedziała, rozmyślając nad ponurą wróżbą. – Trzeba było kupić wędzoną rybę.

– Daisy... – Położył dłoń na jej karku. – Chyba nie uwierzyłaś w te bzdury? Wiedźma nauczyła się na pamięć kilku wersów, które recytuje za szylinga. Wywróżyła nam coś złego tylko dlatego, że nie udawałem wiary w jej magiczne lustro.

– Tak, ale... Moim zdaniem naprawdę było jej przykro.

– Ta kobieta nie miała w sobie nic prawdziwego, jej słowa również takie nie były. – Matthew przytulił ją, nie zważając na gapiów. Gdy Daisy uniosła ku niemu twarz, na policzek spadła kropla deszczu, a w kąciку ust rozprysnęła się druga. – To nie było prawdziwe – zapewnił ją łagodnie, wpatrując się w nią. Pocałował ją mocno, nagle na środku ulicy. Jego usta smakowały deszczem. – To jest – szepnął.

Daisy przytuliła się do niego, stając na palcach. Matthew niemal wypuścił pakunki z ręki, gdy ich usta się zetknęły. Przerwała pocałunek i roześmiała się cicho. Ziemia pod ich stopami zadrżała, gdy rozległ się głośny grzmot.

Dostrzegła kątem oka, że ludzie kryją się pod osłoną kramów i budek.

– Ścigamy się do powozu. – Zebrała spódnice i pobiegła.

ROZDZIAŁ 17

Zanim powóz dotarł do końca podjazdu, rozszalała się nawałnica. Wiatr chłostał lakierowane pudło, kołysał nim na boki. Wspominając hulanki we wsi, Matthew pomyślał z rozbawieniem, że tego wieczoru ulewa musiała gwałtownie ugasić wiele płomiennych uczuć.

Gdy powóz się zatrzymał, bębnienie deszczu o dach zagłuszyło wszystkie inne dźwięki. Przed drzwiami powinien już na nich czekać lokaj z parasolem, lecz przy takiej pogodzie nie miało to sensu – siła wiatru wyrwałaby mu go z rąk.

Zdjął surdut i otulił nim Daisy, naciągając na głowę i ramiona. Nie była to w żadnym razie dostateczna ochrona, lecz musiała wystarczyć na krótki odcinek pomiędzy powozem a frontowymi drzwiami.

– Zmokniesz. – Zerknęła na jego koszulę i kamizelkę.

Roześmiał się.

– Nie jestem z cukru.

– Ja też nie.

– Ty jesteś – wymruczał, a ona oblała się rumieńcem. Uśmiechnął się, spojrzawszy na jej twarz pomiędzy połami surduta; wyglądała niczym mała sowa w koronie drzewa. – Masz na sobie surdut – dodał. – Od wejścia dzieli nas tylko kilka metrów.

Nagle ktoś zapukał do drzwi i po chwili się otworzyły. Na podjeździe stał lokaj, mocował się z parasolem. Podmuch wiatru wywrócił parasol na drugą stronę. Matthew wyskoczył z powozu i od razu przemókł do suchej nitki. Poklepał lokaja po ramieniu.

– Wracaj do środka – zawołał, przekrzykując burzę. – Ja odprowadzę pannę Bowman.

Lokaj kiwnął głową i pobiegł do domu.

Matthew odwrócił się do powozu, sięgnął do środka, wziął Daisy na rękę i ostrożnie postawił na ziemi. Poprowadził pomiędzy kałużami do schodów, nie zatrzymując się, dopóki nie przekroczyli progu.

Otoczyło ich ciepło i blask głównego holu. Mokra koszula lepiała mu się do barków. Przeszedł go dreszczyk na myśl o fotelu ustawionym przy kominku.

– O Boże. – Daisy uśmiechnęła się i odgarnęła mu z czoła mokre włosy. – Całkiem przemokłeś.

Po chwili podbiegła do nich pokojówka ze stosem czystych ręczników. Matthew podziękował jej skinieniem głowy, po czym energicznie wytarł włosy i twarz. Pochylił się, by Daisy mogła przyglądać jego czuprynę palcami.

Słyszając kroki, obejrzał się przez ramię. Do holu wszedł Westcliff. Na jego twarzy malowała się powaga, lecz to wyraz oczu – wyrażały troskę i niepokój – sprawił, że Matthew przeszył dreszcz.

– Swift – powiedział hrabia cicho – mamy nieoczekiwanych gości. Nie ujawnili jeszcze celu swojej wizyty... rzekli tylko, że ma to coś wspólnego z tobą.

Znów przeszedł go dreszcz, Matthew odczuł go jak kryształki lodu formujące się w jego mięśniach

i kościach.

– Kto to taki?

– Pan Wendell Waring z Bostonu... i dwaj konstablowie z Bow Street.

Matthew nie poruszył się ani nie zareagował, gdy w milczeniu przyswajał tę nowinę. Ogarnęła go fala przyprawiającej o mdłości rozpacz.

Chryste, pomyślał. Jak Waring mnie odnalazł? Jak... O Chryste, nie miało to żadnego znaczenia, wszystko zaczynało się od nowa. Wszystkie te lata, które wykradł swojemu przeznaczeniu... Teraz przeznaczenie upominało się o nie. Serce dziko mu waliło, ponagłając do ucieczki. Nie miał jednak dokąd uciec, a nawet gdyby znał takie miejsce... Był już zmęczony życiem w strachu, że ten dzień nadejdzie.

Poczuł, że Daisy bierze go za rękę, lecz nie odwzajemnił uścisku. Spojrzał na Westcliffa. Hrabia westchnął ciężko.

– Niech to szlag – mruknął Westcliff. – Jest aż tak źle?

Matthew kiwnął głową. Uwolnił dłoń z uścisku Daisy. Nie próbowała go znowu dotknąć, jej zdumienie stało się niemal namacalne.

Po długiej chwili namysłu Westcliff wyprostował ramiona.

– No cóż – powiedział stanowczo. – Chodźmy to wyjaśnić. Cokolwiek się stanie, masz we mnie przyjaciela.

Matthew wybuchnął krótkim, pełnym niedowierzania śmiechem.

– Nie wiesz nawet, z czym się mierzysz.

– Nie składam pustych obietnic. Chodźmy. Czekają w salonie.

Matthew pokiwał głową. Zaszło mu w ustach. Zaskoczyło go, że funkcjonuje, jakby nic się nie wydarzyło, jakby jego światu wcale nie groziła niszczycielska eksplozja. Miał wrażenie, iż obserwuje siebie z zewnątrz. Jeszcze nigdy nie odczuwał takiego lęku. Może dlatego, że nigdy jeszcze nie miał aż tyle do stracenia.

Zobaczył, że Daisy wysforowała się naprzód. Uniosła twarz, gdy Westcliff coś do niej szepnął. Skinęła głową, jakby przyjmowała za dobrą monetę jego słowa pociechy.

Matthew wbił wzrok w podłogę. Na widok Daisy poczuł ostry ból w gardle, jakby ktoś przeszył je sztyletem. Zapragnął powrotu tej otępiającej pustki, jaką czuł przed chwilą.

Weszli do salonu, gdzie czekali już Thomas, Mercedes i Lillian, jakby tego wieczoru miał się nad Matthew odbyć Sąd Ostateczny. Objął zgromadzonych spojrzeniem, gdy nagle dobiegł go gniewny męski głos:

– To on!

Jego czaszka eksplodowała bólem, nogi ugięły się jak u szmacianej lalki. Wokół zapadła ciemność, lecz umysł odpychał ją zaciekle, próbując zachować przytomność.

Jak przez mgłę dostrzegł, że leży na podłodze – wyczuwał drapiący wełniany dywan pod policzkiem. Z ust kapało coś wilgotnego. Gdy przełknął ślinę, poczuł słony smak. Z gardła dobył się cichy jęk. Skoncentrował się na bólu i zlokalizował jego źródło z tyłu głowy. Został uderzony, ogłuszony jakimś twardym przedmiotem.

Do oczu wlało się oślepiające światło, gdy ktoś podciągnął go do pionu i wykręcił ręce. Ktoś krzyczał... Mężczyźni się kłócili, kobiety płakały. Na jego nadgarstkach zamknęła się ciężka żelazna obręcz. To kajdanki, uświadomił sobie, i nagle ogarnęło go znajome uczucie tępej paniki.

Głosy do niego dochodzące stopniowo stawały się rozpoznawalne. To krzyczał Westcliff.

– ...śmiecie przychodzić do mojego domu i napadać jednego z moich gości... Wiecie, kim jestem? Natychmiast to zdejmijcie albo dopilnuję, żebyście zgnili w Newgate!

I ten nowy głos...

– Nie po tych wszystkich latach. Nie zaryzykuję, że znów ucieknie.

To mówił pan Wendell Waring, patriarcha zamożnej rodziny z Nowej Anglii. Mężczyzna, którym Matthew pogardzał, tak samo jak jego synem Harrym.

Dziwne, jak dźwięk lub zapach mogą nas cofnąć w przeszłość z taką przeklętą łatwością, choćbyśmy nie wiem jak bardzo starali się o niej zapomnieć.

– A dokąd niby miałby on uciec? – zapytał Westcliff kwaśno.

– Mam pozwolenie na pojmanie uciekiniera wszelkimi możliwymi środkami. A pan nie masz prawa stawać mi na drodze.

Nie trzeba chyba wyjaśniać, że hrabia Westcliff nieczęsto słyszał, by ktoś mówił mu, że nie ma do czegoś prawa, zwłaszcza w jego własnym domu. Nie trzeba też dodawać, że słowa te obudziły w hrabim Westcliffie wściekłość.

Rozszalała się kłótnia jeszcze gwałtowniejsza niż burza na zewnątrz, lecz Matthew przestał ją śledzić, gdy tylko poczuł łagodny dotyk na twarzy. Wzdrygnął się, po czym usłyszał cichy głos Daisy.

– Nie. Nie ruszaj się.

Osuszyła mu twarz ręcznikiem, wytarła oczy i usta, odsunęła z czoła mokre włosy. Siedział na krześle zakuty w kajdanki i widząc ją, miał ochotę wyć z rozpacz.

Była blada jak ściana, lecz zdumiewająco spokojna. Ciemne rumieńce na policzkach, wywołane zdenerwowaniem, zdawały się jeszcze jaskrawsze na tle jasnej cery. Uklękła na dywanie za jego krzesłem i spojrzała na metalowe kajdanki na nadgarstkach. Pojedyncza żelazna obręcz otaczała jeden z nich, zamek łączył ją z drugą, większą obręczą, za którą więzień był prowadzony.

Matthew podniósł głowę i zauważył dwóch postawnych oficerów umundurowanych standardowo: białe letnie spodnie, czarne fraki z wysokim kołnierzykiem i usztywnione cylindry. Stali w ponurym milczeniu, przyglądając się zajadłej kłótni pomiędzy Wendellem Waringiem, Westcliffem i Thomasem Bowmanem.

Daisy mocowała się z zamkiem kajdanek. Matthew poczuł bolesne ukłucie w sercu, gdy zobaczył, jak próbuje otworzyć zamek spinką do włosów. Siostry Bowman słynęły ze swoich uzdolnień na tym polu – pielęgnowały umiejętności przez długie lata, gdy rodzice na próżno próbowali je dyscyplinować. Dłonie Daisy za bardzo jednak drżały, by zdołała poradzić sobie z nieznanym mechanizmem... a poza tym wszelkie próby uwolnienia go musiały okazać się bezcelowe. Boże, gdyby tylko zdołał ustrzec ją przed tym okropieństwem, przed katastrofą swojej przeszłości... przed sobą samym.

– Nie – szepnął. – Nie warto. Daisy, proszę...

– Hejże – odezwał się jeden z oficerów na widok starań Daisy. – Odsuń się od więźnia, panienko.

– Uświadamiając sobie, że dziewczyna go ignoruje, podszedł bliżej i podniósł rękę. – Panienko, powiedziałem...

– Nie waż się jej dotykać – syknęła Lillian z taką wściekłością w głosie, że w pokoju zapadła cisza. Nawet Westcliff i Waring umilkli zdumieni.

Mierząc gniewnym spojrzeniem oszołomionych funkcjonariuszy, podeszła do Daisy i odsunęła ją na bok. Przemówiła do konstabli z jadowitą pogardą.

– Zanim ośmielicie się uczynić krok w moją stronę, radziłabym wam się zastanowić, co się stanie

z waszymi karierami, gdy rozniesie się wieść, że sponiewieraliście hrabinę Westcliff w jej własnym domu. – Wyjęła spinę z włosów i uklękła przed Matthew. Po chwili zamek ustąpił, a obręcz zsunęła się z jego nadgarstków. Zanim zdołał jej podziękować, wstała, kontynuując tyradę wymierzoną w konstablów. – Niezła z was para. Jak śmiecie przyjmować rozkazy od źle wychowanego Jankesa i nadużywać gościnności domu, który dał wam schronienie przed burzą! Jak widać, jesteście zbyt tępi, by mieć pojęcie, jakiego wsparcia finansowego i politycznego udziela mój mąż Nowej Policji. Wystarczyłoby, by skinął palcem, a natychmiast doszłoby do zdymisjonowania ministra spraw wewnętrznych i sędziego pokoju z Bow Street. Na waszym miejscu więc...

– Bardzo przepraszam, ale nie mieliśmy wyboru, milady – zaprotestował muskularny konstabl. – Mamy rozkaz doprowadzić pana Phaelana na Bow Street.

– Kim, do ciężkiej cholery, jest ten pan Phaelan? – zapytała Lillian gniewnie.

Oszołomiony słownictwem hrabiny konstabl wskazał palcem na Matthew.

– No, to ten tutaj.

Świadom, że wszystkie spojrzenia kierują się na niego, Matthew nie zdradzał żadnych emocji.

Daisy poruszyła się pierwsza. Podniosła z kolan Matthew otwarte kajdanki i podeszła do drzwi, w których zgromadziła się zaciekawiona służba. Szepnęła coś do nich, po czym wróciła na krzesło obok Matthew.

– I pomyśleć, że spodziewałam się nudnego wieczoru w domu. – Lillian usiadła po drugiej stronie Matthew, jakby zamierzała pomóc go bronić.

– Tak się właśnie nazywasz? Matthew Phaelan? – spytała Daisy łagodnie.

Nie odpowiedział. Wszystkie mięśnie w jego ciele stężyły w proteście na dźwięk tego nazwiska.

– Owszem – wrzasnął piskliwie Wendell Waring, Należał do tych nieszczęsnych mężczyzn, u których wysoki głos szedł w parze z wysokim wzrostem. Poza tym wyglądał bardzo szacownie z gęstą grzywą srebrnych włosów, schludnie przyciętymi bokobrodami i bujną siwą brodą. Stanowił uosobienie starego Bostonu od swojego surduta o niemodnym już kroju, lecz z kosztownego tweedu, po otaczającą go aurę pewności siebie, charakterystyczną tylko dla rodów mogących pochwalić się wieloma pokoleniami wykształconymi na Harvardzie. Jego oczy przypominały nieoszlifowane bryłki kwarcu, twarde, przejrzyste i całkowicie pozbawione blasku.

Waring podszedł do Westcliffa i wepchnął mu w dłoń garść papierów.

– Oto dowód mojej władzy – oświadczył jadowicie. – Kopia noty dyplomatycznej wzywającej do tymczasowego aresztowania wystawiona przez amerykańskiego sekretarza stanu. Kopia rozkazu wydanego przez brytyjskiego ministra spraw wewnętrznych, sir Jamesa Grahama, zaadresowana do sędziego pokoju z Bow Street, w której minister nakazuje aresztować Matthew Phaelana, znanego też jako Matthew Swift. Kopie złożonych pod przysięgą zeznań obciążających...

– Panie Waring – przerwał mu Westcliff ze spokojem, niemaskującym jednak groźby w jego głosie – może mnie pan zakopać pod kopiami wszystkiego, od nakazów aresztowania po Biblię Gutenberga. Nie wydam panu tego człowieka.

– Nie masz wyboru! To zbiegły przestępca, czeka go ekstradycja do Stanów Zjednoczonych, niezależnie, kto będzie protestował.

– Nie mam wyboru? – Westcliff szeroko otworzył oczy. Twarz mu poczerwieniała. – Mój Boże, rzadko się zdarza, by ktoś prowokował mnie do tego stopnia! Stoi pan na ziemi, która należy do mojej rodziny od pięciu pokoleń. W tej okolicy, w tym domu to ja jestem prawem. Od teraz będzie się pan do mnie zwracał z szacunkiem. Proszę powiedzieć, o co oskarża pan tego człowieka.

Lord Marcus Westcliff, gdy wpadł w gniew, wzbudzał samym swoim widokiem szczególny respekt. Matthew wątpił, czy nawet Wendell Waring, który przyjaźnił się z prezydentami i najbardziej wpływowymi ludźmi, napotkał kiedykolwiek na swej drodze człowieka dysponującego większymi zdolnościami przywódczymi. Konstablowie tylko niespokojnie wodzili wzrokiem pomiędzy dwoma mężczyznami.

Waring nie patrzył na Matthew, gdy odpowiadał, jakby sama jego obecność okazała się zbyt odstręczająca, by go tolerować.

– Wszyscy tutaj znacie tego mężczyznę jako Matthew Swifta. Oszukał on i zdradził wszystkich, którzy mieli nieszczęście się z nim zetknąć. Świat na tym skorzysta, jeśli zostanie on poddany eksterminacji niczym robak. W ten dzień...

– Przepraszam, sir – wtrąciła Daisy z uprzejmością ocierającą się o kpinę – lecz ja akurat wolałabym wysłuchać nieubarwionej wersji. Nie interesuje mnie pańskie zdanie na temat charakteru pana Swifta.

– On się nazywa Phaelan, a nie Swift – warknął Waring. – Jest synem irlandzkiego pijaka. Został podrzucony do sierocińca Charles River po tym, gdy matka umarła przy porodzie. Miałem nieszczęście poznać Matthew Phaelana, kiedy zakupiłem go jako jedenastolatka do roli towarzysza i osobistego służącego mojego syna Harry’ego.

– Zakupił go pan? – powtórzyła Daisy jadownicie. – Nie miałam pojęcia, że prawo zezwala na handel sierotami.

– W takim razie, kiedy go zatrudniłem – poprawił się Waring, spoglądając na nią. – Kim jesteś, bezczelna pannico, że ośmielasz się przerywać starszym?

Nagle do rozmowy włączył się Thomas Bowman, gniewnie ruszając wąsem.

– To moja córka! – ryknął. – Może przerywać, komu tylko zechce!

Zdumiona, że ojciec stanął w jej obronie, Daisy uśmiechnęła się do niego przelotnie, po czym znów zwróciła się do Waringa.

– Jak długo pan Phaelan pozostawał u pana na służbie?

– Siedem lat. Towarzyszył mojemu synowi Harry’emu podczas nauki w szkole z internatem, załatwiał jego sprawy, dbał o jego potrzeby osobiste i przyjeżdżał z nim do domu na święta. – Spojrzał na Matthew, w oczach pojawiły się złowrogie błyski.

Teraz, gdy dopadł swoją zdobycz, jego furia osłabła, a zastąpiła ją ponura determinacja. Wyglądał jak człowiek, który od wielu lat dźwiga na barkach wielki ciężar.

– Nie domyślaliśmy się nawet, że hodujemy na swym łonie żmiję. Podczas jednej z wizyt Harry’ego w domu rodzinnym z sejfu zniknęła znaczna suma w gotówce i biżuterii. Jednym z przedmiotów był brylantowy naszyjnik, który należał do Waringów od stu lat. Mój pradziadek odkupił go od austriackiej arcyksiężnej. Kradzieży mógł dokonać tylko członek rodziny lub zaufany sługa mający dostęp do klucza od sejfu. Wszystkie dowody wskazywały na jednego człowieka. Matthew Phaelana.

Matthew siedział w milczeniu. Wydawało się, że zachowuje kamienny spokój, lecz w jego wnętrzu szalała burza. Próbował za wszelką cenę ją opanować, wiedząc, że nic nie zyska, jeśli wybuchnie emocjami.

– Skąd wiadomo, że sejf nie został otwarty przez kogoś z zewnątrz? – zapytała Lillian chłodno.

– Sejf był wyposażony w specjalny mechanizm – mówił Waring – blokujący zamek, jeśli zapadki zostaną podważone wytrychem. Wtedy tylko klucz matka albo oryginalny mogą go otworzyć. A Phaelan wiedział, gdzie znajduje się klucz. Od czasu do czasu miał za zadanie wyjmować

pieniądze lub osobiste drobiazgi z sejfu.

– On nie jest złodziejem! – zaprotestowała Daisy gniewnie, stając w obronie Matthew, zanim on sam zdołał to zrobić. – Nigdy nikogo by nie okradł.

– Ława przysięgłych złożona z dwunastu osób nie zgodziła się z tą oceną – warknął Waring. – Phaelan został skazany za kradzież na piętnaście lat w stanowym więzieniu. Uciekł w drodze do niego i zniknął.

Zakładając, że Daisy już się go wyrzeknie, Matthew zdumiało, gdy narzeczona stanęła za jego krzesłem i położyła dłoń na jego ramieniu. Nie zareagował otwarcie na ten dotyk, lecz wygłodniałe zmysły syciły się ciepłem jej palców.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał ochryple, zmuszając się, by spojrzeć na Waringa. Czas odcisnął na nim swoje subtelne piętno. Zmarszczki na twarzy się pogłębiły, a rysy wyostrzyły.

– Szukałem cię od lat – odparł Waring z nutą pogardliwego dramatyzmu w głosie, którą jego krajanie z Bostonu uznałyby zapewne za przesadną. – Wiedziałem, że nie zdołasz wiecznie się ukrywać. Ktoś przekazał ogromny anonimowy datek na sierociniec Charles River... Podejrzewałem, że ty za tym stoisz, lecz nie zdołałem przedrzeć się przez zasieki złożone z prawników i lipnych firm. Potem przyszło mi do głowy, że możesz zapragnąć odnaleźć ojca, który porzucił cię po urodzeniu. Namierzyłem go, a on za cenę kilku drinków zdradził mi wszystko, co chciałem wiedzieć... Twoje nowe nazwisko, twój nowojorski adres. Zostałeś sprzedany za równowartość butelki whisky – dodał z przygniatającą pogardą.

Matthew poczuł, że oddech więźnie mu w gardle. Tak, odnalazł ojca i wbrew rozsądkowi postanowił mu zaufać. Pragnienie stworzenia z kimkolwiek więzi okazało się zbyt obojętniające. Ojciec był wrakiem człowieka – nie mógł zrobić dla niego nic więcej, niż znaleźć mu mieszkanie i płacić za jego utrzymanie.

Ilekczo odwiedzał go w tajemnicy, wszędzie walały się puste butelki.

– Gdybyś mnie potrzebował – powiedział ojcu przy ostatniej wizycie, wciskając mu złożony arkusik papieru w dłoń – napisz pod ten adres. Tylko nikomu go nie pokazuj, rozumiesz?

Ojciec, zależny od niego jak dziecko, potwierdził, że rozumie.

Gdybyś mnie potrzebował... Matthew tak rozpaczliwie pragnął być komuś potrzebny.

Teraz płacił cenę za pobłażanie takim zachciankom.

– Swift – zapytał go Thomas Bowman – czy Waring mówi prawdę? – W jego głosie zabrzmiała błagalna nuta.

– Nie całkiem. – Matthew ukradkiem rozejrzał się po salonie. Spodziewał się, że ujrzy na twarzach tych ludzi oskarżenia, strach, gniew. A tymczasem nawet Mercedes Bowman, której nikt nie nazwałby kobietą pełną współczucia, wpatrując się w niego, miała w oczach coś, co można by wziąć niemal za życzliwość.

Nagle uświadomił sobie, że znajduje się w zupełnie innej sytuacji niż wiele lat temu, kiedy był biedny i samotny. Wtedy po jego stronie była tylko prawda, która okazała się marną bronią. Teraz, gdy stał się człowiekiem zamożnym i wpływowym, po jego stronie stali potężni sprzymierzeńcy. Przede wszystkim Daisy, ona wciąż trwała u jego boku, dodawała mu siły i otuchy swoim dotykiem.

Zmrużył powieki, odwzajemniając oskarżycielskie spojrzenie Wendella Waringa. Chciał tego czy nie, Waring miał zaraz usłyszeć parę słów prawdy.

ROZDZIAŁ 18

Byłem służącym Harry'ego Waringa – potwierdził szorstkim głosem Matthew. – Dobrym służącym, choć wiedziałem, że on uważa mnie za coś gorszego niż istota ludzka. Jego zdaniem, służący znajdowali się na tym samym poziomie co psy. Egzystowałem tylko dla jego wygody. Moim zadaniem było branie na siebie winy za jego nieczne uczynki, odbywanie kary, naprawianie tego, co zepsuł, usługiwanie mu, zaspokajanie potrzeb. Już jako dziecko Harry zachowywał się jak arogancki nicpoń przekonany, że wszystko, nawet morderstwo, ujdzie mu na sucho, bo nazwisko, które nosi...

– Nie pozwolę kalać jego pamięci! – wybuchnął Waring.

– Miał pan swoją szansę – ryknął Thomas Bowman. – Teraz chcę wysłuchać Swifta!

– On nie nazywa się...

– Pozwólcie mu mówić – wtrącił Westcliff, lodowatym tonem uspokajając atmosferę.

Matthew w podzięcie krótko skinął hrabiemu głową. Jego uwagę na powrót przykuła Daisy – usiadła na krześle, które przysunęła do jego prawej nogi, aż ta ukryła się w fałdach spódnicy.

– Uczęszczałem z Harrym do Boston Latin – kontynuował Matthew – a potem na Harvard. Spałem w kwaterach dla służby w piwnicy. Czytałem notatki jego przyjaciół z wykładów, na których Harry nie bywał, pisałem za niego prace...

– To kłamstwo! – krzyknął Waring. – Ciebie kształciły stare zakonnice w sierocińcu... Chyba oszalałeś, jeśli myślisz, że ktoś ci uwierzy.

Matthew uśmiechnął się kpiąco.

– Nauczyłem się od tych starych zakonnice więcej niż Harry od prywatnych korepetytorów. Harry powtarzał, że nie musi się uczyć, bo ma nazwisko i pieniądze. Ja nie miałem ani jednego, ani drugiego, dlatego też edukacja stała się moją jedyną nadzieją na awans społeczny.

– Jaki awans? – rzucił Waring z pogardą. – Byłeś służącym... irlandzkim służącym... Nie mogłeś nawet marzyć o tym, by stać się dżentelmenem.

Daisy uśmiechnęła się lekko.

– Właśnie tym stał się w Nowym Jorku, panie Waring. Matthew zapracował sobie na miejsce w świecie interesów i w społeczeństwie, bezdyskusyjnie stając się przy tym dżentelmenem.

– Dzięki fałszywej tożsamości – prychnął Waring. – Macie przed sobą oszusta, nie widzicie tego?

– Nie. – Daisy patrzyła prosto w oczy Matthew. – Ja widzę dżentelmena.

Zaprzagnął ucałować jej stopy. Oderwał od niej wzrok i mówił dalej:

– Robiłem, co mogłem, by Harry utrzymał się na Harvardzie, choć on wydawał się wręcz marzyć o wydaleniu. Picie, hazard i... – Zawahał się, pamiętając o obecności dam. – ...inne rzeczy zabierały mu coraz więcej czasu. Jego miesięczne wydatki przekraczały uposażenie, a dług urósł tak, że nawet Harry zaczął się martwić. Bał się reakcji ojca, gdy dowie się o jego problemach. Nie brakowało mu jednak tupetu i sprytu, postanowił znaleźć łatwiejsze rozwiązanie. Co wyjaśnia jego wizytę w domu, gdy sejf został okradziony. Od razu wiedziałem, że to robota Harry'ego.

– Podle kłamstwa – syknął Waring.

– Harry wolał obwinić mnie – kontynuował Matthew – zamiast przyznać, że to on okradł sejf, by spłacić długi. Postanowił poświęcić mnie, by ratować własną skórę. Oczywiście jego rodzina uwierzyła jemu, nie mnie.

– Twoja wina została udowodniona w sądzie – wtrącił ostro Waring.

– Nic nie zostało udowodnione. – W Matthew zapłonął gniew; oddech zaczął się rwać, gdy stracił nad sobą kontrolę. Poczł, że Daisy wyciąga do niego rękę, i ujął ją. Ścisnął za mocno, lecz nie potrafił się opanować.

– Proces był farsą. Przeprowadzono postępowanie w pośpiechu, by gazety nie prześledziły go zbyt dokładnie. Mój prawnik dosłownie przespał większość posiedzeń. Nie przedstawiono żadnych dowodów łączących mnie z kradzieżą. Służący jednego z kolegów Harry’ego poinformował mnie, że podsłuchał rozmowę Harry’ego, który uknuł z przyjaciółmi spisek, by mnie pogrzyżyć, lecz za bardzo się bał, by zeznawać.

Widząc, że czubki palców Daisy bieleją w jego uścisku, rozluźnił rękę. Musnął delikatnie kciukiem jej knykcie.

– Miałem szczęście – mówił ciszej – bo reporter z „Daily Advertiser” napisał artykuł, w którym ujawnił dawne długi Harry’ego. Okazało się, że zostały one cudownym zbiegiem okoliczności spłacone tuż po kradzieży. W wyniku tej publikacji doszło do protestów ludzi oburzonych ewidentną karykaturą uczciwego procesu.

– I mimo to zostałeś skazany? – odezwała się oburzona Lillian.

Uśmiechnął się drwiąco.

– Sprawiedliwość może być ślepa, ale nie jest głucha na brzęk monety. Waringowie to potężny klan, a ja byłem służącym bez grosza przy duszy.

– Jak udało ci się uciec? – zapytała Daisy.

Matthew nie przestawał uśmiechać się gorzko.

– Okazało się to tak samo zaskakujące dla mnie, jak dla wszystkich innych. Załadowano mnie do wozu, który opuścił więzienie tuż przed wschodem słońca. Następnie wóz zatrzymał się na pustej drodze. Nagle drzwi się otworzyły, a pół tuzina mężczyzn wyciągnęło mnie na zewnątrz. Myślałem, że chcą mnie zlinczować. Oni natomiast powiedzieli, że są uczciwymi, praworządnyimi obywatelami i pragną naprawić wyrządzoną mi krzywdę. Uwolnili mnie, dostałem też od nich konia. Strażnicy więzienni nie podjęli walki. Udało mi się dotrzeć do Nowego Jorku, gdzie sprzedałem konia i rozpocząłem nowe życie.

– Dlaczego wybrałeś nazwisko Swift? – zapytała Daisy.

– Na własnej skórze odczułem, jaką moc niesie szanowane nazwisko. A rodzina Swiftów to potężne drzewo genealogiczne z wieloma odgałęzieniami, co miało pomóc mi uniknąć badawczych spojrzeń.

Głos zabrał Thomas Bowman, któremu urażona duma nakazywała przejść od razu do rzeczy.

– Dlaczego zgłosiłeś się do mnie do pracy? Myślałeś, że uda ci się mnie łatwo oszukać?

Matthew spojrzał mu prosto w oczy, przypominając sobie, jakie pierwsze wrażenie wywarł na nim Thomas Bowman... Potężny mężczyzna, który postanowił dać mu szansę, zbyt zajęty własną firmą, by zadawać wścibskie pytania. Przebiegły, uparty, pełen wad, zdeterminowany... Człowiek, który odcisnął największe piętno na jego życiu.

– Nigdy – odparł szczerze. – Podziwiałem pańskie osiągnięcia. Chciałem się od pana uczyć. I... –

Poczuł ucisk w gardle. – Obdarzyłem pana szacunkiem, wdzięcznością i wielkim uczuciem.

Twarz Bowmana poczerwieniała z ulgi. Lekko kiwnął głową, a jego oczy zaszyły mgłą.

Waring miał minę człowieka będącego na skraju wytrzymałości. Jego opanowanie prysło jak tanie szkło. Spojrzał na Matthew nienawistnie.

– Próbujesz kłaść pamięć mojego syna swoimi kłamstwami. Nie pozwolę na to. Założyłeś, że w obcym kraju nikt...

– Jego pamięć? – Oszołomiony Matthew podniósł wzrok. – Harry nie żyje?

– Przez ciebie! Po procesie pojawiły się plotki, kłamstwa, wątpliwości, których nie dało się uciszyć. Przyjaciele go unikali. Ta plama na jego honorze... zrujnowała mu życie. Gdybyś przyznał się do winy, gdybyś odsiedział zasądzony wyrok, Harry wciąż byłby przy mnie. Ale paskudne podejrzenia rosły w siłę, a życie w ukryciu sprawiło, że Harry zaczął pić i zachowywać się nierozważnie.

– Wygląda na to – odezwała się Lillian drwiąco – że pański syn żył w ten sposób już przed procesem.

Miała szczególny talent do prowokowania ludzi. Waring nie był wyjątkiem.

– To skazany przestępca! – Rzucił się na nią. – Jak śmiecie wierzyć jemu, a nie mnie!

Westcliff dopadł go w trzech krokach, lecz Matthew zdążył go uprzedzić – stanął przed Lillian, by ją chronić.

– Panie Waring, proszę wziąć się w garść – odezwała się poruszona Daisy. – Przecież chyba widzi pan, że takie zachowanie nie sprzyja pańskiej sprawie. – Jej spokój i przytomność umysłu zdołały się przebić przez wściekłość Waringa.

Spojrzał na nią błagalnie.

– Mój syn nie żyje. To wina Phaelana.

– Taka zemsta go panu nie zwróci – powiedziała Daisy cicho. – Nie przysłuży się też jego pamięci.

– Dzięki temu zaznam wreszcie spokoju! – zawołał Waring.

Spojrzała na niego z litością.

– Jest pan pewien?

Widać było jednak, że to nie ma znaczenia. Nie była to kwestia, którą można by wytłumaczyć logicznie.

– Czekałem wiele lat i przebyłem tysiące kilometrów, by doprowadzić do tej chwili. Nie pozwolę jej zmarnować. Widziałeś dokumenty, Westcliff. Nawet ty nie stoisz ponad prawem. Konstablowie mają rozkaz użycia siły, jeśli okaże się to konieczne. Oddasz mi go teraz, natychmiast.

– Nie sądzę. – Twarz Westcliffa wyglądała jak wykuta z granitu. – Podróż w taką noc to szaleństwo. Wiosenne burze w Hampshire bywają gwałtowne i nieprzewidywalne. Zostaniecie na noc w Stony Cross Park, co da mi czas do namysłu.

Konstablowie odetchnęli z ulgą – żaden rozsądny człowiek nie chciałby się mierzyć z potopem.

– Miałbym dać Phaelanowi możliwość ponownej ucieczki? – Waring pogardliwie wzruszył ramionami. – Nie. Żądam przekazania go pod moją kuratelę.

– Masz moje słowo, że nie ucieknie – zapewnił go Westcliff.

– Twoje słowo jest dla mnie bezużyteczne – odparł Waring. – Przecież widać, po czyjej stronie.

Dla Anglika słowo było wszystkim. Wzgardzenie nim uważano za najgorszą możliwą obrazę. Matthew zdziwił się, że Westcliff z miejsca nie eksplodował. Jego szczupłe policzki napięły się

gniewnie.

– No to ładnie – wymamrotała Lillian z podziwem. Nawet podczas najgorszych kłótni z mężem nie ośmieliła się nigdy obrazić jego honoru.

– Zabierzcie stąd tego człowieka – oświadczył Westcliff groźnie – po moim trupie.

W tym momencie Matthew zrozumiał, iż wszystko zaszło za daleko. Zauważył, że Waring wkłada dłoń do kieszeni surduta, która wyraźnie naprężała się pod wpływem czegoś ciężkiego. Dostrzegł kolbę pistoletu. Oczywiście. Broń stanowiła zabezpieczenie na wypadek, gdyby konstablowie okazali się nieskuteczni.

– Chwileczkę – powiedział. Nie mógł pozwolić, by Waring wyjął pistolet. Gdyby to się stało, konfrontacja eskalowałaby do punktu, z którego nie można by się już wycofać. – Pojadę z wami. – Spojrzał na Waringa, próbując wzrokiem zmusić go, by się uspokoił. – Proces został uruchomiony. Bóg jeden wie, że nie zdołam przed nim uciec.

– Nie. – Daisy rzuciła mu się na szyję. – Z nim nie będziesz bezpieczny.

– Wyruszmy natychmiast – zapewnił Matthew Waringa, po czym ostrożnie uwolnił się z objęć Daisy i zasłonił ją własnym ciałem.

– Nie mogę pozwolić... – wtrącił Westcliff.

– Tak będzie lepiej. – Przerwał mu Matthew stanowczo. Należało jak najszybciej pozbyć się na wpół oszalałego Waringa i konstablów ze Stony Cross Park. – Pojadę z nimi i wszystko wyjaśni się w Londynie. To nie jest czas ani miejsce na takie rozmowy.

Hrabia zaklął cicho. Jako utalentowany taktik wiedział, że w tej chwili nie on sprawuje kontrolę nad sytuacją. Nie była to bitwa, którą można wygrać brutalną siłą. Ta potyczka wymagała pieniędzy, prawników i kontaktów politycznych.

– Jadę z wami do Londynu – oświadczył krótko.

– To niemożliwe – odparł Waring. – W powozie jest miejsce dla czterech osób. Zmieścimy się tylko ja, konstablowie i więźni.

– Pojadę za wami własnym powozem.

– Będę ci towarzyszyć – powiedział Thomas Bowman zdecydowanie.

Westcliff odszedł z Matthew na bok, położył rękę na jego ramieniu w braterskim geście i zapewnił go cicho:

– Znam dobrze sędziego pokoju z Bow Street. Dopilnuję, byś stanął przed nim, gdy tylko dotrzemy do Londynu... i na moją prośbę zostaniesz niezwłocznie zwolniony z aresztu. Zatrzymamy się w mojej rezydencji do czasu złożenia oficjalnego wniosku przez amerykańskiego ambasadora. Zanim to nastąpi, zatrudnię regiment prawników i uruchomię wszystkie moje polityczne kontakty.

Matthew poczuł ucisk w gardle, który niemal uniemożliwił mu mówienie.

– Dziękuję – wykrztusił.

– Milordzie – szepnęła Daisy – czy ekstradycja Matthew dojdzie do skutku?

Twarz Westcliffa stwardniała.

– Nie ma mowy – rzucił z arogancką pewnością siebie.

Roześmiała się niepewnie.

– Cóż, jestem gotowa trzymać pana za słowo, milordzie, nawet jeśli pan Waring nie wykazywał takiej ochoty.

– Kiedy skończę z Waringiem... – zaczął Westcliff, po czym pokręcił głową. – Przepraszam. Powiem służbie, by przygotowała powóz.

Gdy hrabia odszedł, Daisy spojrzała Matthew w oczy.

– Tak wiele teraz rozumiem. Na przykład dlaczego nie chciałeś mi powiedzieć.

– Tak. Ja... – Miał ochryply głos. – Wiedziałem, że źle postępuję. Wiedziałem, że cię stracę, gdy się dowiesz.

– Nie sądziłeś, że zrozumiem?

– Nie wiesz, jak to było. Nikt mi nie wierzył. Fakty nie miały znaczenia. Po takich przejściach nie mieściło mi się w głowie, że ktokolwiek mógłby uwierzyć w moją niewinność.

– Matthew, ja zawsze będę wierzyć we wszystko, co mi powiesz.

– Dlaczego? – szepnął.

– Ponieważ cię kocham.

Jej słowa go zdruzgotały.

– Nie musisz tego mówić. Nie musisz...

– Kocham cię – powtórzyła, zaciskając palce na jego kamizelce. – Powinam wcześniej ci to powiedzieć... Chciałam jednak zaczekać, aż zaufasz mi na tyle, że przestaniesz ukrywać przede mną przeszłość. Teraz jednak wiem już wszystko... – Uśmiechnęła się lekko. – Bo nie ma już nic więcej, prawda? Nic więcej nie zamierzasz mi wyznać?

Pokiwał głową w oszołomieniu.

– Tak. Nie. To wszystko.

Zawahała się.

– A ty nie powiesz, że mnie kochasz?

– Nie mam do tego prawa. Nie, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Dopóki moje nazwisko...

– Powiedz mi. – Lekko szarpnęła poły jego surduta.

– Kocham cię – mruknął. Cholera, tak dobrze się poczuł, zapewniając ją o tym.

Znów szarpnęła, tym razem w geście zaborczości, domagając się potwierdzenia. Matthew położył dłonie na jej ramionach i poczuł żar skóry przez wilgotny materiał sukni. Pomimo nieestosowności tej sytuacji pulsowało w nim pożądanie. Daisy, nie chcę cię zostawiać – pomyślał.

– Ja też jadę do Londynu – usłyszał.

– Nie. Zostań tutaj z siostrą. Nie chcę, byś brała w tym udział.

– Na to już trochę za późno, nieprawdaż? Jako twoja narzeczona jestem już w sprawę zaangażowana.

Pochylił głowę i musnął ustami jej włosy.

– Będzie mi trudniej, jeśli zamieszkas w Londynie – wyznał cicho. – Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczna tutaj, w Hampshire. – Oderwał od pół surduta jej palce i ucałował żarliwie. – Idź jutro do studni – szepnął. – Potrzebne mi kolejne pięciodolarowe życzenie.

Zacisnęła palce na jego dłoniach.

– Dziesięciodolarowe będzie lepsze.

Odwrócił się, gdy poczuł, że ktoś staje za nimi. Byli to konstablowie z bardzo niezadowolonymi minami.

– Procedury nakazują zakładać kajdanki osobom łamiącym prawo na czas transportu na Bow Street – poinformował jeden z nich. Posłał Daisy oskarżycielskie spojrzenie. – Przepraszam, panienko, ale co się stało z kajdankami, z których uwolniłaś pana Phaelana?

Zrobiła minę niewiniątka.

– Oddałam je służącej. Niestety, jest bardzo zapominalska. Pewnie już je gdzieś zgubiła.

– Gdzie więc powinniśmy szukać? – zapytał oficer niecierpliwie.

Wyraz jej twarzy się nie zmienił, gdy odpowiedziała:

– Sugerowałabym dokładne przeszukanie wszystkich nocników.

ROZDZIAŁ 19

Z powodu nagłości wyjazdu Marcus i Bowman zabrali tylko kilka rzeczy osobistych, a także pospiesznie spakowaną zmianę ubrania i podstawowe przybory toaletowe. Siedząc naprzeciwko siebie w rodzinnym powozie, rzadko wdawali się w rozmowę. Wiatr i deszcz chłostały pojazd, a Marcus z troską myślał o woźnicy i koniach.

Podróż w taką pogodę była lekkomyślnością, lecz Marcus prędeż dałby sobie rękę uciąć, niż pozwoliłby, by Matthew Swift... Phaelan... opuścił Stony Cross bez należytej ochrony. A wszyscy przecież widzieli, że żądza zemsty Wendella Waringa przekroczyła granice rozsądku.

Daisy, mająca wrodzoną bystrość, zauważyła trafnie, że zmuszenie kogoś innego, by zapłacił za zbrodnię, którą popełnił Harry, nie zwróci Waringowi syna ani nie przysłuży się jego pamięci. Waring uznał jednak, że to jedyne, co może zrobić dla swojego potomka. Może przekonał samego siebie, że jeśli wtrąci Matthew do więzienia, dowiedzie tym samym niewinności Harry'ego.

Harry Waring zdecydował się poświęcić Matthew, by zatuszować własne zepsucie. Marcus nie zamierzał pozwolić, by Wendell Waring odniósł sukces tam, gdzie jego syn zawiódł.

– Wątpisz w niego? – zapytał nagle Thomas Bowman.

Marcus jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie. Nie ulegało wątpliwości, że Bowman dotkliwie cierpi; kochał przecież Swifta jak syna. Może nawet bardziej niż własne dzieci. Nic dziwnego, że tych dwóch połączyła silna więź – Matthew, młodego człowieka pozbawionego ojca, i Bowmana, który pragnął, by ktoś uznał go za swego przewodnika i mentora.

– Pytasz mnie, czy wątpię w Swifta? Ani trochę. Jego wersja wydarzeń wydała mi się bardziej prawdopodobna niż wersja Waringa.

– Mnie również. Znam charakter Swifta. Zapewniam cię, że przez te wszystkie lata, odkąd mam z nim do czynienia, zawsze był człowiekiem zasad, uczciwym aż do przesady.

Marcus uśmiechnął się lekko.

– Czy można być uczciwym aż do przesady?

Bowman wzruszył ramionami, a jego wąsy zdrząły w niechętnym rozbawieniu.

– Cóż... Przesadna uczciwość może czasami przeszkadzać w interesach.

Niepokojąco blisko nich rozbłysła błyskawica. Marcus poczuł na karku ostrzegawcze mrowienie.

– To szaleństwo – mruknął. – Wkrótce będą musieli zatrzymać się w zajeździe, nawet jeśli dotrą do granicy Hampshire. Tutejsze strumienie mają silniejszy prąd niż niektóre rzeki. Biorąc pod uwagę obfitość opadów, drogi wkrótce staną się nieprzejezdne.

– Boże, mam taką nadzieję – oświadczył żarliwie Thomas Bowman. – Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej niż widok Waringa i tych dwóch towarzyszących mu idiotów zmuszonych do powrotu ze Swiftem do Stony Cross Manor.

Powóz zwolnił i nagle się zatrzymał. Deszcz uderzał z siłą pięści o lakierowane pudło.

– Co się dzieje? – Bowman odsunął zasłonkę, by wyrzecz przez okno, ale nie zobaczył nic poza

mrokiem i wodą spływającą po szybie.

– Niech to szlag – wysyczał Marcus.

Nagle ktoś nerwowo załomotał do drzwi, które zaraz się otworzyły. Pojawiła się w nich biała jak papier twarz woźnicy. W czarnym kapeluszu i zlewającej się z mrokiem pelerynie wyglądał jak głowa pozbawiona ciała.

– Milordzie – wydyszał – przed nami zdarzył się wypadek... Musi pan to zobaczyć...

Marcus wyskoczył z powozu. Lodowaty deszcz uderzył go z oszałamiającą siłą. Zdjął latarnię z haka i podążył za woźnicą nad płynący tuż przed nimi strumień.

– Chryste – wyszeptał.

Powóz wiozący Waringa i Matthew zatrzymał się na prostym drewnianym moście, którego jeden brzeg porwała rzeka, wykrzywiając go równolegle do strumienia. Siła prądu sprawiła, że część mostu się zawaliła, a tylne koła powozu zanurzyły się w wodzie, podczas gdy czwórka koni na próżno starała się go wydobyć. Most kołysał się w wodzie na boki jak dziecięca zabawka, w każdej chwili mógł całkowicie się zerwać.

Nie było sposobu, by dotrzeć do unieruchomionego pojazdu. Most zerwał się po stronie im bliższej, a próba pokonania prądu mogła okazać się samobójstwem.

– Mój Boże, nie! – zawołał przerażony Bowman.

Mogli tylko bezradnie patrzeć, jak woźnica Waringa walczy, by ocalić konie, nerwowo odpinając uprząż.

W tej samej chwili otworzyły się jedne z drzwi tonącego powozu, a ze środka wyczołgała się postać.

– Czy to Swift? – zawołał Bowman, podchodząc najbliżej, jak tylko się dało. – Swift! – Jego krzyk został zagłuszony przez uderzenia piorunów i ryk prądu oraz trzaski rozpadającego się mostu.

Wszystko wydarzyło się jednocześnie. Konie ostatkiem sił wydostały się na bezpieczny brzeg. Most się poruszył, pojawiła się na nim ciemna postać lub dwie i nagle z mrozącą krew w żyłach, niemal majestatyczną powolnością ciężki pojazd osunął się do wody. Zanurzony do połowy, chwilę unosił się na powierzchni... po czym latarnie zgasły, a pudło odpłynęło z rwącym prądem rzeki.

Daisy spała niespokojnie, nie mogła powstrzymać gonitwy myśli. Budziła się wielokrotnie, zastanawiając się, co się dzieje z Matthew. Obawiała się o jego bezpieczeństwo. Tylko świadomość, że Westcliff jest z nim – a przynajmniej blisko – pomagała jej zachować rozsądny spokój.

Raz po raz przeżywała te chwile w salonie, kiedy Matthew wyjawiał wreszcie sekrety swojej przeszłości. Wyglądał tak krucho i samotnie. Jaki ciężar musiał dźwigać przez wszystkie te lata... Jaką odwagą i wyobraźnią musiał się wykazać, by określić siebie na nowo.

Wiedziała, że nie wytrzyma w Hampshire długo. Rozpaczliwie pragnęła zobaczyć się z Matthew, dodać mu otuchy, bronić go przed światem, jeśli to konieczne.

Wcześniej tego wieczoru Mercedes zapytała Daisy, czy nowe informacje na temat Matthew wpłynęły jakoś na jej decyzję, by go poślubić.

– Tak – odparła. – Jeszcze bardziej jestem zdeterminowana.

Lillian włączyła się do rozmowy, przyznając, że ona sama jest gotowa polubić Matthew Swifta po tym, co właśnie usłyszała.

– Chociaż – dodała – miło byłoby wreszcie się dowiedzieć, jakie będziesz nosić nazwisko po ślubie.

– Och, czymże jest nazwa? – odpowiedziała Daisy cytatem z Szekspira i wyjęła z biurka arkusz papieru, przesuwając po nim palcami.

– Co robisz? – zdumiała się Lillian. – Tylko mi nie mów, że będziesz teraz pisać list!

– Nie wiem, co mam robić – wyznała Daisy. – Chyba powinnam powiadomić o wszystkim Annabelle i Evie.

– Wkrótce dowiedzą się od Westcliffa – oświadczyła Lillian. – I nie będą ani trochę zaskoczone.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Biorąc pod uwagę twoją słabość do historii z dramatycznymi zwrotami akcji i postaciami o tajemniczej przeszłości, od razu można było założyć, że nie czekają cię spokojne, zwyczajne zaloty.

– Mów, co chcesz, ale spokojne, zwyczajne zaloty wydają mi się teraz niezwykle kuszące.

Po niespokojnej nocy obudziła się rankiem, gdy ktoś wszedł do pokoju. Pomyślała, że pokojówka przysłała napalić w kominku, ale na to było jeszcze za wcześnie. Nie nastał nawet świt; deszcz osłabł, zamieniając się w ponurą mżawkę.

To była Lillian.

– Dzień dobry – wychrypiała Daisy, usiadła i przeciągnęła się. – Dlaczego już nie śpisz? Dziecko marudzi?

– Nie, mała śpi – odparła Lillian miękko. W ciężkim aksamitnym szlafroku, z włosami zebranymi w luźny warkocz podeszła do łóżka z filiżanką parującej herbaty w dłoni. – Proszę, napij się.

Przyjęła filiżankę, marszcząc brwi. Siostra usiadła obok niej na materacu. Zachowuje się nietypowo, pomyślała Daisy. Coś się musiało wydarzyć.

– Co się stało? – Miała złe przeczucia.

Lillian gestem wskazała na filiżankę.

– To może poczekać, aż się całkiem obudzisz.

Daisy doszła do wniosku, że jeszcze za wcześnie na wiadomości z Londynu. To nie mogło dotyczyć Matthew. Może matka zachorowała. Może coś straszego stało się we wsi.

Upiła kilka łyków herbaty, odstawiła filiżankę na nocną szafkę i spojrzała na siostrę.

– Bardziej się już nie obudzę – zapewniła ją. – Powiedz mi.

Lillian odchrząknęła, po czym odezwała się zgrubiałym głosem:

– Westcliff i ojciec wrócili.

– Co? – Daisy spojrzała na siostrę z niedowierzaniem. – Dlaczego nie są z Matthew w Londynie?

– Jego nie ma w Londynie.

– Wrócili wszyscy?

Lillian pokręciła głową.

– Nie. Przepraszam. Źle się do tego zabieram. Ja... Powiem wprost. Niedługo po wyjeździe ze Stony Cross powóz wiozący Westcliffa i ojca musiał się zatrzymać z powodu wypadku na moście. Znasz na pewno ten skrzypiący stary most, który trzeba przebyć, jeśli trzymasz się gościńca?

– Ten nad strumykiem?

– Tak. Cóż, tyle że już nie nad strumykiem. Z powodu obfitych opadów strumyk zamienił się w rwącą rzekę. Najwidoczniej prąd musiał osłabić konstrukcję mostu, bo gdy powóz pana Waringa próbował się przezeń przeprowadzić, most się zawalił.

Daisy zmarszczyła brwi. Most się zawalił. Powtórzyła w myślach te słowa, ale nie potrafiła ich zrozumieć, jakby wypowiadała je w jakimś starym, zapomnianym języku. Z trudem wróciła do rzeczywistości.

– Wszyscy ocaleli? – usłyszała własne pytanie.

– Wszyscy poza Matthew. – Głos Lillian drżał. – On sam utknął w powozie, który został porwany w dół rzeki.

– Nic mu się nie stało – odparła Daisy bez emocji, choć jej serce zaczęło miotać się jak dzikie zwierzę w klatce. – Umie pływać. Pewnie wyszedł na brzeg gdzieś poniżej... Ktoś musi go poszukać...

– Szukają wszędzie. Westcliff zorganizował całą akcję. Przez większość nocy szukał i wrócił dopiero przed chwilą. Powóz roztrzaskał się na kawałki o kamienie. Po Matthew nie ma śladu. Daisy, jeden z konstablów wyznał Westcliffowi... – Urwała, a w jej brązowych oczach błysnęły gniewne łzy. – Przyznał... – mówiła z wysiłkiem – że Matthew miał skrepowane dłonie.

Daisy ugięła nogi w kolanach i przyciągnęła do siebie, jakby próbowała ukryć się przed tymi nowinami.

– Ale dlaczego? – szepnęła. – Nie mieli powodu.

Lillian mocno zacisnęła zęby, próbując odzyskać kontrolę nad emocjami.

– Uznali, że istnieje ryzyko ucieczki, biorąc pod uwagę przeszłość Matthew. Moim zdaniem jednak Waring naciskał na to z czystej złości.

Daisy zakręciło się w głowie, serce tłukło w piersi. Była przerażona, lecz jednocześnie czuła dziwny spokój. Przed oczami pojawił się jej Matthew, ze związanymi rękami walczący o życie w czeluściach wody...

– Nie. – Przycisnęła dłonie do boleśnie pulsujących skroni. Miała wrażenie, jakby ktoś wbijał paznokcie w jej czaszkę. Nie mogła złapać tchu. – Nie miał żadnych szans, prawda?

Lillian pokręciła głową i odwróciła wzrok. Z jej oczu na narzutę kapąły łzy.

To dziwne, pomyślała Daisy, że ja nie płaczę. Czuła gdzieś głęboko w gałkach ocznych napięcie, które wywoływało tępy ból głowy. Łzy czekały jednak chyba na jakąś myśl lub słowo, które dałoby im sygnał.

Wciąż przyciskała dłonie do skroni, niemal oślepiąca dudniącym bólem głowy.

– Płaczesz z powodu Matthew?

– Tak. – Lillian wyjęła chusteczkę z rękawa szlafroka i głośno wytarła nos. – Ale przede wszystkim z twojego. – Pochyliła się i wzięła Daisy w ramiona, jakby chciała ochronić ją przed wszelkim złem.

– Kocham cię, Daisy.

– Ja ciebie też – odparła Daisy stłumionym głosem. Nie mogła złapać tchu.

Poszukiwania trwały przez cały dzień i kolejną noc, a wszystkie zwyczajne rytuały – pory posiłków, praca i sen – straciły znaczenie. Tylko jeden incydent zdołał zrobić wyłom w jej otępieniu: Westcliff powiedział, że nie zgadza się na jej pomoc w poszukiwaniach. To do niej dotarło wyraziście.

– Nikomu się nie przydasz – mówił, zbyt wyczerpany i udręczony wyrzutami, by zdobyć się na odrobinę taktu. – To niebezpieczne i trudne przy tak wysokim stanie rzeki. W najlepszym razie będziesz nas rozpraszać. W najgorszym – zrobisz sobie krzywdę.

Chociaż wiedziała, iż szwagier ma rację, nie zdołała powstrzymać wybuchu gniewu. Zdała sobie sprawę, że traci kontrolę nad emocjami, i mogła tylko znów skryć się w sobie.

Być może ciało Matthew nigdy nie zostanie odnalezione. Nie. Niemożliwe. Nie potrafiłaby z tym się pogodzić. W pewnym sensie zniknięcie bywa nawet gorsze niż śmierć – wydaje się, że ukochana

osoba nigdy nie istniała, nie ma nic, co można by opłakiwać. Nigdy dotąd nie rozumiała, dlaczego niektórzy ludzie domagają się oględzin ciała bliskiej osoby po jej śmierci. Teraz pojęła. Był to jedyny sposób, by położyć kres temu koszmarowi i może odnaleźć ulgę w łzach bólu.

– Wciąż mi się wydaje, że coś bym poczuła, gdyby umarł – wyznała siostrze, siedząc na podłodze obok kominka w salonie. Ramiona otuliła starym szalem, który dodawał jej otuchy swoją miękkością. Pomimo żaru ognia, warstw odzieży i kubka herbaty z odrobiną brandy w dłoniach nie mogła się rozgrzać. – Powinnam to poczuć. A ja nie czuję nic, jakby mnie zamrożono żywcem. Chcę się gdzieś ukryć. Nie chcę się z tym mierzyć. Nie chcę być silna.

– Nie musisz być – powiedziała Lillian cicho.

– Muszę. Jeśli nie będę, rozpadnę się na milion kawałków.

– Nie pozwolę ci. Posklejam odłamek po odłamku.

Usta Daisy rozciągnęły się w słabym uśmiechu, gdy spojrzała na zatroskaną twarz siostry.

– Lillian – szepnęła. – Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Nigdy się tego nie dowiesz.

Tylko namowy matki i siostry sprawiły, że Daisy zjadła cokolwiek na kolację. Wypiła też cały kieliszek wina z nadzieją, że to zagłuszy myśli.

– Westcliff i ojciec powinni niedługo wrócić. – Lillian starała się trzymać nerwy na wodzy. – W ogóle nie spali i pewnie nic nie zjedli.

– Chodźmy do salonu, Daisy – zasugerowała Mercedes. – Zagramy w karty, by o tym nie myśleć, albo poczytamy na głos jakąś twoją ulubioną książkę.

Posłała matce przepaszające spojrzenie.

– Wybaczcie, ale nie dam rady. Jeśli pozwolicie, chciałabym pójść sama na górę.

Umyła się, włożyła koszulę nocną i spojrzała na łóżko. Mimo wypitego alkoholu i wyraźnego zmęczenia jej umysł negował konieczność snu.

W domu panowała głucha cisza, gdy szła do saloniku Marsdenów, bosą po plątaniu cieni układających się na dywanie niczym mroczna winorośl. Z pojedynczej lampy padał łagodny żółtawy blask, odbijał się od kryształów abażura rzucającego białe kropki na pokryte tapetami ściany. Obok sofy leżały stosy periodyków, powieści i cienki tomik humorystycznej poezji, którą czytywała na głos Matthew, pragnąc, by się uśmiechnął.

Jak to możliwe, że wszystko tak szybko się zmieniło? Dlaczego los tak chciał?

Usiadła na dywanie przy sofie i zaczęła przeglądać książki i magazyny: część do biblioteki, część dla mieszkańców wioski. Chyba jednak niepotrzebnie zabrała się do tego po takiej ilości wina. Zamiast ułożyć dwa schludne stosy, rozrzuciła wszystko wokół siebie. Niczym utracone marzenia.

Skrzyżowała nogi, oparła się o brzeg sofy i położyła głowę na wyściełanym podłokietniku. Palcami natrafiła na płócienną okładkę jednej z książek. Zerknęła na nią spod półprzymkniętych powiek. Książka zawsze stanowiła dla niej drzwi do innego świata... Świata bardziej interesującego i barwniejszego niż rzeczywistość. Odkryła jednak, że życie może okazać się o wiele wspanialsze niż fantazja.

Że miłość może napełnić ten realny świat magią.

Matthew okazał się uosobieniem jej pragnień. A dano im tak mało czasu.

Zegar na kominku odmierzał cicho godziny z przerażającą powolnością. Daisy ogarnęła senność, ciężiej oparła się o sofę, gdy nagle usłyszała skrzypienie drzwi. Otworzyła oczy.

Do pokoju wszedł mężczyzna.

Przystanął na progu i spojrzął na nią.

Podniosła wzrok i nagle zamarła z tęsknoty, lęku i potwornego pragnienia.

To był Matthew odziany w szorstkie, dziwne ubranie. Jego żywiołowa energia nagle wypełniła salonik.

Obawiając się, że wizja zniknie, Daisy trwała nieruchomo. Poczła pieczenie pod powiekami, oczy się zamgliły, ale nie zamykała ich, jakby siłą woli mogła sprawić, by wizja się zmaterializowała.

Podszedł do niej powoli. Opadł na kolana i spojrzął na nią z czułością i troską. Odepchnął na bok książki, by zrobić sobie miejsce.

– To ja, kochanie – powiedział cicho. – Wszystko w porządku.

– Jeśli jesteś duchem... mam nadzieję, że będziesz mnie nawiedzał do końca życia – zdołała wyszeptać, gdy nagle zaschło jej w ustach.

Matthew usiadł na podłodze i ujął jej zimne dłonie.

– Czy duch wszedłby do pokoju przez drzwi? – zapytał łagodnie, przyciskając jej palce do swojej podrapanej, posiniaczonej twarzy.

Kontakt z jego skórą sprawił, iż poczuła, że stan otępienia mija, emocje się odblokowują. Przycisnęła dłonie do oczu. I zaniósła się rozdzierającym, niepoohamowanym szlochem.

Matthew odsunął jej dłonie od twarzy, przytulił Daisy mocno, szepcząc słowa pocieszenia. Gdy nie przestawała płakać, przytulił ją jeszcze mocniej, jakby rozumiał, że potrzebuje niemal bolesnego nacisku jego ciała.

– Proszę cię, bądź prawdziwy – wychrypiała. – Proszę, niech to nie będzie sen.

– Jestem prawdziwy. Nie płacz, nie ma... Och, Daisy, najdroższa... – Wyciskał słowa pociechy na jej wargach, podczas gdy ona z całych sił starała się wtulić w niego jeszcze bardziej. Gdy osunęli się na podłogę, przycisnął Daisy całym swym ciężarem.

Chwycili się za ręce i splekli palce. Dysząc ciężko, odwróciła głowę, by spojrzeć na jego zaczerwieniony i obrzęknięty nadgarstek.

– Związali ci ręce – powiedziała szorstkim głosem, którego sama nie poznała. – Jak się uwolniłeś?

Pochylił głowę, aby ucałować jej mokry od łez policzek.

– Scyzorykiem – mruknął zwięźle.

Zrobiła wielkie oczy, nie przestając wpatrywać się w opuchniętą rękę.

– Zdołałeś wyciągnąć scyzoryk z kieszeni i przeciąć sznur, niesiony prądem rzeki w tonącym powozie?

– Okazało się to o wiele łatwiejsze niż siłowanie się z gęsią, zapewniam cię.

Zachichotała histerycznie, a śmiech szybko przeszedł w rozdzierający szloch. Matthew uciszył ją wargami w czułym pocałunku.

– Zacząłem przecinać sznur, gdy tylko pojawiły się kłopoty – kontynuował. – Zyskałem więc kilka minut, zanim powóz stoczył się do wody.

– Dlaczego nikt ci nie pomógł? – zapytała gniewnie, ocierając rękawem sukni mokrą twarz.

– Wszyscy byli zajęci ratowaniem własnej skóry. Chociaż – dodał Matthew ponuro – myślałem, że jestem nieco ważniejszy od koni. Zanim prąd porwał powóz, zdołałem uwolnić ręce. Pudło rozpadło się w drzazgi na kamieniach. Wskoczyłem do wody i zdołałem dotrzeć do brzegu, ale trochę się poobijałem. Znalazł mnie staruszek, który szukał psa. Zaniósł mnie do swojej chaty i zajął się mną razem ze swoją żoną. Straciłem przytomność, półtora dnia później odzyskałem. Staruszek, gdy usłyszał o poszukiwaniach Westcliffa, powiadomił go, gdzie się znajduje.

– Myślałam, że nie żyjesz – mówiła Daisy przez łzy, łamiącym się głosem. – Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę.

– Nie, nie... – Gładził ją po włosach, całował policzki, powieki i drżące wargi. – Zawsze do ciebie wrócę. Jestem niezawodny, pamiętasz?

– Tak. Poza pierwszymi... – musiała wziąć głęboki oddech, gdy poczuła pieśczość jego ust na szyi – ...dwudziestoma latami twojego życia, kiedy cię jeszcze nie znałam, muszę przyznać, że jesteś tak niezawodny... – musnęła językiem pulsujące miejsce u nasady szyi – ...że aż przewidywalny.

– Chyba nie do końca, biorąc pod uwagę tę drobną kwestię mojej fałszywej tożsamości oraz wyroku za kradzież. – Przesuwał wargami po delikatnej linii szczęki, zbierając zabłąkane łzy.

– Och, nie – szepnęła Daisy bez tchu – w-wybaczyłam ci, jeszcze zanim dowiedziałam się, o co chodzi.

– Słodkie kochanie – mruknął Matthew. Musnął nosem policzek, pieścił ją ustami i dłońmi. Przywarła do niego, spragniona bliskości. Odchylił głowę i objął ją badawczym spojrzeniem. – Teraz, gdy cała ta paskudna sprawa do mnie wróciła, będę musiał walczyć, by przywrócono mi dobre imię. Zaczekasz na mnie, Daisy?

– Nie.

Wciąż pociągając nosem, zaczęła rozpinąć drewniane guziki jego pożyczonego odzienia.

– Nie? – Uśmiechnął się lekko. – Doszłaś do wniosku, że za dużo jednak ze mną kłopotów?

– Doszłam do wniosku, że życie jest za krótkie – jęknęła, szarpiąc szorstki materiał jego koszuli – by zmarnować choćby jeden dzień. Przeklęte guziki...

Przytrzymał jej dłonie, by uspokoić gorączkowe ruchy.

– Twoja rodzina nie pozwoli ci poślubić mężczyzny uciekającego przed wymiarem sprawiedliwości.

– Mój ojciec wybaczyłby ci wszystko. A poza tym nie będziesz przecież wiecznie uciekać. Wyrok zostanie unieważniony, gdy tylko na jaw wyjdą wszystkie fakty. – Uwolniła dłonie i znów do niego przywarła. – Zabierz mnie do Gretna Green – poprosiła. – Dziś w nocy. Moja siostra również tak wzięła ślub. I Evie. Ucieczka to w zasadzie tradycja paprotek. Zabierz mnie...

– Sza... – Wziął ją w ramiona i przytulił do swojej szerokiej piersi. – Koniec z uciekaniem – szepnął. – Stawię czoło przeszłości. Choć na pewno łatwiej byłoby mi poradzić sobie z problemami, gdyby ten łajdak Harry Waring nie umarł.

– Nadal żyją ludzie, którzy wiedzą, co się naprawdę wydarzyło – odparła Daisy nerwowo. – Jego przyjaciele. Służący, o którym wspomniałeś. I...

– Tak, wiem. Nie rozmawiajmy teraz o tym. Bóg wie, że będziemy mieć na to mnóstwo czasu w nadchodzących dniach.

– Pragnę cię poślubić – nalegała Daisy. – Nie później. Teraz. Po tym wszystkim, co przeszłam... Myślałam, że nie żyjesz... Nic innego nie ma znaczenia. – Czkawka odebrała jej głos.

Pogładził ją po włosach i otarł łzę z policzka.

– Dobrze. Już dobrze. Porozmawiam z twoim ojcem. Tylko nie płacz. Daisy, proszę.

Nie zdołała jednak powstrzymać świeżych łez ulgi. Znów miała dreszcze. Im bardziej próbowała z nimi walczyć, tym silniejsze się stawały.

– Kochanie, co się dzieje? – Przesunął dłońmi po jej drżących nogach.

– Tak bardzo się boję.

Jęknął głucho. Tulił Daisy i obsypywał czułymi pocałunkami.

– Dłaczego, najdroższa?

– Boję się, że to tylko sen. Boję się, że się obudzę i... – Znów przerwała jej czkawka. – I będę sama, zrozumiem, że ciebie nigdy tu nie było, i...

– Nie, jestem tutaj. Nigdzie się nie wybieram. Pozwól mi się pocieszyć, ukochana, pozwól mi... – Jego ręce wędrowały pod koszulą po jej ciele, kojąc i rozpraszając lęki. Jęknęła zniewolona żarem jego pieścizot i pocałunków.

Matthew gwałtownie wciągnął powietrze. Próbował nad sobą zapanować, lecz mu się nie udało. Owładnęło nim pragnienie, by napełnić ją rozkoszą. Rozebrał ją na podłodze. Dygocząc gwałtownie, Daisy patrzyła, jak światło świecy mieni się na jego ciemnych włosach, gdy pochylił się, by obsypać niespiesznymi pocałunkami jej nogi, brzuch i drżące piersi.

Wszędzie tam, gdzie ją całował, zimno ustępowało fali ciepła. Z westchnieniem poddała się kojącemu dotykowi gorących dłoni i warg. Ściągnął koszulę, a Daisy poczuła się pewniej, widząc na skórze cienie sińców – dowody, że jednak nie śni. Musnęła językiem ciemne ślady.

Gdy ostrożnie przyciągnął ją do siebie, czule gładził, całował i tulił, zmysłowe pieścizoty podsycaly w niej namiętność. Poruszyła się oszołomiona cudownymi doznaniem, znosząc dzielnie niewygody – leżała naga na wełnianym dywanie, i szorstka tkanina ocierała boleśnie jej plecy i pośladki.

Dostrzegając źródło problemu, Matthew roześmiał się cicho i posadził ją sobie na kolanach. Spocona i zasapana Daisy przycisnęła piersi do jego torsu.

– Nie przestawaj – szepnęła.

Otoczył dłonią jej otarty pośladek.

– Będiesz obolała, leżąc na podłodze.

– To nic, ja chcę... Pragnę...

– Tego? – Przesunął ją tak, by usiadła na nim okrakiem. Materiał jego spodni napiął się pod jej udami.

Zawstydzona i podekscytowana Daisy zamknęła oczy, gdy poczuła pieścizotliwy dotyk na fałdkach swojej kobiecości, już powleczonej delikatną wilgocią.

Zarzuciła omdlałe ramiona na jego szyję, splatając palce. Gdyby nie podpora w postaci twardego męskiego ramienia na plecach, nie zdołałyby siedzieć prosto. Straciła świadomość rzeczywistości, gdy dotykał wrażliwego miejsca, wodząc knykciem wokół maleńkiego, jedwabiście wilgotnego czubeczka...

– Nie przestawaj – usłyszała znów swój szept.

Otworzyła szeroko oczy, kiedy Matthew wsunął dwa palce w jej wnętrze, a potem dodał jeszcze jeden. Pożądanie szalało w niej niczym ogień karmiony suchymi polanami.

– Nadal boisz się, że to sen? – szepnął.

Z trudem przełknęła ślinę i pokręciła głową.

– J-ja... nigdy nie miewam takich snów.

W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki rozbawienia. Cofnął palce, wydając ją na pastwę rozdygotanej pustki. Szlochała, a on przytulił ją do swej nagiej piersi, ukoił i scałował łyzy.

Przywarła do niego, wzrok jej się zamglił, zamieniając pokój w mozaikę złotego blasku i czarnego cienia. Poczuła, że Matthew bierze ją na ręce, odwraca i pomaga jej uklęknąć na dywanie przed sofą. Przycisnęła policzek do gładkiego materiału i rozchyliła wargi, by ułatwić sobie oddychanie. Matthew uklęknął za nią i nakrył ją swoim potężnym ciałem, a potem wszedł w jej ciasne, wilgotne

wnętrze.

Zesztywniała, lecz wtedy położył dłonie na jej biodrach i zaczął pieścić, zachęcając, by mu zaufała. Znieruchomiała i zamknęła oczy, rozkosz potęgowała się w niej z każdym jego powolnym pchnięciem. Położył dłoń na jej łonie, odnalazł palcem nabrzmiąły pączek kobiecości i pieścił tak długo, aż osiągnęła szczyt, wstrząsana dreszczami gwałtownej ulgi.

Jakiś czas potem Matthew ubrał Daisy, po czym zaniósł ciemnym korytarzem do jej sypialni. Gdy ułożył na łóżku, poprosiła szeptem, by z nią został.

– Nie, kochanie. – Pochylił się nad nią w ciemnościach. – Bardzo bym chciał, lecz musimy zachować pozory przyzwoitości.

– Nie chcę spać bez ciebie. I nie chcę się bez ciebie obudzić.

– Kiedyś. – Przytulił Daisy i pocałował mocno. – Kiedyś będę mógł przyjść do ciebie o dowolnej porze dnia lub nocy i trzymać cię w ramionach tak długo, jak tylko zechcesz. – Głosem nabrzmiętym od emocji dodał: – Możesz mi wierzyć.

Tymczasem na dole wyczerpany hrabia Westcliff leżał na sofie, a za poduszkę służyły mu kolana żony. Po dwóch dniach niezmordowanych poszukiwań i braku snu padał z nóg. Cieszył się jednak, że udało im się uniknąć tragedii i narzeczony Daisy bezpiecznie wrócił do domu.

Zaskoczyło go, jak gorliwie zakrzętnęła się koło niego małżonka. Gdy tylko przekroczył próg posiadłości, Lillian uraczyła go kanapkami i gorącą brandy, otarła smugi brudu z jego twarzy wilgotnym ręcznikiem, posmarowała maścią zadrapania i zabandażowała rozcięte palce, a nawet zdjęła mu ubłocone buty.

– Wyglądasz gorzej niż pan Swift – oświadczyła, gdy ją przekonywał, że nic mu nie jest. – O ile rozumiem, on leżał sobie w łóżku w jakiejś chacie przez ostatnie dwa dni, podczas gdy ty włóczyłeś się po lasach w błocie i deszczu.

– Przecież się nie wylegiwał – wytknął Marcus. – Był ranny.

– Co nie zmienia faktu, że ty nie odpoczywałeś ani nie jadłeś, gdy go szukałeś.

Marcus poddał się więc zabiegom, w skrytości ducha się nimi rozkoszując. Gdy Lillian doszła do wniosku, że zjadł dostatecznie dużo i został właściwie opatrzony, ułożyła jego głowę na swoich kolanach. Westchnął z zadowoleniem, wpatrzony w ogień płonący na kominku.

Lillian przeczesała mu włosy palcami.

– Minęło dość dużo czasu, odkąd pan Swift poszedł szukać Daisy. Jest za cicho. Nie zamierzasz sprawdzić, co robią tam na górze?

– Za hinduskiego boga. – Marcus powtarzał jedno z ulubionych powiedzonek Daisy. – Kto wie, w czym bym przeszkodził.

– Dobry Boże! – zawołała oburzona. – Nie sądzisz chyba, że oni...

– Nie byłbym zaskoczony. – Marcus celowo zawiesił głos, po czym dodał: – Przypomnij sobie, jacy my kiedyś byliśmy.

Jego słowa sprawiły, że Lillian natychmiast zapomniała o młodych narzeczonych.

– Nadal jesteśmy – zaprotestowała.

– Nie kochaliśmy się od dnia porodu. – Usiadł, by nasycić wzrok widokiem ciemnowłosej żony w blasku ognia. Była i zawsze będzie najbardziej pociągającą kobietą, jaką znał. Nienasycona namiętność odezwała się w jego głosie, gdy dodał: – Jak długo jeszcze muszę czekać?

Oparła łokieć na poduszkach sofy, położyła głowę na dłoni i uśmiechnęła się przepraszająco.

– Lekarz powiedział, że jeszcze co najmniej dwa tygodnie. Przykro mi. – Roześmiała się na widok jego miny. – Naprawdę mi przykro. Chodźmy na górę.

– Jeśli nie idziemy do łóżka, naprawdę nie widzę sensu – wymamrotał.

– Pomogę ci się wykapać. Mogę nawet wyszorować plecy.

Propozycja zaintrygowała go na tyle, by zapytać:

– Tylko plecy?

– Jestem otwarta na negocjacje – zapewniła Lillian kokieteryjnie. – Jak zawsze.

Podniósł się, by ją przytulić, i westchnął.

– Na tym etapie zadowolę się czymkolwiek.

– Mój biedaku. – Wciąż się uśmiechając, odwróciła do niego twarz, by go pocałować. – Pamiętaj... Na pewne rzeczy warto czekać.

EPILOG

Matthew i Daisy musieli poczekać ze ślubem aż do późnej jesieni. Zanim do niego doszło, Hampshire powlekło się szkarłatem i jaskrawym pomarańczem, psy wypuszczano na polowanie cztery razy w tygodniu, a w sadach zebrano ostatnie ciężkie od owoców kosze. Skoszono trawę, wrzaskliwe derkacze opuściły pola, a zastąpiły je rozśpiewane drozdy i żółte trznadle.

Przez całe lato i część jesieni Daisy nieraz musiała na długie tygodnie rozstawać się z Matthew, jeździł bowiem do Londynu, by uporządkować swoje sprawy. Z pomocą Westcliffa udało się zablokować prośbę o ekstradycję wysuniętą przez rząd amerykański, dzięki czemu pozostał w Anglii. Dopiero po zatrudnieniu dwóch zręcznych prawników i zaznajomieniu ich ze szczegółami sprawy Matthew udał się z nimi do Bostonu, by złożyć apelację od wyroku.

Dużo podróżował i pracował niestrudzenie, doglądając budowy fabryki w Bristolu, zatrudniał pracowników i ustanawiał kanały dystrybucji w całym kraju. Daisy miała wrażenie, że zmienił się na korzyść, gdy ujawniono sekrety jego przeszłości... Wydawał się swobodniejszy, jeszcze pewniejszy siebie i bardziej charyzmatyczny.

Widząc jego niewyczerpane pokłady energii i coraz większą listę osiągnięć, Simon Hunt poinformował go stanowczo, że jeśli kiedykolwiek znudzi go praca u Bowmana, będzie mile widziany w Consolidated Locomotive. Na tę wieść Thomas Bowman zaproponował Matthew jeszcze wyższy procent od przyszłych zysków fabryki mydła.

– Niedługo zostanę milionerem – oznajmił Matthew Daisy – jeśli tylko uda mi się uniknąć do tego czasu więzienia.

Była zaskoczona i wzruszona, jak chętnie wszyscy członkowie jej rodziny, nawet matka, stanęli w obronie Matthew. Czy to przez wzgląd na dobro Daisy, czy też na jej ojca, tego nie wiedziała. Thomas Bowman, który zawsze był znany z surowego traktowania ludzi, niezwłocznie wybaczył Matthew kłamstwo. W zasadzie Bowman przez nie jeszcze bardziej poważał swojego niemal syna.

– Podejrzewam – powiedziała kiedyś Lillian – że gdyby Matthew Swift popełnił morderstwo z zimną krwią, ojciec skwitowałby to słowami: „No cóż, chłopak musiał mieć po temu doskonały powód”.

Odkrywszy, że praca sprawia, iż czas mija szybciej, Daisy zaangażowała się w poszukiwania domu w Bristolu. Wybrała duży budynek z dwuspadowym dachem, nad morzem, kiedyś należący do właściciela stoczni i jego rodziny. W towarzystwie matki i siostry, które nade wszystko kochały zakupy, nabyła masywne, wygodne meble, barwne zasłony i materiały obiciowe. Zadbana też, by w pokojach znalazło się miejsce na stoliki i półki na książki.

Matthew odwiedzał ją, ilekroć udało mu się wykroić kilka dni wolnych. Nie dzieliły ich już żadne ograniczenia, żadne tajemnice ani obawy. Prowadzili długie rozmowy i spacerowali w leniwe letnie popołudnia, odnajdując nieskończoną radość w swoim towarzystwie. A nocami, gdy Matthew składał jej wizyty w ciemnościach i kochał się z nią, napełniał jej zmysły niewyczerpaną rozkoszą, a serce

radością.

– Naprawdę próbowałem trzymać się od ciebie z daleka – wyznał jej pewnej nocy, trzymając ją w ramionach, gdy blask księżycy kładł się na pościeli.

– Dlaczego? – szepnęła.

Przeczesywał palcami kaskadę jej włosów.

– Nie powinienem cię odwiedzać, dopóki nie mamy ślubu. Istnieje ryzyko...

Uciszyła go wargami i nie oderwała ich, dopóki jego oddech nie przyspieszył, a naga skóra nie zapłonęła ogniem. Dopiero wtedy uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

– Wszystko albo nic – szepnęła. – Właśnie tak ciebie pragnę.

Wreszcie prawnicy Matthew przesłali wiadomość, że bostońscy sędziowie uczestniczący w panelu przeanalizowali raz jeszcze protokoły sądowe, unieważnili wyrok i oddalili sprawę. Orzekli również, że nie będzie ponownie rozpatrywana, czym zniweczyli wszelkie nadzieje Waringów na przedłużanie tej awantury.

Matthew powitał nowinę ze zdumiewającym spokojem, przyjął od wszystkich gratulacje i szczerze podziękował Bowmanom i Westcliffom za ich wsparcie. Dopiero gdy został sam na sam z Daisy, opanowanie prysło. Ulga okazała się zbyt wielka, by mógł ją stoicko znosić. Daisy pocieszała go, jak umiała, a intymna i pełna emocji chwila na zawsze pozostała pomiędzy nimi.

A teraz nadszedł dzień ich ślubu.

Uroczystość w kaplicy Stony Cross niemiłosiernie się dłużyła, ponieważ pastor postanowił zaimponować tłumowi zamożnych, ważnych gości z Londynu, a nawet samego Nowego Jorku. Na mszę złożyło się ciągnące się bez końca kazanie, niewypowiedziana liczba hymnów oraz trzy obszerne czytania.

Daisy siliła się na cierpliwość w ciężkiej sukni z satyny w kolorze szampana. Stopy jej drętwiały w wyszywanych koralikami pantoflach na obcasie. Nic nie widziała przez misternie upięty welon z walenckiej koronki ozdobionej perłami. Ślub stał się dla niej sprawdzianem wytrzymałości. Starła się wyglądać poważnie i uroczyście, lecz gdy zerknęła na Matthew, wysokiego i przystojnego w czarnym surducie i wykrochmalonym białym fularze, jej serce podskakiwało ze szczęścia.

Gdy wymienili przysięgi, wbrew surowym napomnieniom Mercedes, że pan młody nie powinien całować oblubienicy, bo zwyczajowi temu hołdują tylko niższe sfery, Matthew przyciągnął Daisy do siebie i przy wszystkich pocałował namiętnie w usta. Goście zareagowali cichymi okrzykami i tłumionym serdecznym śmiechem.

Daisy zerknęła w błyszczące oczy męża.

– Zachowuje się pan skandalicznie, panie Swift – szepnęła.

– To jeszcze nic – odparł cicho. – Najgorsze zachowanie zostawiłem na wieczór.

Po mszy goście udali się do głównego domu. Młodzi małżonkowie przyjmowali gratulacje od setek ludzi i rozdawali tysiące uśmiechów. Daisy odważyła się wreszcie odetchnąć z ulgą. Czekają ją jeszcze ślubne śniadanie, które mogłoby wyżywić połowę Anglii, a następnie długie godziny toastów i przedłużających się pożegnań. A ona pragnęła już tylko zostać sam na sam z mężem.

– Och, nie marudź – dobiegł ją rozbawiony głos siostry. – Jedna z nas musiała przecież mieć prawdziwy ślub. Padło na ciebie.

Daisy odwróciła się i zobaczyła, że stoją za nią Lillian, Annabelle i Evie.

– Ja nie marudzę – powiedziała. – Myślę sobie tylko, o ile łatwiej byłoby uciec do Gretna Green.

– To dowodziłoby całkowitego braku wyobraźni, moja droga, biorąc pod uwagę, że Evie i ja zrobiliśmy to przed tobą.

– Ceremonia była urocza – zapewniła ją Annabelle ciepło.

– I długa – mruknęła Daisy. – Mam wrażenie, że stałam w kościele wiele godzin.

– Bo tak było – uświadomiła jej Evie. – Chodź z nami... Zaplanowałyśmy zebranie paprotek.

– Teraz? – zapytała Daisy z rozbawieniem, zerkając na ożywione twarze przyjaciółek. – Nie możemy. Czekają na nas ze śniadaniem.

– Och, niech czekają – rzuciła Lillian wesoło. Ujęła Daisy pod ramię i wyprowadziła z holu.

Idąc korytarzem do pokoju śniadaniowego, cztery młode damy natknęły się na lorda St. Vincenta, który zmierzał właśnie w przeciwną stronę. Elegancki i oszałamiający w wizytowym stroju, zatrzymał się i spojrzął na Evie z czułym uśmiechem.

– Chyba przed czymś uciekacie – zauważył.

– To prawda. – Evie pokiwała głową.

Otoczył ją ramieniem w pasie i zapytał konspiracyjnym szeptem:

– A dokąd?

Chwilę się zastanawiała.

– Gdzieś, gdzie będziemy mogły upudrować Daisy nos.

Wicehrabia zerknął na Daisy z powątpiewaniem.

– I trzeba was do tego aż cztery? Przecież to taki mały nos.

– Nie będzie nas tylko parę minut, milordzie – powiedziała Evie. – Możesz nas jakoś wytłumaczyć?

Roześmiał się lekko.

– Mam ogromny talent do wynajdowania wymówek, najdroższa – zapewnił. Zanim wypuścił żonę z objęć, odwrócił ją twarzą do siebie i pocałował w czoło, po czym na ułamek sekundy położył szczupłą dłoń na jej brzuchu.

Subtelny gest umknął uwagi wszystkich, lecz nie Daisy, która od razu domyśliła się, co znaczy. Evie skrywa sekret, pomyślała i uśmiechnęła się.

Przyjaciółki zaprowadziły Daisy do oranżerii. Do środka wpadało przez szyby ciepłe jesienne światło, a w powietrzu unosił się zapach cytrusów i wawrzynów. Lillian zdjęła z głowy siostry ciężki wieniec z kwiatów pomarańczy oraz welon i położyła obok na krześle.

Na stoliku stała srebrna taca, a na niej butelka schłodzonego szampana i cztery wysokie kryształowe kieliszki.

– To toast specjalnie dla ciebie, kochanie – mówiła Lillian, gdy Annabelle rozlewała musujący trunek i rozdawała kieliszki. – Za szczęśliwe dla ciebie zakończenie. Biorąc pod uwagę, że musiałaś czekać o wiele dłużej niż my, zasługujesz zapewne na całą butelkę – uśmiechnęła się – ale będziesz musiała się nią z nami podzielić.

Daisy zacisnęła palce na kryształowej nóżce.

– Powinnyśmy wznieść toast za nas wszystkie. Bądź co bądź, trzy lata temu nie miałyśmy żadnych szans na odpowiednie małżeństwa. Nikt nie chciał z nami nawet tańczyć. I patrzcie, jak nam się udało.

– A w-wystarczyło tylko kilka chytrych sztuczek i parę skandali – dodała Evie z uśmiechem.

– I przyjaźń – uzupełniła Annabelle.

– W takim razie za przyjaźń. – Lillian nie kryła wzruszenia.

Cztery kieliszki brzęknęły, by uczcić tę jedną doskonałą chwilę.

Spis treści

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

EPILOG